

THOMAS E. SNIĘGOSKI

RAJ UTRACONY

NIE UCIEKNIESZ
PRZED PRZEZNACZENIEM



UPADLI
III

PROLOG

To chyba nigdy nie śpi - pomyślał Alastor, wkładając do szeroko rozwartych ust ostatni kęs śniadania, składającego się z jajek na bekonie i tostów. Beknął głośno, opluwając się resztkami przeżutego jedzenia i upuścił ociekający tłuszczem papierowy talerz na podłogę, obok skózanego fotela. Była dziewiąta rano i to, co upadły anioł starał się ukryć w piwnicy swojego mieszkania w miasteczku Bourbonnais w stanie Illinois, wzywało go.

- *Alastorze* - usłyszał znów szept, przypominający

brzęczenie natrętnej muchy. - *Chodź, Alastorze. Spójrz na to, czego stę wyparłeś.*

Alastor postanowi! zignorować głos. *Te małpy, Reggie i Katie* - pomyślał, spoglądając na zegar wiszący na ścianie - *potrafią być naprawdę zabawne.* Sięgnął po pilot do telewizora, stracając przy tym ze stolika puste paczki po chipsach i opakowania czekoladowych batonów. Pomyślał, że poogląda sobie poranne programy w telewizji, by zapomnieć na chwilę o dobiegających z piwnicy głosach i szeptach.

- *Pamiętasz jeszcze, jak to było przed wojną — zanim dałeś się skusić zdradliwym podszeptom Porannej Gwiazdy? Pamiętasz, Alastorze?*

- Cisza! - syknął anioł. Nacisnął, przypominającym kawał kiełbasy, paluchem przycisk na pilocie, żeby pogłośnić fonię i ulokował wygodnie w fotelu swoje opasłe cielsko. W telewizji puszczała właśnie program kulinarny, który bardzo lubił. Najlepsi szefowie kuchni z całego świata przygotowywali różne pyszne potrawy w asyście prowadzących program.

Reggie upuścił jajko na podłogę i przez widownię przetoczyła się salwa śmiechu. Alastorowi udzieliła się ta wesołość. W groteskowości, jaka towarzyszyła ludzkim małpom, było coś fascynującego i urzekającego zarazem. Gdyby Stwórca zadał sobie kiedykolwiek choć

odrobinę trudu, by dostrzec w tych delikatnych istotach ich dobre strony, Alastor nigdy nie ślubowałby wierności Synowi Poranka.

- *Pamiętasz, kim wtedy byłeś? Ałastorem z niebiańskiego chóru Cnót. Zejdź tutaj i przypomnij sobie dawną chwałę.*

Widownia znów parsknęła śmiechem. Alastor zawrzał. Ominął go jakiś smakowity kąsek, kolejna próbka prymitywnego humoru.

- Niech was diabli! - warknął, opuszczając wielką pięść na oparcie zniszczonego fotela. — Patrzyłem na was wczoraj - i przedwczoraj. Dzisiaj nie mam już na to ochoty.

Kucharz wyjął właśnie suflet z piekarnika, na co widownia zareagowała burzą rzęsistych oklasków. Z udawanym entuzjazmem Katie wyjaśniała szczegóły przyrządzenia tego pysznego dania. Alastor chciał nawet zanotować przepis, ale rozlegające się wokół szepty skutecznie rozpraszały jego uwagę.

- *Masz szansę przypomnieć sobie, kim byłeś kiedyś — piękno i moc...*

Alastor gwałtownie podniósł się z fotela. Grad okruszków spadł na niezamiecioną podłogę.

- Wciąż jestem piękny i silny - wymamrotał, jednym okiem nadal łypiąc na ekran telewizora, by nie stracić nic ważnego. Program kulinarny *Reggie i Katie* przerwały wła-

śnie reklamy pieluch dla dzieci, dlatego anioł mógł teraz skupić całą uwagę na szepczącym mu do ucha głosie.

— Co mam zrobić, żebyś wreszcie się zamknął? — warknął, chociaż wiedział doskonale, jaką usłyszysz odpowiedź. — *Spójrz na nas — zasyczały głosy. - Spójrz na nas i przypomnij sobie czasy, kiedy stanowiliśmy jedność.*

Alastor odwrócił się z powrotem do telewizora. Leciała właśnie reklama psiej karmy — małe dziecko bawiło się ze szczeniakami.

— Bez względu na to, jak często się widzimy, wam nigdy nie dość — mruknął upadły anioł, zastanawiając się przy okazji, jak może smakować jedzenie dla psów.

— *I już nigdy nie będzie. Nie pozwolimy ci zapomnieć tego, co straciłeś.*

— Nawet jeśli ja tego właśnie pragnę? — spytał Alastor, skupiając wzrok na zapowiedzi talk-show rozpoczynającego się zaraz po zakończeniu *Reggie i Katie*. Tematem programu miała być śmierć łóżeczkowa i Alastor uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z tego, że ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć takich prostych rzeczy. Gdyby tylko zechciał, mógłby im wyjaśnić, dlaczego niemowlęta umierają w nocy. Gdyby tylko mu się chciało.

— *Nie interesują nas twoje pragnienia* — rozległ się znów cichy głos w piwnicy pod jego stopami. — *Chodź i spójrz na nas albo będziemy cię nawiedzać przez resztę dnia i w nocy.*

Reggie i Katie powrócili na antenę i Alastor musiał użyć resztek swojej silnej woli, żeby nie skupić z powrotem uwagi na tych interesujących obrazkach.

— Czy jeśli spędzę z wami trochę czasu, dacie mi spokój i nie będziecie już zawracać mi głowy w ciągu dnia?

— *Tak. Podejź i spójrz.*

Alastor chwiejnym krokiem wszedł do kuchni i wstrzymując oddech, skierował się w stronę drzwi prowadzących do piwnicy. Wizja obiecanej błogiej ciszy napawała go radością.

— Oddam wszystko za odrobinę świętego spokoju — mruknął, planując w myślach, co jeszcze obejrzy w telewizji przez resztę dnia.

Spodnie od dresu zaczęły zsuwać mu się z opasłego brzucha i Alastor sięgnął ręką, żeby podciągnąć elastyczną gumkę z powrotem na wylewające się fałdy tłuszczu.

— *Tego właśnie brakuje ci najbardziej od momentu, w którym zostaliśmy wygnani z Nieba. Myślisz, że kiedyś jeszcze dostąpimy zaszczytu przeżywania niebiańskiego spokoju?* — niezמודowany szept dobiegł spoza drzwi, kiedy Alastor chwycił za klamkę, przekręcił ją i otworzył na drzwi oścież. Ze środka buchnęła chłodna wilgoć.

— Ja już znalazłem swój spokój — odparł z irytacją, opierając się na poręczu. Zaczął ostrożnie schodzić po drewnianych stopniach, które zaskrzypiały w proteście pod

jego ciężarem. — Czy taki spokój miałem w Niebie? Oczywiście, że nie. Ale podobnego uczucia już nie zaznam.

Stanął u podnóża schodów i potoczył wzrokiem po stojących wokół rupiecicach, które gromadził przez lata, odkąd zdecydował się zamieszkać wśród ludzi. Były tu meble, którymi można by umeblować kilka mieszkań, kartony z książkami, ubrania, sprzęty kuchenne, narzędzia, puszki z farbą, trzy kosiarki ogrodowe, co najmniej cztery telewizory, niewyjęte jeszcze z pudeł - i wiele innych rzeczy, schowanych gdzieś w głębi przepastnej piwnicy.

Alastor przypomniał sobie tamten czas, kiedy dokonał takiego, a nie innego wyboru. Żołnierze Potęg wyruszyli już na łowy i wiedział, że tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy go tu znajdą. Teraz chodziło już wyłącznie o przeżycie, dlatego zrobił coś nieprawdopodobnego.

— *W ten sposób przypieczętowałeś swój drugi upadek - głos wypełził z ciemności, wrywając go z rozmyślań o przeszłości. - Kiedy postanowiłeś zerwać łączącą nas więź.*

Alastor ruszył w stronę źródła swojej irytacji, powłócząc obutymi w pantofle stopami po chłodnej, betonowej posadzce. Ostrożnie wyminął wielkie, antyczne biurko.

— Nie było innego wyjścia - powiedział, niemal tracąc równowagę, kiedy przekraczał drewnianą skrzynkę

na mleko wypełnioną starymi, cynowymi zabawkami. - To albo śmierć. - Upadły anioł przytrzymał się składanego łóżka i kontynuował swoją drogę krzyżową w kierunku sprawcy własnej męki. - Nie miałem wyboru - powtórzył, jakby chciał przekonać sam siebie. - Ile razy mam wam to powtarzać?

Wszystko, co kiedyś tworzyło jego tożsamość, zostało utracone podczas wojny. Alastor musiał uciekać na Ziemię razem z innymi, ścigany przez bezwzględnych Strażników. Przez niezliczone wieki tułał się bez celu, ukrywając się przed Potęgami. Miał już dość, chciał się poddać, kiedy nagle dotarło do niego, co powinien zrobić. Ukrył się wśród tubylców. Stać się jednym z ludzi, wyrzekając się wszystkiego, co określało go jako istotę niebieską.

Plan wydawał się perfekcyjny. Rezygnując z życia anioła i otaczając się ludźmi, Alastor miał nadzieję, że Potęgi nie wyczują jego zapachu i nie wpadną na jego trop. Anioł zerknął w głąb piwnicy i zobaczył swoje odbicie w wiszącym na przeciwległej ścianie lustrze.

- *Spójrz na siebie.* - Głos jakby się jeszcze zbliżył; ociekał teraz pogardą. — *Spójrz, co się z tobą stało.*

Alastor był chorobliwie gruby, to prawda. Ale to była część maski, którą przywdział.

- Wyjaśniałem wam już, dlaczego tak musi być — odparł, wbijając wzrok w lustro.

Przez całe tysiąclecia bycie człowiekiem wydawało mu się czymś odrażającym. Z czasem jednak, ku swojemu zaskoczeniu, odkrył, że to dziecinnie proste - wcielić się w rolę człowieka. Co więcej, zaczęło mu się to nawet podobać. Zwłaszcza jedzenie i oglądanie telewizji.

Nagle Alastor odwrócił wzrok od odbicia w lustrze, wytracony z równowagi swoim groteskowym wyglądem.

- Powtarzam wam po raz setny, nie było innego wyjścia - powiedział, po czym ruszył naprzód, zbliżając się do źródła swojej udręki. - Jestem tutaj - obwieścił. Jego oddech stał się świszczący, kiedy zatrzymał się przed wielkim, drewnianym stołem, przyśrubowanym do ściany. Blat stołu został gruntownie sprzątnięty - była to jedyna niezagracona powierzchnia w całej piwnicy. A na nim stało długie tekturowe pudełko.

- *Tęsknisz za nami?* - zapytał głos ledwie słyszalnym szeptem, który drażnił i łaskotał go w uszy.

Alastor poczuł, jak blizny na plecach zaczynają go piec i swędzieć pod grubą bawełnianą bluzą. Na początku piekły delikatnie, lecz z każdą chwilą coraz mocniej, aż wreszcie miał ochotę rozerwać na strzępy skórę i mięśnie, żeby tylko przestały. Złapał krawędź stołu i ścisnął mocno.

- Oczywiście, że za wami tęsknię, ale...

- *Zabierz nas z powrotem* - rozkazał syczący głos. -

Spraw, byśmy znowu stali się jednością. To nie powinno się tak skończyć.

Upadły anioł potrząsnął smutno głową; skóra na jego twarzy i karku pulsowała od nadmiaru emocji.

- Gdybym to zrobił, z pewnością zostałbym zniszczony - powiedział, powstrzymując napływające do oczu łzy.

Po tych słowach Alastor sięgnął do leżącego przed nim pudełka, które skrywało artefakt z przeszłości i otworzył je na oścież. Blizny w miejscu na plecach, gdzie kiedyś miał skrzydła, krzyczały wniebogłosy.

- *Ale wówczas moglibyśmy być znowu razem* — głos dobiegający z pudełka przymilał się. — *Tak jak było nam pisane.*

Alastor owinał je w kilka arkuszy plastikowej folii, by zapobiec zawilgoceniu. Westchnął, jak zwykle, kiedy na nie patrzył, nie zdając sobie w pełni sprawy z rozmiarów swojego poświęcenia. W pewnym momencie zaczął zamykać z powrotem pudełko, chcąc odpędzić wspomnienia.

- *Spójrz na nas* — rozkazał głos z pudełka.

- Już spojrzałem - odparł powoli. - I jak zwykle to, co zobaczyłem, napełniło mnie ogromnym smutkiem.

- *Odpakuj nas* - rozległ się znów głos, tonem nieznośnym sprzeciwu. - *Spójrz na nas i przypomnij sobie.*

Alastor posłuchał głosu, odwijając folię, żeby spojrzeć w głąb pudełka i zobaczyć jego zawartość. Przypo-

mniał sobie ból - ból decyzji, a potem aktu wyrzeczenia się swojego anielskiego ciała, a zwłaszcza tego, co odróżniało go od małą, wśród których przyszło mu żyć.

Chcąc stać się człowiekiem, musiał je obciąć.

Alastor spojrział żałośnie na swoje okaleczone skrzydła. Wydawało mu się, że bez nich będzie mu łatwiej wcielić się w ludzką rolę - i rzeczywiście tak było. Dopóki jego własne skrzydła nie zaczęły do niego przemawiać.

Drżącą ręką upadły anioł delikatnie pogładził pokrytą meszkiem miękką powierzchnię skrzydeł. Poczłł nikły zapach zgnilizny. Wiedział, że to niemożliwe, aby skrzydła faktycznie się z nim komunikowały, i uznał to za skutek uboczny, towarzyszący przemianie z anioła w człowieka. Widział już w telewizji programy na ten temat. Ekspertci powiedzieliby, że ma omamy słuchowe. Alastor uśmiechnął się. Był człowiekiem, do tego zwariował - udało mu się osiągnąć więcej, niż się spodziewał.

- *Załóż nas* - skrzydła zaszeptały kusząco. — *Zrzuć tę groteskową powłokę, którą przyoblekłeś, i załóż nas znowu.*

Alastor zaczął pakować skrzydła z powrotem do pudełka.

- *Co ty wyprawiasz?* - w głosie zabrzmiała panika.

- *Zrobiłem to, o co prosiłyście.* - Alastor odważnie stawił czoła swojej psychozie, nie przestając przykrywać

odrabianych skrzydeł arkuszami plastikowej folii. - Nie mogę zrobić nic więcej.

- *Prosimy* - rozległ się błagalny szept, kiedy anioł zaczął zamykać pudło.

Mimo wyrzutów sumienia Alastor zignorował płaczliwy głos.

- Przepraszam - wydusił z siebie tylko.

Anioł zamknął pudło i błyskawicznie odwrócił się, nasłuchując głosów protestu, które jednak nie nadeszły. *Może one także dotrzymują wiążącej je umowy.* Alastor cofnął się od stołu, a jego myśli powróciły do jego ulubionego miejsca - w fotelu, przed telewizorem i z dużym kawałkiem szarlotki w ręce. Uśmiechnął się znowu. *Z szarlotką świat od razu nabiera barw.*

Śmiech, który rozległ się w tej chwili, wydawał się dobiegać zewsząd. Natychmiast spojrzął na pudło ze skrzydłami, ale coś podpowiedziało mu, że dźwięk nie dochodzi stamtąd. Czy to jego psychoza dała o sobie znać w inny sposób, czy może nie był już sam? Kiedy powoli odwrócił się, rozglądając się po zagraconej piwnicy, w głowie czuł nieprzyjemny szum.

Zza zasłony wiszących u sufitu płaszczy powoli wyłoniła się sylwetka w szkarłatnej zbroi. Alastor stłumił okrzyk zdumienia. Gdy obserwował sposób, w jaki ta nieznajoma postać się poruszała — skradając się bezsze-

lestnie — miał wrażenie, że widzi tylko wytwór swojej chorej wyobraźni. Czy to możliwe? Czy jego zatroskany, strapiiony umysł mógł rzeczywiście wymyślić sobie to czerwone widmo? A może czekała go jakaś kolejna wymyślna tortura?

Wtedy postać przemówiła, wskazując na niego palcem ubranym w żelazną rękawicę:

- Próbujesz się ukryć, tuszując swój anielski zapach ludzkim smrodem. - Nieznajomy pokręcił głową w opancerzonym hełmie, a spod maski rozległ się dziwny, trzeszczący odgłos. - Co gorsza, nie odwołałeś się nawet do niebiańskiej magii, po prostu obciąłeś sobie skrzydła. - W tym miejscu mężczyzna wykonał znaczący gest dłonią.

- Potęgi... — Alastor zaskrzeczał, z trudem wymawiając to słowo mięsistymi wargami. - Służysz Potęgom.

Znał odpowiedź, nim jeszcze odziana w krwistoczerwoną zbroję postać skinęła głową. Jego od dawna stępione zmysły odezwały się teraz z całą mocą, a zapach najbardziej agresywnego spośród wszystkich niebiańskich chórów wypełnił jego nozdrza. Właściwie to nie był zapach. W powietrzu cuchnęło rozlewem krwi.

- Przyszedłeś po mnie?

Zakuty w zbroję wojownik skinął ponownie.

Alastor przyjrzał się wysłannikowi Potęg. Część jego podświadomości zachwycała się złowrogo połyskującą.

imponującą zbroją nieprzyjaciela. Ta zbroja musiała zostać wykuta w niebieskiej kuźni, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. W nikłym świetle, jakie rzucała wokół pojedyncza, zwisająca z sufitu żarówka, widać było najdrobniejsze detale metalowej skóry. Upadły anioł przypomniał sobie dawno miniony czas — braci, którzy zginęli od jego miecza, a później własny upadek.

Alastora ogarnęła panika. Nie chciał umierać. Skupił się więc, żeby wzbudzić iskrę anielskiej furii, która tliła się w nim od czasu, gdy walczył u boku Syna Poranka. Wyobraził sobie bojowy topór i spróbował go zmateria-
lizować.

W jego dłoni rozbłysnęło gwałtowną eksplozją niebiańskie światło. Alastor zaczął krzyczeć. Minęło już tyle czasu, że teraz czuł tylko ból. Jego ciało zdążyło już przyjmując ludzką formę i niebiański ogień z łatwością pożerał delikatną skórę. W powietrzu uniósł się zapach przypalonego mięsa, a Alastor w jakiś perwersyjny sposób zdał sobie nagle sprawę, że chętnie by coś przekąsił. Żołądek podjechał mu do gardła - ze strachu i z głodu.

Cały czas koncentrował swoje myśli na obrazie bojowego topora - takiego, jakim kiedyś władał w walce. W jego spalonej dłoni ogień zaczął przybierać realny kształt i Alastor poczuł, jak wzbiera w nim fala optymizmu, którego nie doświadczył od czasu, kiedy wcielił w życie swój

plan i nieomal stał się człowiekiem. Wymierzył w pełni realny już topór w stronę przeciwnika.

Postać w czerwieni zachichotała. Ten pełen grozy dźwięk sprawił, że twarz skryta za maską przybrała jeszcze bardziej upiorny wyraz.

—Wydaję ci się zabawny, niewolniku Potęg? - spytał Alastor, próbując na chwilę zapomnieć o bólu w spalonej dłoni. - Zobaczymy, czy będzie ci do śmiechu, kiedy zdejmę ci tym toporem głowę z ramion.

Zakuty w zbroję wojownik po raz kolejny wybuchnął śmiechem, przywodząc Alastorowi na myśl jakiegoś obłąkanego dziecko. Stali tak na przeciwległych końcach piwnicy i mierzyli się wzrokiem. W poparzonej dłoni upadłego anioła wciąż płonął ognisty oręż. Błada, gumowata skóra na jego przedramieniu zaczęła się tlić i pękać. Ból stawał się nie do zniesienia, ale pozwalał zachować przytomność umysłu.

- Wyrzekłeś się wszystkiego dla czegoś takiego? - spytał krwistoczerwony demon, rozglądając się po zagraconej piwnicy, po czym skupił znów wzrok na twarzy Alastora.

Spojrzenie oczu wzierających zza pełnego hełmu było przenikliwe, przypominało dwa lodowe sztylety, które wwiercały się upadłemu aniołowi w czaszkę. Sługa Potęg pokręcił powoli głową z mieszaniną niedowierzania i obrzydzenia.

Ten protekcjonalizm tylko wzbudził w Alastorze jeszcze większą agresję i dodał mu odwagi. *Jak ten marny giermek śmie spoglądać na mnie z góry? Czy on nie ma pojęcia, ile odwagi i hartu ducha wymagała moja ofiara?*

W głębi duszy Alastor przywoływał pozostałości swojej od dawna nieaktywnej mocy. A potem z wściekłym rykiem pogardy rzucił się do przodu, rozrzucając po drodze zgromadzone w piwnicy przedmioty. Wzniósł topór nad głowę, gotów posiekać nieprzyjaciela na drobne kawałki. Płonące ostrze opadło, przecinając po drodze rząd wiszących pod sufitem płaszczy i sportowych kurtek oraz zakurzone pudło, pełne garnków i patelni.

Upadły anioł okręcił się na pięcie, wciąż ściskając w poczerniałej dłoni rękojeść gorejącego topora. Ognisty oręż zdziesiątkował pudło z listami i zeznaniami podatkowymi, wyrzucając w powietrze płonące kartki papieru, które po chwili opadły chmurą biało-szarego popiołu. Ale pomimo zajadłości, z jaką zaatakował, topór nie sięgnął celu.

Stojąc w deszczu spopielałych kawałków papieru, Alastor rozglądał się po piwnicy w poszukiwaniu wroga, gotów w każdej chwili uderzyć ponownie. Dostrzegł zakutego w zbroję mężczyznę, który stał za biurkiem. Dłoń odziana w szkarłatną rękawicę spoczywała na pudle ze skrzydłami.

— Musiało cię to bardzo boleć, Alastorze... - odezwał się do niego głuchym głosem. - Wielki ból musiał towarzyszyć wyrzeczeniu się i zamordowaniu w sobie tego, kim byłeś.

Alastor przypomniał sobie ból agonii, kiedy odcinał swoje piękne skrzydła. Najpierw odciął jedno i stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, to samo zrobił z drugim. Ból był rzeczywiście nie do opisanania i mógł się równać jedynie ze zdradą Stwórcy, jakiej się dopuścił.

Widok opancerzonej bestii w pobliżu jego skrzydeł wywołał w Alastorze wybuch jeszcze większej furii. Ledwie panując nad kipiącą wściekłością, upadły anioł rzucił się na wroga, wydając przeraźliwy okrzyk. Poruszał się z niebywałą jak na tę tuszę szybkością, ale nieprzyjaciel był jeszcze szybszy - zadał błyskawiczny cios, po czym usunął się z drogi nacierającemu Alastorowi. Ten wpadł na długi, drewniany stół do pracy, praktycznie wrywając go z granitowej ściany. Pudło ze skrzydłami upadło na podłogę i Alastor patrzył niemym wzrokiem, jak jego zawartość wysypuje się na betonową posadzkę. Powoli odwrócił się w stronę opancerzonego nieprzyjaciela, który stał bez ruchu, obserwując go drapieżnym, lodowatym wzrokiem.

Dopiero wtedy Alastor poczuł, jak w jego piersi wzbiera potworne odrętwienie, które błyskawicznie promie-

niuje w dół, do wszystkich kończyn. Spuścił wzrok i zobaczył, że w samym środku jego klatki piersiowej sterczy rękojeść bogato zdobionego sztyletu. Poczul, jak nagle opuszczają go wszystkie siły, i mógł tylko bezsilnie przyglądać się, jak rękojeść ognistego topora wysuwa mu się z ręki i znika w nagłym błysku, zanim jeszcze zdążyła dotknąć podłogi.

- Co... coś ty mi zrobił?

Przerażająca postać wzruszyła zakutymi w zbroję ramionami.

- Te drobne, niewinnie wyglądające symbole wykute w ostrzu... - powiedział, kreśląc te same znaki palcem w powietrzu. - Te symbole wysysają z ciała moc - dzięki czemu łatwiej mi będzie cię zabić.

Nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach, Alastor runął na ziemię, nakrywając sobą leżące na niej skrzydła. Poczul bijący od nich fetor zgnilizny. Nagle zawładnęło nim uczucie wielkiej straty.

- Tak mi przykro - wyszeptał do zapakowanych w folię skrzydeł. Czuł, jak ogarnia go całkowity paraliż, i mógł jedynie patrzeć w wykrzywioną okrutnym grymasem twarz swojego prześladowcy, który stanął nad nim okrakiem.

-Jak...? - wymamrotał, ale magia zawarta w prostych symbolach odebrała mu nawet mowę.

Szkarłatny wojownik sięgnął w dół i chwycił za rękę-
jęść sztyletu whitego w ciało pokonanego anioła.

- Jak co? - spytał beznamiętnie, zaciskając dłoń na
sztylecie.

-Jak... jak mnie znaleźliście? — wykrztusił z siebie
Alastor.

Mężczyzna wyprostował się i po raz kolejny wybuch-
nął upiornym śmiechem, niczym jakieś opętane przez
demonia dziecko.

— Znaleźliśmy? - powtórzył, naciskając na ostrze, któ-
re wnikało coraz głębiej, rozcinając klatkę piersiową Ala-
stora. Następnie wyciągnął sztylet i schował gdzieś pod
płytkową zbroją. - Nie musieliśmy cię szukać - parsknął
wysłannik Potęg, wsadzając obie dłonie w ziejącą czeluść
rany. - Cały czas wiedzieliśmy, gdzie się ukrywasz.

Alastor zamknął oczy, pogodzony z losem, skupiając
całą uwagę na szaleńczo bijącym sercu. Ten dźwięk przy-
pomiął mu łopot jego niegdyś wspaniałych skrzydeł.

A potem wszystko, co Alastor poświęcił, zostało mu
odebrane przez szkarłatną istotę rodem z koszmaru, ra-
zem z jego wciąż bijącym sercem, które niepokonany wo-
jownik wyrwał aniołowi z piersi.

ROZDZIAŁ 1

Czym mogę służyć? - spytała urocza dziewczyna z blond kucykiem i uśmiechem tak szerokim, że mógłby bez trudu przepołować jej twarz.

Aaron Corbet wyrwał się z zamyślenia i spróbował skupić się na tablicy z menu, wiszącej za plecami kelnerki.

- A, tak, dziękuję — wymamrotał, udając zainteresowanie kolejnym fast-foodem po drodze. Oczy piekły go od wielu godzin spędzonych za kierownicą i kiedy patrzył na spis potraw, wszystkie litery dziwnie się rozjeź-

dżaty. - Poproszę promocyjny zestaw whoppera z serem i do tego cztery duże porcje frytek.

Aaron miał nadzieję, że te cztery porcje frytek zaspokoją głód Kamaela, który nabrał nagle wielkiego apetytu na tłuste, śmieciowe jedzenie. Jeszcze kilka dni temu anioł wygłosił mu wykład na temat tego, że niebiańskie istoty w ogóle nie muszą jeść - ale to było, zanim jeszcze spróbował przyrumienionych na złoto pieczonych ziemniaków. *Anioł uzależniony od frytek.* - Aaron pokręcił głową. *Kto by się spodziewał?*

Nie był też w stanie przewidzieć, jak bardzo odmieni się jego własne życie. Anioł Kamael stał się jego towarzyszem i mentorem, od kiedy Aaron zdał sobie sprawę, że jest Nefilimem. Pamiętał, jak niewiarygodne i szalone wydawało mu się to na początku - bycie jakąś hybrydą, potomkiem kobiety i anioła. Dlatego Aaron myślał, że traci rozum. A potem ludzie, których kochał, zaczęli ginąć i Aaron uświadomił sobie, że stawką w tej grze jest coś więcej niż tylko jego zdrowie psychiczne.

Aaron odwrócił się i rozejrzał po restauracji. Zauważył parę z małym dzieckiem, nie więcej niż czteroletnim. Chłopczyk bawił się jakąś niebieską zabawką, którą pewnie dostał ze swoim zestawem obiadowym. Aaron od razu pomyślał o Steviem, swoim przyrodnim bracie, i ogarnął go niepokój. Przypomniał sobie ostatni raz, gdy go

widział. Auryryczny siedmiolatek został porwany z ich domu przez anioła - wojownika, stojącego na czele bandy morderców, nazywających siebie Potęgami lub Strażą Anielską. Potęgi chciały też uśmiercić Aarona, który okazał się nie zwyczajnym Nefilimem, ale Wybrańcem, o którym mówiła starożytna przepowiednia. Spisana tysiące lat temu, obiecywała odkupienie wszystkim upadłym aniołom.

Na początku to brzemie wydawało się Aaronowi zbyt ciężkie, ale z czasem, bardzo niechętnie, zaczął akceptować nieoczekiwane zwroty i niespodzianki, jakie przynosiło mu życie. Kamael twierdził, że każde wydarzenie stanowi część przeznaczenia, które zostało nakreślone na długo przed tym, zanim się urodził.

Chłopczyk siedzący nieopodal zakręcił małym błękitnym kapslem i - ku zachwytowi rodziców - klaskał z radością, obserwując wirującą na krawędzi stołu zabawkę.

Zgodnie z przepowiednią, ktoś taki jak Aaron miał być odpowiedzialny za to, aby wszyscy aniołowie ukrywający się na Ziemi od czasu zakończenia Wielkiej Wojny w Niebie mogli uzyskać przebaczenie i połączyć się powrotem ze Stwórcą. To sporo, jak na osiemnastolatka z Lynn w stanie Massachusetts, ale kto ośmielałby C sprzeciwić przeznaczeniu?

W pewnym momencie kręcący się kapsel spadł ze stołu i chłopczyk zaczął krzyczeć w panice. Aaron po raz kolejny przypomniał sobie bolesne i tragiczne wydarzenia z niedawnej przeszłości, a w uszach zadźwięczał mu rozdzierający krzyk zabieranego siłą brata.

- Myślę, że go sobie zatrzymam - powiedział wtedy Werchiel, dowódca Potęg, jakby Stevie był jakimś domowym zwierzątkiem. Na samo wspomnienie tej sytuacji w Aaronie zawrzała krew. Może i jest jakimś anielskim wybawcą, ale niczego nie pragnie bardziej niż odzyskać swojego brata. Wszystkie inne sprawy mogą poczekać do czasu, aż Stevie będzie bezpieczny.

Chłopczyk wciąż zanosił się płaczem, a jego rodzice gorączkowo szukali zgubionej zabawki. Ojciec, chodzący wkoło na czworakach, w końcu znalazł kapsę! pod sąsiednim stolikiem i przyniósł go synowi, który natychmiast przestał płakać. Mimo że twarz wciąż miał zalaną łzami, uśmiechał się szeroko. *Gdyby tylko moje zadanie mogło być równie proste* - Aaron westchnął ciężko.

- Chce pan keczup do tego? - usłyszał obok czyjś głos, kiedy zastanawiał się właśnie, ile jeszcze kilometrów uda im się dzisiaj przejechać. Był już zmęczony i przez krótką chwilę pomyślał, żeby nauczyć Kamaela prowadzić samochód, ale od razu porzucił tę myśl. Wyobraził sobie siedzącego za kółkiem anielskiego wojownika,

w sytuacji jakiejś niegroźnej kolizji drogowej, czy et stłuczki, wysiada z wozu i rozcina innego kierow- na pól swoim ognistym mieczem.

Raptem Aaron poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i od- się. Za nim stała kelnerka z kucykiem i niewia- ie szerokim uśmiechem. W rękę trzymała jego ówienie.

- Keczup? - powtórzyła pytanie.

- Mówiła pani do mnie? - Aaron zmieszał się i ode- od niej torbę z kanapkami. - Przepraszam, jestem hę rozkojarzony, wie pani - cały dzień w trasie i...

Nagle zamarł. Jego przybrana matka zwykła mawiać takiej sytuacji, że czuje się tak, jakby ktoś przeszedł jej grobie. Cokolwiek to miało znaczyć. Nigdy nie umiał ani nie podzielał różnych dziwnych podejrzeń, óre snuła, ale akurat to powiedzenie z jakichś powo- 'w utkwiło mu w pamięci. Aaronowi brakowało przy- ranych rodziców, zaszlachtowanych przez nieznające- litości Werchiela. To uczucie straty tylko potęgowało ć odnalezienia brata. Aaron odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył, że z baru wychodzi w pośpiechu jakiś facet, a w ślad za nim podąża dwóch innych.

Anielska natura, która towarzyszyła mu niezmiennie od dnia osiemnastych urodzin, dała teraz o sobie znać - a wraz z nią odezwały się też zmysły, wyostrzone du-

zo bardziej od ludzkich. W powietrzu czuć było zapach czegoś, co miało jakiś związek z mężczyznami, którzy przed chwilą opuścili restaurację. Aaron potrafił odróżnić ten zapach od aromatu rozgrzanego oleju roślinnego i grillowanego mięsa. W powietrzu czuć było silną woń przypraw... i krwi.

Aaron podziękował grzecznie, wziął torby z jedzeniem i wyszedł na zewnątrz, szybko zmierzając w stronę niebieskiej Toyoty Corolli, zaparkowanej na tyłach budynku. Widział już pysk swojego psa, który wyglądał przez tylną szybę. Gabriel zaczął szczekać radośnie, kiedy jego pan zbliżał się do samochodu. Nie dlatego, że ucieszył się na jego widok, ale dlatego, że pan wracał z jedzeniem.

- *Co tak długo?* - spytał pies, kiedy Aaron położył jedzenie na siedzeniu kierowcy. - *Już myślałem, że nigdy nie wrócisz.*

Umiejętność porozumiewania się w każdym możliwym języku, nie wyłączając także języka zwierząt, była jeszcze jednym niezwykłym przejawem anielskich talentów Aarona - a w przypadku jego czworonożnego przyjaciela mogło to okazać się zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

- *Umieram z głodu, Aaronie.* - Gabriel był tak podekscytowany, że nie mógł usiedzieć spokojnie. Miał na-

dzieję, że w jednej z tych toreb znajdzie coś, co zaspokoi nienasycony apetyt, charakterystyczny dla labradorów.

Gabriel uwielbiał gadać, a kiedy Aaron użył swoich ponadludzkich zdolności, ratując mu życie w wypadku samochodowym, labrador nagle stał się dużo mądrzejszy i okazało się, że ma całkiem dynamiczną osobowość. Aaron kochał go jak własnego brata, chociaż zdarzało się czasem, że wolałby, aby Gabriel był tylko psem.

- *Naprawdę, muszę coś zjeść* - odezwał się pies z tylnego siedzenia.

- Nie teraz, Gabe - odpowiedział Aaron, odwracając się do potężnie zbudowanego mężczyzny, który siedział z zamkniętymi oczami na fotelu obok. - Muszę porozmawiać z Kamaelem.

Anioł zignorował go, ale Aaron mówił dalej.

- W środku, w restauracji... Jestem przekonany, że widziałem trzech aniołów, którzy wyszli tylnymi drzwiami i...

Kamael powoli odwrócił głowę i otworzył błękitne oczy, przesywając Aarona swoim stalowym spojrzeniem.

- Dwaj z nich to Strażnicy, a ten trzeci to upadły anioł. - Kamael odchylił do tyłu obsypaną siwizną głowę i zaczął węszyć. - Z chóru Cherubinów, jak sądzę. Wiedziałem o ich obecności, kiedy zaparkowaliśmy przed tym barem.

- I nie uznałeś za stosowne mnie poinformować? - Aaron zdenerwował się. - To mogła być doskonała okazja, na którą czekamy. Oni mogli doprowadzić nas do Steviego.

Anioł przyjrzał mu się beznamiętnym wzrokiem. Los młodszego brata Aarona zdawał się zaprzętać mu umysł w minimalnym stopniu. Kamaelowi chodziło tylko o wypełnienie przepowiedni i odnalezienie tajemniczej kryjówki upadłych aniołów o nazwie Aerie.

- Musimy iść za nimi - powiedział Aaron z mocą w głosie. - To nasz pierwszy kontakt z aniołami od czasu, kiedy wyjechaliśmy z Maine.

Gabriel wsadził łeb między przednie siedzenia.

- *Ale wcześniej możemy zjeść. Prawda, Kamaelu?* - spytał, nie spuszczając wzroku z toreb z jedzeniem leżących na fotelu. - *Nie możemy ścigać aniołów z pustymi brzuchami - zawsze to powtarzam.*

Kapiąca z jego pyska ślina spadała prosto na dźwignię hamulca ręcznego.

Kamael odsunął gwałtownie rękę, żeby też nie zostać oślinionym, i wbił wzrok w psa.

- Ja nie muszę jeść — warknął, zapominając najwyraźniej o swojej słabości do frytek.

Aaron otworzył tylne drzwi i wskazał Gabrielowi, żeby wysiadł z auta.

- Chodźcie, musimy się pospieszyć, zanim ich zgubimy.

- *Czy mogę dostać najpierw chociaż kilka frytek?* - zapyta! labrador, wyskakując z wozu na parking. - *To utrzymałoby mnie przy życiu do momentu powrotu.*

Aaron zignorował psa i zamknął drzwi, chcąc jak najszybciej ruszyć w pościg.

- Uważasz, że to rozsądne? - odezwał się Kamael, który również wygramolił się z samochodu. - Dawać o sobie znać w taki sposób, właśnie tutaj?

Aaron wiedział, że stawianie czoła aniołom wiązało się z pewnym ryzykiem, ale jeśli dzięki temu mogli wpaść na świeży trop jego brata, to musiał skorzystać z tej szansy.

- Strażnicy odpowiadają przed Werchielem, a to on uprowadził Steviego - odparł, mając nadzieję, że Kamael jednak zrozumie kierujące nim motywy. - Nie mógłbym żyć z myślą, że nawet nie spróbowałem dowiedzieć się, co ci trzej mogą wiedzieć na ten temat.

Kamael obszedł samochód, powoli zapinając guziki czarnej marynarki, nienaganny jak zwykle.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie skończą to twoją śmiercią?

Powiedz mi coś nowego, czego jeszcze nie wiem -
a! Aaron, odwracając się tyłem do swoich towarzy-

szy i podążył za anielskim zapachem, prowadzącym ścieżką wprost do gęstego lasu, który otaczał restaurację.

Bez względu na to, jak bardzo starał się o tym nie myśleć, Werchiel nie był w stanie opuścić sali lekcyjnej sierocińca przy opuszczonym kościele pod wezwaniem św. Atanazego, w której znajdował się jego więzień.

Skryty w cieniu, anielski wojownik przyglądał się skulonej postaci śpiącej w stalowej klatce i zastanawiał się, jak takie prowizoryczne więzienie jest w stanie powstrzymać tak potężne zło. Gdyby to od niego zależało, Werchiel zniszczyłby tego więźnia, ale chociaż nie chciał się do tego przyznać, nawet on nie byłby w stanie sprostać takiemu wyzwaniu. Na razie musiał się więc zadowolić klatką, do której zresztą schwytyany dał się spokojnie zaprowadzić. Kiedy kwestia Nefilima i tej przeklętej przepowiedni zostanie raz na zawsze rozwiązana, wtedy Werchiel skupi się na odpowiedniej karze dla swojego więźnia.

- Czy jestem dla ciebie aż tak fascynującym gatunkiem? - odezwał się nagle głos zza krat. Więzień powoli przyjął pozycję siedzącą, opierając się o pręty. W dłoni trzymał szarą mysz i palcem wskazującym delikatnie gładził ją po łebku. - Nie pamiętam, byśmy spędzali ze sobą tyle czasu, nawet będąc w Niebie.

Werchiel przypomniał sobie na chwilę swój dom. Mi-
ną! szmat czasu, od kiedy po raz ostatni widział wspa-
niałe, strzeliste wieże i wspomnienie ich piękna wydało
mu się teraz wręcz bolesne.

- To były inne czasy - odparł lodowatym tonem. -
My też byliśmy... inni.

Dowódca Potęg nagle zapragnął opuścić pomieszcze-
nie i znaleźć się jak najdalej od tego kryminalisty, od-
powiedzialnego za tyle zła. Ale w końcu został, jedno-
cześnie wzburzony i oczarowany upadłym aniołem oraz
wszystkim tym, co sobą ucieleśniał.

- Możesz nazwać mnie szaleńcem - więzień podtrzy-
ma! rozmowę, wskazując głową gdzieś poza kraty - ale
nawet będąc tutaj, w niewoli, czuję, że coś się dzieje.

Werchiel mimowolnie zbliżył się do klatki.

- Mów dalej.

- Wiesz, jak to jest, kiedy nadciąga letnia burza. Kie-
dy powietrze napełnia się energią, która przepowiada
nadejście czegoś wielkiego. Tak właśnie się teraz czuję.
Zanosi się na coś naprawdę dużego. - Więzień nie prze-
stawał głaskać myszy, oczekując jakiegoś potwierdzenia
ze strony swojego rozmówcy. - Co ty o tym sądzisz. We-
selu? Zbiera się na burzę?

Werchiel nie omieszkał się pochwalić. Jego plan już
wie się ziścił i czuł się bardzo pewny siebie.

- To nie burza, ale biblijny potop - powiedział, odwracając się do pojmanego plecami. - Kiedy Nefilim, ten Aaron Corbet, zostanie wreszcie pokonany, nadejdzie czas wielkich zmian. — To mówiąc, podszedł do prowizorycznie zasłoniętego okna i wyrztał przez nie. Mimo iż nad Nową Anglią panowała właśnie noc, on widział wszystko tak, jakby był środek dnia.

- Kiedy powiernik tej bluźnierczej przepowiedni spocznie martwy u moich stóp, a wszyscy ci przestępcy i renegaci Wielkiej Wojny znajdą się na krawędzi rozpaczy, wiedząc, że Pan nie zamierza im przebaczyć, wtedy zostaną wytropieni, jeden po drugim - i zabici! - Werchiel odwrócił się od okna, żeby popatrzeć na swoją zdobycz. - To właśnie czujesz w powietrzu, Synu Poranka. Triumf Potęg - mój triumf!

Więzień podniósł mysz i delikatnie ucałował ją w mały szpiczasty pyszczek.

- Skoro tak twierdzisz. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się. Myślałem raczej o czymś bardziej wyjątkowym - powiedział. Mysz trąciła go nosem w policzek i pojmany zachichotał cicho, zaskoczony tym nagłym przyływem uczuć.

Werchiel podszedł do klatki. Na jego bezbarwnych ustach pojawił się zimny uśmiech.

- A czy może być coś bardziej wyjątkowego od Nefili-

ma umierającego na rękach swojego rodzeństwa? - spytał więźnia z okrucieństwem w głosie. - Nie cofniemy się przed niczym, by go zniszczyć.

Więzień pokręcił głową z dezaprobatą.

- Chcecie posłużyć się tym dzieciakiem, żeby zabić jego brata. To okrutne, Werchielu - nawet dla kogoś o takiej reputacji jak moja.

Anioł uśmiechnął się, mile połaskotany tym specyficznym komplementem.

- To dziecko było upośledzone, stanowiło brzemię dla świata, w którym się urodziło - do chwili, w której ja poddałem je przemianie i stworzyłem w ten sposób potężną broń, która ma tylko jeden cel: zabić Nefilima i wszystkie przekłete ideały, jakie sobą reprezentuje. - Werchiel zrobił krótką pauzę dla wzmocnienia dramaturgii wypowiedzi, studiując przy tym niepokój, który zagościł na twarzy pojmanego anioła. - Twierdzisz, że jest to okrutne? Aby zakończyć ten konflikt raz na zawsze, muszę stosować najokrutniejsze z możliwych środków.

Mysz wypróżniła się na dłoń więźnia, który wytarł palce w grubą, brązową habitę.

- Co czyni tego Nefilima - tego Aarona Corbeta - tak szczególnym, w porównaniu z tysiącami innych, których zgładziłeś w ciągu wieków?

Werchiel przypomniał sobie bój, jaki stoczył z tym

niedoszłym zbawicielem, anielskie symbole, zdobiące jego ciało, czarne skrzydła, które unosiły go w powietrzu, i olbrzymią waleczność, którą się odznaczał.

- Nie ma w nim nic specjalnego. - Uśmiechnął się szyderczo. - I trzeba to pokazać tym, którzy wierzą, że to on ma ich ocalić.

Werchiel po raz kolejny powrócił myślami do powietrznej bitwy, jaką stoczyli w burzy, którą sam wywołał, i do ognistych mieczy, przecinających powietrze. To miało być śmiertelne uderzenie, jednym ciosem gorejącego ostrza miał zdjąć głowę z ramion tego bluźniercy. I wtedy, w sposób zupełnie niewytłumaczalny, w Werchiela uderzyła błyskawica z nieba, a on runął na ziemię, płonąc jak pochodnia. Rany na jego ciele jeszcze się nie zagoiły, a ciągły ból przypominał mu o Nefiłimie i stawce, o jaką toczyła się ta walka.

-Jego śmierć - kontynuował - będzie dowodem na to, że przepowiednia to kłamstwo, a Pan nie zamierza nikomu przebaczyć.

Więzień oparł kędzierzawą głowę o żelazne kraty swojego więzienia, a mysz ułożyła mu się na kolanach.

- Dlaczego ta przepowiednia tak cię trapi? - spytał. — Czemu rozgrzeszenie po tylu tysiącletniach wydaje ci się czymś strasznym?

Werchiel poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Rozwi-

nał potężne skrzydła, podnosząc pył z ziemi i wachlując zatechłe powietrze.

- Bo to jest zniewaga dla Boga! Ci, którzy wystąpili przeciwko swojemu Stwórcy, powinni ponieść zasłużoną karę za swoje winy, a nie doczekać przebaczenia.

Więzień zamknął oczy.

- Ale pomyśl, Werchielu, czy nie byłoby wspaniale zerwać wreszcie z niechlubną przeszłością? - Na ustach mężczyzny zagościł błogi uśmiech, który znów przypominał Werchielowi, jak kiedyś było w Niebie i jak wiele wszyscy stracili. - Kto wie, może nawet poprawiłaby cię od tego cera? — dodał więzień.

Ta myśl już wcześniej przeleciała Werchielowi przez owę. Być może niegojące się rany były dowodem na to, Stwórcy nie podobały się jego czyny. Ale sugerowanie go przez kogoś tak nikczemnego i podłego, zabrzmiało oszczerstwem i przekraczało granice cierpliwości Werchela. Dowódca Potęg rzucił się wściekle i doskoczywdo klatki, złapał za żelazne pręty.

- Jeżeli naraziłem się na gniew naszego Stwórcy, to lko z powodu tego, czego jeszcze nie udało mi się zrobić, a nie tego, co już uczyniłem. - Werchiel poczuł, jak go moc wędruje w dół ciała, spływając na ramiona, potem do dłoni. - Nie udało mi się pokonać Nefilima, zrobię wszystko, by naprawić ten błąd.

Metalowe pręty rozbłysnęły pomarańczowym światłem niebiańskiego ognia, tak że więzień cofnął się na środek klatki. Jego habit i podeszwy sandałów zaczęły się tlić.

- Ja na to zasłużyłem - powiedział z determinacją w stalowych oczach. - Ale on nie.

To mówiąc, wyciągnął dłoń z myślą w stronę Werchiela i podszedł do prętów klatki, które rozgrzały się już do czerwoności. Zdecydowanym ruchem wysunął rękę na zewnątrz, upuszczając na ziemię mysz, która natychmiast uciekła i skryła się w cieniu. Rękaw habitu więźnia zapłonął żywym ogniem.

- Cóż za wzruszająca scena - uśmiechnął się Werchiel, który wciąż ładował pręty klatki swoją niezemską mocą. - Napełnia mnie to nadzieją, kiedy widzę, jak anioł twojego pokroju poświęca tyle uwagi jednej z najmniejszych istot, stworzonych przez Boga.

- To się nazywa współczucie, Werchielu - więzień odparł przez zaciśnięte zęby; jego skromne odzienie płonęło. - Jedna z tych Boskich cech, której tobie zawsze brakowało.

- Jak śmiesz! - ryknął Werchiel, szarpiąc za żelazne pręty klatki, która emanowała już oślepiającym białym blaskiem. - Jestem tym wszystkim, czym jest nasz Stwórca. Wyrazem i świadectwem Jego Boskiej chwały na Ziemi.



Ogarnięty płomieniami więzień upadł w klatce. Kiedy związał się z bólu na rozgrzanej ziemi, z jego poczerzniętej skóry wzbijały w niebo kłęby tłustego dymu.

- A co, jeśli to wszystko prawda? - spytał niewiarygodnie spokojnym głosem. - Co, jeśli... to część Jego planu?

- Błuznierstwo! - wrzasnął anioł, płonąąc tak wielkim gniewem, że pręty klatki z każdą sekundą stawały się coraz jaśniejsze - i coraz bardziej gorące. - Naprawdę uważasz, że Pan mógłby przebaczyć tym, którzy poddawali w wątpliwość Jego Boską władzę?

- Słyszałem, że niezbadane są wyroki Boskie - odparł szyderczo więzień, spękany od gorąca ustami.

Tymczasem Werchiel napawał się cierpieniem swojego wroga.

- A co, jeśli to prawda. Poranna Gwiazdo? Może ta cała przepowiednia jest wyłącznie intrygą, wymyśloną przez Boga w jego niezmierzonej przenikliwości? Nawadę sądzisz, że i tobie należy się przebaczenie?

Płonący więzień związał się w kłębek i znieruchomiał, lecz nadal był w stanie mówić: — Jeżeli wierzę w przepowiednię... to mój los znajduje się w rękach Nefilima, 'eprawdaż?

- Tak - odparł Werchiel. - Zgadza się. Ale ja nigdy do tego nie dopuszczę.

Więzień podniósł głowę, jego całkowicie spalona twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- I właśnie dlatego jestem tutaj? - wycharczał w suchym szepcie. - Dlatego mnie tu więzisz... żebym już nigdy nie dostał swojej szansy?

Werchiel skumulował na prętach klatki jeszcze jeden wybuch energii. Więzień rzucił się jak ryba wyjęta z wody i ciśnięta brutalnie na piasek, a potem znieruchomiał. Rany, które otrzymał, były tak dotkliwe, że stracił przytomność.

Przywódca Straży Anielskiej puścił pręty i cofnął się. Wiedział, że pojmany przez niego renegat przeżyje. Potrzeba było znacznie więcej, żeby zniszczyć kogoś tak potężnego. Ale obrażenia, które odniósł, sprawia, że będzie cierpiał. To musiało na jakiś czas wystarczyć.

Werchiel odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Miał jeszcze wiele do zrobienia, nie mógł dłużej zawracać sobie głowy jakimś jeńcem wojennym.

- Podobnie, jak Boskie wyroki - powiedział sam do siebie — także moje są niezbadane.

Niebiańska moc, skażona trucizną arogancji i obłądu, przepływała swobodnie przez jego poranione ciało, sprawiając mu niewyobrażalny ból, dzięki któremu wpadał jednak w otchłań niebytu i zapomnienia.

Więzień dryfował po lodowatym oceanie ciemności.

I śnił.

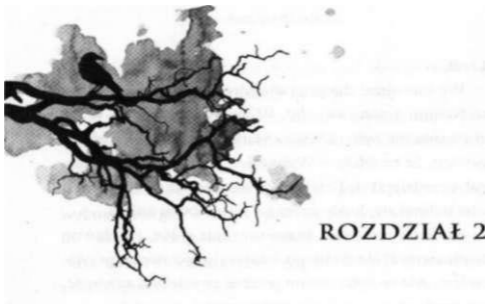
We śnie ujrzał chłopca i wiedział instynktownie, że jest to Nefilim z przepowiedni. W jego wyglądzie ani w zachowaniu nie było niczego wyjątkowego, ale więzień był pewien, że to właśnie Wybraniec, Aaron Corbet. Chłopak przedzierał się przez gęsty las. Nie był sam. Więzień uśmiechnął się, kiedy zobaczył u jego boku anioła.

Kamael - pomyślał, przypominając sobie, jak dawno temu zwracał się do niego, nazywając go swoim przyjacielem. Ale to było, zanim jeszcze zwyciężyła zazdrość, rozpełtała się wojna i nastąpił ostateczny upadek.

Wtem zobaczył psa, który wybiegł naprzód, ale teraz wrócił, żeby podzielić się z towarzyszami swoim odkryciem. To było piękne zwierzę, jego gęste futro jaśniało słonecznym blaskiem. Pies kochał swojego pana, widać to było po jego ruchach - po tym jak przekrzywiał łeb, rozumiewając się z nim i po tym, jak radośnie machał 'nem.

Trudno nie lubić tego chłopca - pomyślał więzień, z trudem przebijając się przez ścianę potwornego bólu, po czym zapadł jeszcze głębiej w nieświadomość, żeby przyspieszyć proces gojenia bolesnych ran. *Jak mógłbym nie lubić kogoś, kto przysporzył Werchielowi tylu kłopotów?* A poza tym, Aaron Corbet miał psa.

A ja zawsze miałem słabość do psów.



Johiel miał dość Ziemi, odkąd się tu pojawił, przeszło tysiąc lat temu. Ale kiedy potknął się o wystający spod ziemi korzeń i runął jak długi na leśne runo, upadły anioł poczuł, jak jego niechęć do tej planety zmienia się w gorzką nienawiść. Zwalił się na ziemię, ze świstem wypuszczając powietrze z płuc, po czym zsunął się w dół niewielkiego zbocza, zanim odzyskał równowagę na tyle, by z powrotem stanąć na nogi. Tak, Johiel nienawidził życia na Ziemi. Niestety, nie miał alternatywy, a nawet jeśli, to była ona jeszcze mniej zachęcająca.

Obejrzał się do tyłu, żeby sprawdzić, czy wciąż za nim idą- Cóż za idiotyczna myśl. *Przecież to Strażnicy, oczywiście, że za nim idą.* Teren zaczął się obniżać, w oddali słyszał już odgłosy samochodów i ciężarówek, jadących autostradą. *Dam radę dotrzeć do drogi - zdołał pomyśleć, chociaż w głowie słyszał jeden wielki szum. Może złapię okazję i ucieknę.*

Przedzierając się przez gęsty las, Johiel przeklinał w duchu własną głupotę. Gdyby nie nawiązał kontaktu z Potęgami, może nie znalazłby się teraz w takim położeniu. Jak mógł być tak nierozsądny, żeby uwierzyć, że jego wrogowie okażą mu choć odrobinę litości i wyrozumiałości? Ale miał już dosyć życia w ciągłym strachu i w poczuciu nieustającego zagrożenia, wiszącego mu nad głową, tak że nigdy nie wiedział, czy dana chwila nie będzie jego ostatnią.

Odgłosy pobliskiej szosy stawały się coraz wyraźniejsze i Johiel łudził się nawet, że być może jego prześladowcy zmęczeni już pościgiem. A może zdecydowali, że nie jest wart ich uwagi. Ta myśl z jednej strony napełniała go ulgą, z drugiej zaś czuł się trochę urażony - czyżby Strażnicy nie chcieli poznać informacji, którą miał dla nich i za którą chciał kupić sobie życie? Johiel był przekonany, że ta wiedza mogła okazać się niezwykle cenna dla ich przywódcy, a on był skłonny się nią podzielić, za cenę życia w pokoju, a nie w strachu.

Nagle ziemia za nim eksplodowała kulą ognia. Wybuch był tak silny, że Johiel został ciśnięty na chłodne, wilgotne leśne runo jak zabawka.

- Chodzi o coś, co powiedzieliśmy, nasz mały, upadły bracie? - Johiel usłyszał za plecami zimny, okrutny głos.

- A może o coś, czego nie powiedzieliśmy? - dołączył do niego drugi głos, równie bezwzględny.

Johiel pozbierał się i obrócił twarzą do dwóch nienaganie ubranych, uśmiechniętych aniołów, którzy wyszli zza drzew i skierowali się w jego stronę. Wiedział, że ma trzy wyjścia, z których dwa bez wątplenia skończyłyby się dla niego tragicznie. Mógł odwrócić się i uciec, ale natychmiast zostałby zaszlachtowany jak ranne zwierzę. Mógł też bronić się, co miałoby dokładnie taki sam skutek. Ale mógł też wcielić w życie swój pierwotny plan. Perspektywa odbycia rozmowy z dwoma Strażnikami napawała go przerażeniem, ale nie dał tego po sobie poznać. Przybrał pewną siebie pozę i dobył ognistego miecza, na wszelki wypadek, gdyby jednak sztuka dyplomacji zawiodła.

Wojownicy zatrzymali się jak na komendę, błyszczące ostrze miecza Johiela odbijało się w ich bezgranicznie ciemnych oczach.

- Czegoś tu nie rozumiem, Bethmaelu — jeden z nich zwrócił się do swojego towarzysza. - Najpierw ten prestepeca chce się z nami spotkać, a kiedy zjawiamy się

na jego wezwanie, ucieka. A teraz jeszcze grozi nam bronią?

Anioł nazwany Bethmaelem wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu.

- Taki już jest ten świat, bracie Kyrielu - powiedział, nie spuszczać oczu z upadłego anioła. - Oni wiedzą, że nie przystają do niego, i ta świadomość odbiera im zmysły.

Anioły rozwinęły skrzydła, prezentując je w pełnej okazałości. Johielowi przypominały one kaptur kobry, która rozpościera go tuż przed atakiem.

- Chciałem rozmawiać z którymś ze Strażników. - Johiel zdobył się w końcu na odwagę. - Z kimś, kto ma bezpośredni kontakt z Lordem Werchielem. A zamiast tego zostaję zaatakowany i zmuszony do ucieczki, by ratować życie.

Kyrieł zatrzepotał gwałtownie skrzydłami, a w jego dłoni pojawił się ognisty miecz, który, niczym poranna zorza, rozświetlił pogrążony w mroku las.

- A cóż taki przestępca jak ty miałby do powiedzenia potężnemu Werchielowi?

- Mam dla niego poufną wiadomość - wyjąkał Johiel, który nagle stracił pewność siebie. Świadomość, że ma zdradzić tych, którzy niegdyś przyjęli go do swojego grona, napawała go trwogą. Ale nie do tego stopnia, że-

by zapomniał języka w ustach- - Wiem, gdzie znajduje się miejsce, którego tak rozpaczliwie poszukujecie, ale wciąż nie możecie znaleźć.

- I jak rozumiem, chcesz tę informację za coś wymienić? - spytał Bethmael.

Drugi z aniołów wciąż miał puste dłonie, nie dobył jeszcze żadnej broni, dlatego Johiel śledził go uważnie. Nie ufał Potęgom, ale to była jego ostatnia szansa, żeby pozbyć się strachu, który prześladował go od zakończenia wojny. Ale odzyska wolność albo zginie.

- Zgadza się, taka jest cena mojego życia - wyjaśnił.
- Zdradzę wam położenie tajnej kryjówki, a wy w zamian puścicie mnie wolno.

- Żądasz czegoś na kształt immunitetu? Chcesz w ten sposób uniknąć słusznej kary, jaka ci się należy? - upewnił się Kyriel, opuszczając na chwilę miecz.

- Biorąc pod uwagę wiedzę, którą posiadam, życie jednego anioła to dobra cena.

Strażnicy wymienili między sobą znaczące spojrzenia, po czym Kyriel z powrotem podniósł broń.

- Nasz upadły brat chce targować się o swoje życie - zwrócił się do Bethmaela, wyraźnie rozbawiony. Ten przytaknął, a na jego anielskiej twarzy pojawił się uśmiech, który nie wróżył jednak niczego dobrego. - Żąda ochrony w zamian za informację - powiedział.

Teraz obaj Strażnicy uśmiechali się i Johiel prawie uwierzył, że jego plan się powiódł. Broń w jego rękę zdematerializowała się na znak dobrej wiary, chociaż nie mógł przestać myśleć o tych, którzy mieli zginąć, aby on mógł przetrwać. *Jakoś będę musiał z tym żyć* - pomyślał.

- Wasze słowo uznaję za wiążące - powiedział, tym razem już na głos, do Bethmaela i Kyriela. - Umowa stoi?

Aniołowie wybuchnęli śmiechem. Był to wysoki, świąjący w uszach dźwięk; przypominał pikującego drażniaka, który rzucał się na swoją ofiarę. Johiel powinien zrozumieć ostrzeżenie.

- Żołnierze Straży Anielskiej nie pertraktują ze zdrajcami i kryminalistami - warknął Bethmael, a w jego : pojawił się długi łuk. W ułamku sekundy napiął "wę i wypuścił ognistą strzałę. Z sykiem przeciępowietrze, jak gdyby ostrzegając swoją ofiarę przed wszywającym bólem, jaki ją czekał.

Płonąca strzała utkwiała głęboko w ramieniu Johiela, ucajając go w tył i przyszpilając do pnia starego dębu. "el rozpaczliwie próbował się uwolnić. Złapał strzałę tej samej chwili nocne powietrze wypełniło się pornym, słodkim fetorem palonego mięsa. Wydał z siebie przeraźliwy krzyk i cofnął dotkliwie poparzoną dłoń. ni załamionymi od bólu dostrzegł dwóch aniołów, I ruszyli w jego stronę.

- Pozwól, że teraz my złożymy ci naszą ofertę, upadły bracie - powiedział Bethmael. Zamiast łuku, trzymał w ręce ognisty sztylet, którym groźnie zamachał Johielowi przed nosem. - Zdradzisz nam swój sekret, a zginiesz szybko i bezboleśnie.

Johiel spróbował jeszcze raz oderwać ramię przyspiłone do drzewa, ale ból był zbyt wielki.

- Nic... nic wam nie powiem - powiedział głosem drżącym ze strachu i bólu. Ognista strzała, wbita w ramię zaczynała pożerać jego ciało, a ból błyskawicznie promieniował w dół ręki.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi - pokiwał głową Kyriel, a w jego dłoni również pojawił się sztylet.

Johiel nie chciał umierać - a już na pewno nie w takich męczarniach. Może sekretna wiedza, którą posiadał, pozwoli mu uniknąć najstraszliwszej kary, a przynajmniej złagodzi jej wymiar.

- Wiem, gdzie ukrywają się inni upadli - wykrztusił, patrząc, jak ogniste ostrza zbliżają się do jego ciała.

Bethmael zatrzymał się i nakazał Kyrielowi, żeby zrobił to samo.

- Mów dalej - rozkazał upadłemu aniołowi. - Zrzucić z siebie to brzemię.

-Ja... mogę was tam zaprowadzić... do samych drzwi - wydusił z siebie Johiel.

- Blefuje - warknął Kyriel i przybliżył rękę ze szty-
letem.

- Mógłbym wam powiedzieć, gdzie to jest... ale nie
traficie tam bez mojej pomocy - Johiel zaskowyczał,
wijąc się z bólu. - To miejsce zostało ukryte przed po-
stronnym wzrokiem za pomocą magii... ale mogę was
tam zaprowadzić.

- Znudziły mnie już te gierki, bracie - powiedział
Kyriel, chcąc zadać Johielowi jak najwięcej cierpienia.

K - Odetniemy mięso od tych zdradzieckich kości i...

- Zamilcz, Kyrielu - uciszył go Bethmael. Wyraz jego
czarnych oczu podpowiedział Johielowi, że Strażnik Po-
tęg zaczął w końcu rozumieć istotę jego wiedzy. - Co to

J za miejsce, o którym mówisz? - spytał Johiela z rosnącą
B ciekawością.

Johiel zerknął na strzałę wystającą z jego ramienia,
a potem odwrócił wzrok i skupił go na Bethmaelu.

- Usuń tę strzałę, a podzielę się z tobą moją wiedzą
• - oznajmił, mając nadzieję, że jego prześladowcy na-
głe uznali, że stanowi dla nich większą wartość żywy
| niż martwy.

- Jak nazywa się miejsce, o którym mówisz? — po-
| wtórzył pytanie Bethmael.

Johiel już miał im wyjawić sekret, gdy nagle rozległ się
I szelest gałęzi i trzaskanie igliwia pod czymiś stopami.

Jako pierwszy z zarośli wyłonił się pies o płowym futrze. Zatrzymał się na chwilę, przekrzywił łeb i przyjrzał się im uważnym spojrzeniem brązowych ślepi, które zdradzało znacznie większą inteligencję niż u przeciętnego czworonoga- Następnie pojawił się chłopak, a tuż za nim znajomy anioł. Johiel przypomniał sobie nawet jego imię - Kamael. Kiedyś był potężny, ale później zdradził Potęgę.

- *Mówiłem wam, że znajdę ich pierwszy* - pies odezwał się do chłopaka.

- I co teraz? - Anioł rozejrzał się.

Młody człowiek zaczął się zmieniać i Johiel mógłby przysiąc, że usłyszał, jak obaj Strażnicy stłumili okrzyk zdumienia. Na skórze chłopaka pojawiły się symbole, anielskie symbole. Wtedy dopiero Johiel zdał sobie sprawę, że nie był to zwykły chłopiec.

- Teraz, skoro już ich dopadliśmy, skopujemy im tyłki, aż wyjawią nam to, co chcemy usłyszeć - powiedział chłopak, a z każdym słowem jego głos zamieniał się w głuchy łoskot.

- Zalecałbym roztropność - odparł cicho Kamael, kładąc dłoń na ramieniu Aarona. - Jeśli rzucisz się do walki bez zachowania ostrożności, nie wiń mnie za przedwczesną śmierć.

Kamael rozejrzał się ponownie. Mieli przed sobą typową sytuację: dwóch Strażników Potęg zamierzało właśnie

ić jednego z upadłych aniołów, karząc go w ten sposób za występki przeciw Niebu. Wielu upadłych aniołów 'nęto z jego własnych rąk, kiedy był jeszcze na usłupie Potęg i zanim uświadomił sobie, że śmierć nie jest ym wyjściem.

- W porządku. - W głosie Aarona zabrzmiała niecierpliwość. - Będę ostrożny. Nie zaatakowałem ich jeszcze - ale jak długo mam zachowywać ostrożność, zanim dobiorę im się do tyłków?

Żołnierze Potęg odstąpili od swojej ofiary, rozwinęli skrzydła i dumnie wyprężyli muskularne piersi. Noże, które trzymali w dłoniach, zamieniły się w coś dużo bardziej imponującego i znacznie bardziej niebezpiecznego.

- Czy wzrok mnie nie myli, bracie Kyrielu? - Woicy spojrzeli po sobie. - Czyżbym widział naszego tego dowódcę, Kamaela?

Kamael znał Kyriela i Bethmaela. Obaj służyli wierne pod jego rozkazami, kiedy dowodził legionem Potęg. Dlatego zasmuciło go, kiedy dojrzał w ich oczach błysk szaleństwa.

- Ale jak to możliwe, Bethmaelu? - spytał szyderczo Kyriel. - Przecież wielki Kamael porzucił drogę przemocy i wspiął się na wyższy poziom ewolucji. Słyszałem nawet, że stanął u boku jakiegoś wybawcy, Boskiej istoty, która może mieć posłuch u naszego Boga.

- Co ty powiesz? - Bethmael udał zdziwienie. - W takim razie musiałem się pomylić, bo ja tu nie widzę nikogo takiego - ani istot wyższego rzędu, ani żadnych wybawców.

Kamael z chęcią wyjaśniłby im powody, dla których obrał taką, a nie inną drogą życiową oraz filozofię, która zmieniła się pod wpływem starożytnej przepowiedni, zwiastującej nadejście Nefitima. Ten potomek śmiertelnej kobiety i anioła miał zapewnić rozgrzeszenie wszystkim, którzy musieli uciekać z Nieba po wojnie. Ale wiedział doskonale, że Strażnicy go nie wysłuchają. W ciągu tych kilku tysiącleci oni także się zmienili. Ich umysły zostały zatrute przez Werchiela i jego krwawą misję.

- A więc znacie się? - spytał Aaron, wciąż pomny słów anioła Kamaela, by zachować ostrożność.

- Kiedyś mi służyli, byli moimi żołnierzami - wyjaśnił Kamael, nie spuszczać oczu z dwóch Strażników Potęg. Pamiętał, że obaj byli zaprawieni w bojach, a niezachwiane oddanie dla sprawy czyniło z nich śmiertelnie niebezpiecznych przeciwników.

Bethmael wskazał na przybyłych szpicem swojego imponującego miecza.

- Pokażmy im, jak się postępuje ze zdrajcami i kundłami. - Na twarzy mówiącego zagościł jadowity uśmiech.

• Nasłuchałeś się już wystarczająco tych bzdur? - odezwał się Aaron.

Kamael dobył miecza i stanął w gotowości do walki.

- Chyba tak.

Aaron nagle odwrócił się.

- Pozwól mi się nimi zająć - powiedział z naciskiem, kładąc Kamaelowi na piersi naznaczoną anielskimi znakami rękę. Oczy chłopaka zaśniły złowrogim blaskiem, niczym dwie czarne perły w oceanie nieokiełznanymi emocjami. - Muszę się nauczyć kontrolować swoją siłę, sam mi to powtarzałeś.

Kamael nie mógł mu odmówić. Aaron miał rację, przecież najważniejsze było kontrolowanie własnych umiejętności. Anielska natura Nefilima mogła przekształcić ją w niebezpieczną i gwałtowną siłę. Człowiek nie był stworzony do tego, żeby dźwigać brzemień, które może "prowadzić aż na skraj szaleństwa. Kamael próbował pomnieć sobie wszystkich Nefilimów, którzy oszaleli pod wpływem swojej wyjątkowej natury, i których zmuszony był zabić. Poznał zbyt wielu, żeby wszystkich zapomnieć.

- Nie martw się - rzekł uspokajająco Aaron. - Jeśli będę potrzebować twojej pomocy, na pewno dam ci znać.

Chłopak odwrócił się i rozprostował ramiona. Z jego pleców wystrzeliły czarne jak smoła, lśniące skrzydła,

go miecza skapują krople krwi Bethmaela. Ten wspaniały dźwięk napełnił go niekłamanym zachwytem i satysfakcją.

Rzeczywiście, obawiał się swojej anielskiej mocy, ale ona stała się już częścią niego, a on nie mógł zrobić nic, by to zmienić. Na początku zdawało mu się, że najlepszym sposobem, żeby poradzić sobie z tą częścią swojej natury, która uaktywniła się w dniu jego osiemnastych urodzin, było stłamsić ją i zamknąć w sobie. Ale okazało się to praktycznie niemożliwe. Ta moc chciała pozostać na wolności, żeby wypełnić swoją misję. A on, musiał to przyznać, nie był wystarczająco silny, żeby ją okiełznać. Przez lata, spędzone w sierocińcach i domach dziecka, Aaron próbował nauczyć się samokontroli. Ale jego pierwsze starcie z Werchielem, nad zgłiszczami rodzinnego domu i popiołami tych, których kochał i którzy traktowali go jak własne dziecko, szybko nauczyło go, że aby przeżyć, powinien czasem dać sobie spokój i wypuścić na wolność tę siłę, którą w sobie odkrył.

- Co jest? Macie już dosyć? - Aaron spytał gwardzistów Potęg, z szelmowskim uśmiechem błakającym się na twarzy. Wyobraził sobie, jakie wrażenie musiał na nich zrobić, i poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz podniecenia. Aaron chciał, żeby się bali - chciał, żeby bali się jego. To byli agenci Werchiela i ta świadomość mu wystarczyła. Oni nie szukali zjednoczenia ani

pokoju. Zależało im tylko na bezlitosnym mordowaniu tych, których uważali za „gorszych” od siebie.

Walka rozgorzała na dobre. Aniołowie rzucili się na niego z wrzaskiem, który przypominał okrzyk polującego, drapieżnego ptaka - orła albo sokoła. Ogniste ostrze Bethmaela po raz kolejny przecięło powietrze niebezpiecznie blisko.

- Werchiel dostanie twoją głowę - Aaron usłyszał tuż obok nienawistny syk. Poczul na twarzy gorąco bijące od ostrza i uchylił się, żeby uniknąć ciosu. Potem wymierzył aniołowi potężnego kopniaka w brzuch, odrzucając go do tyłu.

Kyriel, walczący ramię w ramię ze swoim bratem, dźgnął mieczem, kierując ostrze w klatkę piersiową ona. Ten jednak opuścił broń, parując cios, a nanie ciął anioła w twarz. Kyriel zatoczył się do tyłu rykiem zaskoczenia i bólu, przyciskając dłoń do rano, dymiącego policzka.

- Myślę, że zostanie ci paskudna blizna - zadrwił niego Aaron, czując, jak pradawna energia, którą próbował kontrolować, krąży swobodnie w jego żyłach, tym momencie nie był w stanie nic zrobić.

- On... on mnie dźgnął - wyszczał Kyriel, oglądając awioną dłoń.

Nie było to poważne obrażenie, tym bardziej, że pło-

nące ostrza anielskich mieczy natychmiast przyżęgały ranę, przyspieszając gojenie. Ale Aaron był ciekaw, kiedy ostatnio ten sługa Werchiela widział własną krew. Brat Kyriela pospieszył mu z pomocą, choć i on został wcześniej ranny.

- Więc i my go dźgniemy - syknął Bethmael, rozpierając złocistobrazowe skrzydła i wzbijając się w powietrze. W rękę ścisnął miecz, gotów posmakować krwi Nefilima.

Zachęcony przez brata, Kyriel zapomniał na chwilę o zranionej twarzy i również zanurkował z góry wprost na Aarona.

Aaron przyglądał się, jak obniżają lot, stopniowo, niczym w zwolnionym tempie. Ich sypiące iskrami, płonące miecze z każdym kolejnym metrem, wydawały coraz głośniejszy, trzaskający odgłos. Aaron chciał się ruszyć, ale nie był w stanie. Jego dzika moc musiała już zmęczyć się tą bitwą i chciała ją jak najszybciej zakończyć. Aaron poddał się jej, pozwalając, by opłynęła go od stóp do głów, niczym morska fala.

Aniołowie byli już bardzo blisko, praktycznie wisieli mu już nad głową. Odróżniał wyraźnie ich charakterystyczny zapach. W tym zapachu czuć było arogancję. Mimo iż Aaron wyszedł bez szwanku z bezpośredniego pojedynku z ich panem, Werchielem, Bethmael i Kyriel

wciąż uważali go za kogoś gorszego od siebie. I za tę pychę musieli ponieść bolesną karę.

Kyriel jako pierwszy stanął twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. Opuścił ostrze płonącego miecza, chcąc przepołować Aarona, ale Nefilim już tam nie było. Z zaskakującą szybkością Aaron zanurkował pod opadającym ostrzem i pchnął swoim gorejącym mieczem, celując prosto, w czarne serce Kyriela.

Aaron nie miał czasu podziwiać wyrazu twarzy żołnierza Potęg, pełnego cierpienia i bólu, ale też i bezgranicznego zdziwienia. Musiał odeprzeć atak jego brata. Odwrócił się w ostatniej chwili, żeby przyjąć bolesny cios w ramię, jaki zadał mu Bethmael. Nie zwrócił jednak na to uwagi, tylko wyprowadził własne pchnięcie. Ostrze miecza z łatwością przecięło skórę, mięśnie i kości, odrywając Bethmaelowi głowę. Aaron patrzył nie bez satysfakcji, jak głowa anioła wiruje przez chwilę w powietrzu, po czym opada na ziemię. Tuż za nią runęło bezwładne ciało; z bezgłowej szyi buchały teraz kłęby dymu.

Aarona zadziwiły własne odczucia, kiedy przyglądał się bez emocji twarzy Bethmaela, zastygłej w śmiertelną maskę. Nie czuł odrazy ani zaskoczenia. Nie czuł nic. Miał tylko poczucie dobrze spełnionego zadania.

Nagle z tyłu dobiegł go jakiś jęk. Obrócił się i zobaczył, że Kyriel jeszcze żyje. Anioł klęczał na trawie, przy-

ciskając dłoń do piersi; z rany unosił się gęsty, oleisty dym. Kyriel płonął od środka, widać było po jego twarzy, że trawi go potworny ból. Aaron spojrzął na wroga, ale nie potrafił zdobyć się na współczucie - czuł tylko, że musi dokończyć dzieła.

- Aaronie - usłyszał tuż obok głos Kamaela. Zignorował jednak swojego mentora i przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

- Aaronie, co ty wyprawiasz? - Kamael spytał ostrożnie, patrząc, jak Nefilim wznosi do ciosu swój ognisty miecz, po czym opuszcza go i zatapia w czaszce Kyriela, kończąc jego żywot, a tym samym całą bitwę.

Aaron poczuł na swoim ramieniu ciężką dłoń anioła i odwrócił się gwałtownie. Przez chwilę czuł, jak buzująca w nim moc podpowiada mu, by podniósł broń i zmierzył się z aniołem, ale jakoś udało mu się stłumić to pragnienie i odczekać, aż bitewny szął minie.

Kamael spoglądał na niego, w jego oczach widać było wielki niepokój. Aaron nie do końca wiedział, co spowodowało taką reakcję.

- Co się stało? - zapytał, czując, jak znaki na jego ciele powoli znikają, a skrzydła na plecach zwijają się i chowają pod skórą.

Gabriel dołączył do nich i patrzył na swojego pana z tą samą konsternacją i szokiem.

- *Zabiłeś ich, Aaronie* - powiedział z rozczarowaniem w głosie.

- Pewnie, że zabiłem - odparł Aaron, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiezek, gdy przypomniał sobie to uczucie, kiedy dał się ponieść drzemiącej w nim mocy. - Założę się, że oni nie spodziewali się...

- *Ale jak teraz mają nam pomóc odnaleźć Steviego?* - przerwał mu Gabriel i Aaron poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. W bitewnej furii nawet przez chwilę nie pomyślał o swoim bracie.

- Co ja narobiłem? - wyszeptał, unikając oskarżycielskiego wzroku przyjaciół. Skupił się na dymiących zwłokach tych, których zabił. Uzmysłowił sobie wreszcie koszmar, który stał się jego udziałem, i to, o czym B na śmierć zapomniał.

Poczuł też, jak nieokiełznana moc w jego wnętrzu t uspokaja się, usatysfakcjonowana.

Przynajmniej na jakiś czas.

Pomarańczowe płomienie pożerały żarłocznie ciała I martwych żołnierzy Potęg. Aaron nie mógł oderwać (wzroku od tego potwornego widoku. Dotarło do niego wreszcie, że żaden z nich nie udzielił im już informacji 1 o losie Steviego, na której tak mu zależało. Nawet jeżeli i wiedzieli coś na ten temat, zabrali tę wiedzę do grobu.

- Co się ze mną dzieje, Kamaclu? - spytał, obserwując.

jak kości Strażników zamieniają się w popiół. - W ogóle nie pomyślałem o Steviem - przyznał ze smutkiem. - Tak jakby on się już w ogóle nie liczył.

- Twoja moc potrafi być bardzo samolubna - wyjaśnił chłodno Kamael. - Zależy jej tylko na tym, żeby zaspokajać własne potrzeby. To dzika, nieokiełznana siła, która musi zostać poskromiona. Albo między ludźmi i aniołami zapanuje jedność, albo powstanie kompletny chaos.

Czaszka jednego z martwych aniołów eksplodowała pod wpływem gorąca, wznecając snop iskier.

- Zdawało mi się, że kiedy ta moc obudziła się we mnie... a ja do niej przemówiłem...

- To był dopiero początek długiego i skomplikowanego procesu - wtrącił się Kamael, strzepując z ramienia popiół, będący jedynym wspomnieniem jego pokonanych braci.

- Musi nastąpić zjednoczenie, w przeciwnym razie...

Anioł nie dokończył zdania i Aaron po raz pierwszy oderwał wzrok od dymiących resztek Strażników, których przed chwilą zabił, żeby spojrzeć mu w oczy.

- W przeciwnym razie co...? - spytał, spoglądając Kamaelowi prosto w oczy, chociaż wcale nie był przekonany, czy chce poznać odpowiedź.

Kamael odwzajemnił się spojrzeniem, lodowatym niczym arktyczna bryza. Aaron poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

- W przeciwnym razie popadniesz w obłąd, a ja będę zmuszony cię zabić.

Aaron z trudem oddychał. Jakby miał mato zmarwień, teraz jeszcze musiał pilnować się, żeby nie zwariować i nie zostać zabitym przez kogoś, komu nauczył się ufać. Jego anielska natura obudziła się znowu i najwyraźniej za nic miała sobie słowa Kamaela. Chciała uwolnić się, zerwać krępujące ją łańcuchy i ukarać Kamaela za jego groźby. Ale Aaron pozostał głuchy na jej agresję i stłumił w sobie krwawe pożądanie.

- Uważasz, że tracę zmysły? - spytał.

Kamael nie odpowiedział, tylko podniósł głowę, popatrzył na rozgwieżdżone niebo. Aaron chciał powtórzyć pytanie, kiedy nagle Gabriel zaszczeakał.

- O co chodzi, Gabe? - spojrzał na psa, któremu sierść zjeżyła się na karku.

j — *Wydaje mi się, że to nie koniec naszych kłopotów* — Gabriel zawarczał groźnie, przypadając do ziemi.

Aaron z Kamaelem odwrócili się i zobaczyli dwie postacie, stojące obok niedoszłej ofiary Potęg, wciąż przyszpilonnej strzałą do drzewa. W bitewnym amoku Aaron zapomniał nie tylko o Steviem, ale także o upadłym aniele. Czyżby miał on jednak jakichś przyjaciół? Przy drzewie stał mężczyzna, ubrany tak, jakby przed chwilą opuścił plan filmowy jakiegoś taniego spaghetti wester-

nu: kowbojskie buty i kapelusz, czarne dżinsy oraz brązowy płaszcz, który powiewał na wietrze. Obok niego stała kobieta, również ubrana w dżinsowy, choć znacznie bardziej współczesny strój. W mroku widać było jej długie włosy w kolorze świeżo spadłego śniegu.

- Co to za...? - odezwał się Aaron, obserwując, jak mężczyzna sięga ręką i wyciąga strzałę tkwiącą w ramieniu anioła.

- Upadły anioł - wyjaśnił Kamael, wężąc, jak pies chwytający trop. - A ta dziewczyna to Nefilim.

Oswobodzony anioł zawył z bólu, po czym upadł na ziemię na skraju polany.

- Wygląda na to, że przyszli z odsieczą swojemu kumpłowi - zauważył Aaron, lecz nagle zamilkł.

Upadły anioł, który właśnie przed chwilą uwolnił swojego pobratymca od płonącej strzały, sięgnął pod płaszcz i wy dobył niewielki pistolet, również rodem z Dzikiego Zachodu; z odległości wyglądał, jakby był cały wykonany ze złota. Cofnął się o krok, wymierzył broń w kłęczącego anioła i bez litości strzelił mu między oczy.

- Jasna cholera! - wyszeptał Aaron, patrząc, jak anioł osuwa się na trawę, martwy.

- Coś mi się wydaje, że jednak nie są przyjacielami - odezwał się Kamael, kiedy przebrzmiało już echo pojedynczego wystrzału.

Nagle Gabriel zaczął wściekle ujadać i dwójka nieznajomych odwróciła się.

— Na waszym miejscu uciszyłbym to zwierzę - przemówił kowboj, kierując broń w ich stronę. Był wysoki, twarz miał ogorzałą od wiatru i przeoraną bruzdami, a spod kowbojskiego kapelusza wymykały się pasma długich, siwych włosów. - Nie chcecie chyba, żeby puściły mi nerwy, a broń przypadkowo wystrzeliła - dodał z kwaśnym uśmiechem.

— *Kogo on nazywa zwierzęciem?* — warknął Gabriel, ujadając wściekle i rzucając się w stronę mężczyzny.

— Spokojnie, Gabriel. - Aaron położył rękę na grzbiecie psa.

Zobaczył rozpalający się blask ognistego miecza i kątem oka dostrzegł, że Kamael na wszelki wypadek szykuje się do walki. W sobie też poczuł znajomy przypływ siły, a na jego skórze znów zaczęły się pojawiać magiczne symbole. Niechętnie pozwolił, by moc znów nim zawładnęła. Ł - Nie szukamy kłopotów - rozległ się potężny głos Kamaela, który stał z mieczem gotowym do ataku. - Pozwólcie nam odejść w swoją stronę i niech tak to się skończy.

Nieznajomi milczeli. Kobieta beztrząsowo przesunęła palcami po siwych włosach i wtedy Aaron zdał sobie sprawę, że nie jest od niego wcale starsza.

- Czy to byli wysłannicy Werchiela? - spytała, wskazując na dymiące resztki aniołów.

- Tak - odpowiedział Aaron. Z pleców wyrosły mu skrzydła i Nefilim rozpostarł je powoli, dając potencjalnym napastnikom przedsmak tego, co ich czeka, jeśli sami będą się prosić o problemy.

- Coś podobnego. - Mężczyzna z pistoletem zmrużył oczy. - Pomyślałby kto, że dacie sobie radę z dwoma żołnierzami Werchiela.

- Myślę, że powinniśmy ich zabrać - oznajmiła beznamyślnym głosem kobieta. Aaron wiedział, że ma do czynienia z Nefilirem, i poczuł nagle coś na kształt łączącej ich więzi. Nie przejął się też w ogóle jej słowami. *Zabrać nas? Jesteśmy jakimiś przestępcami, czy co?*

- Nigdzie się nie wybieramy - ostrzegł ich Kamael. - Widzę dwa wyjścia z tej sytuacji - jedno z nich na pewno nie przypadnie wam do gustu.

Anioł z pistoletem zarechotał.

- Nie przypadnie nam do gustu? - powtórzył jak echo.
- Podoba mi się to.

A potem spojrzął na towarzyszącą mu kobietę i powiedział: - Lorelei, zajmij się nimi.

- Jak sobie życzysz, Lehahiaszu - odparła dziewczyna i rozpostarła szeroko ramiona. Z jej ust wydobyły się gardłowe dźwięki, przypominające jakiś dziwny język.

Gdy tylko Aaron usłyszał te słowa, wiedział, że nie zwiastują one niczego dobrego. Kobieta rzucała na nich jakiś czar, przywoływała żywioły. Zesztywniał, a w jego dłoni nagle pojawił się ognisty miecz.

- Kamaelu, musimy...

W powietrzu rozległ się dziki ryk, jakby odezwało się naraz stado dzikich kotów. Z nieba spadł deszcz błyskawic. Noc rozbłysła na moment oślepiającym światłem, a potem wszystko spowił gęsty, nieprzebrany mrok.

Aaron nie zdążył nawet dokończyć zdania.

ROZDZIAŁ 3

N"adejście Malaka zwiastowało jak zwykle charakterystyczne drżenie powietrza, wzbijające w górę tony nagromadzonego przez lata kurzu i pyłu, który oblepiał rury centralnego ogrzewania i przewody kominowe, biegnące wzdłuż sufitu zapomnianej kotłowni w piwnicy sierocińca pod wezwaniem świętego Atanazego. Chwilę później rozległ się donośny dźwięk, przypominający odgłos rozdieranej szaty, a w pomieszczeniu otworzył się jakby świetlisty portal. Rósł on i rozszerzał się coraz bardziej, aż w końcu pojawił się sługa Potęg.

Budząca grozę postać, zakuta w lśniąca zbroję w kolorze wyschłej krwi i trzymająca w ręce ociekający czymś worek, przedarła się przez wrota czasu i wkroczyła do materialnego świata. Przemieszczanie się między wymiarami umożliwiała wspaniała zbroja, wykuta w niebiańskiej kuźni, którą Malakowi podarował osobiście sam przywódca Potęg - Lord Werchiel. W każdej chwili Malak mógł podążyć za tropem w dowolne miejsce na Ziemi.

Kiedy jego stopy uderzyły o betonową posadzkę kotłowni, przez krótki moment w miejscu przejścia można było dostrzec jakieś odległe, niegościnnie miejsce, smagane gwałtownym wichrem, pokryte śniegiem i lodem. Po chwili jednak brama zamknęła się i wszystko zniknęło.

Malak pociągnął nosem, węsząc w poszukiwaniu kogoś, kto ewentualnie mógłby się ukrywać w kotłowni. Ale jedynym zapachem, który czuł, był jego własny. Łowca rozluźnił się. Położył worek na ziemi i zdjął hełm z głowy, kładąc go na stercie makulatury przewiązanej sznurkiem. Pod wpływem powietrza poczuł delikatne mrowienie w końcówkach włosów, podniósł więc ubraną w rękawicę dłoń i przejechał metalowymi palcami po kędzierzawej blond czuprynie. *Jak dobrze być w domu* - pomyślał, rozglądając się po wilgotnym, ciemnym pomieszczeniu. Wzrok Malaka powoli przyzwyczajał się

do znajomych miejsc i przedmiotów - sterty bezładnie rzuconych, jedna na drugą, drewnianych ławek i pozótkłych, rozpadających się zeszytów. W kotłowni stały także szafy na dokumenty, zawierające niegdyś bardzo ważne informacje, a także niszczący w półmroku stary bojler, z boku którego wychodziła płatanina rur i przewodów, niczym macki jakiejś pradawnej, dawno wymarłej pierwotnej bestii. To była kryjówka i azyl, w którym Malak mógł odpocząć, odzyskać siły i skoncentrować się na kolejnych polowaniach.

Dom...

Malak podniósł worek z ziemi i ruszył przed siebie. Worek ociekał jakąś mazią, która zostawiała na posadzce wijący się ślad. Mijając po drodze olbrzymi globus, łowca z radością zakręcił nim jak dziecko.

Z tyłu kotłowni, przykręcone do ściany, wznosiły się rzędy półek, na których kiedyś ustawiano zapasy, służące utrzymaniu budynków kościelnych. Teraz można tu było znaleźć przedmioty o zgoła odmiennym charakterze. Myśliwy uśmiechnął się szeroko, kiedy wpadający do środka promień słońca oświetlił na moment galerię jego trofeów i nagród, które przywoził z łowów. Podziwiał przez chwilę łykowane uszy, które odciął z głów członków plemienia upadłych, ukrywającego się w dżunglach Ameryki Południowej. Słoi ki z oczami tych, którzy

nie chcieli uznać jedynej i niepodzielnej władzy Potęg. Języki, wyrwane z ust upadłych aniołów, którzy mieli czelność wyrazić się niepochlebnie o swoim panu i władcy. I niezliczone, zakrwawione pióra, wyrwane ze skrzydeł tych wszystkich, którzy zostali wyrzuceni z Nieba, a następnie wytropieni i pozbawieni życia przez Malaka. Wszystkie skarby napawały okrutnego łowcę rosnącą satysfakcją. *Tak wiele polowań* - pomyślał, przypominając sobie każde śmiertelne uderzenie, jakie zadał swoim nieszczęsnym ofiarom.

Malak podszedł do jednej z półek i odsunął na bok zwęgloną czaszkę anioła, który w swojej naiwności łudził się, że Bóg stoi po jego stronie, gdy z nim walczył. A potem sięgnął do worka i wyjął stamtąd parę odciętych dłoni, ustawiając je na wygospodarowanym przed chwilą miejscu. W głowie usłyszał przeraźliwe krzyki anioła, którego nie tak dawno pozbawił rąk i uśmiechnął się; żałosny skowyt agonii był prawdziwą muzyką dla jego uszu. Malak cofnął się o krok i przyjrzał się raz jeszcze swojej imponującej kolekcji. Stopy - pomyślał nagle. *Przydałoby mi się jeszcze para stóp.*

Z przesiąkniętej krwią torby dobiegł go inny, jeszcze bardziej intensywny zapach. Malak otworzył worek i zajrzał do środka. Oblizał usta, czując narastający głód, kiedy przyjrzał się najcenniejszemu ze wszystkich

trofeów myśliwskich. Ostrożnie wyjął z torby ostatnią rzecz - ociekające krwią serce anioła.

- Widzę, że twoje ostatnie przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. - Malak usłyszał za plecami znajomy głos. Łowca odwrócił się i spojrzał z radością na swego pana.

Werchiel podszedł do niego beztróskim krokiem, z rękami splecionymi za plecami, a Malak padł na kolana i z wielkim szacunkiem oddał mu pokłon.

- Mam nadzieję, że jesteś ze mnie dumny, panie - powiedział.

- Oczywiście - odparł dowódca Potęg, mijając kłęczącego sługę i podchodząc do półki z trofeami. - Widzę, że od mojej ostatniej wizyty przybyło tutaj sporo... eksponatów - dodał, studiując wzrokiem potworną wystawę Malaka.

- Poluję codziennie - odparł ochotco Malak. - Czasem z mojej ręki ginie nawet dwóch albo trzech przestępców. Lubię kolekcjonować te przedmioty, bo przypominają mi one o każdym zwycięstwie.

- Tak, bez wątpienia jesteś zwycięzcą. - Werchiel poikiwał głową, odwracając się od półek i spoglądając łowcy w twarz. - A co z zapachem Nefllima? Wpadłeś już na jego trop?

Malak skłonił znów głowę, nie chcąc widzieć rozczarowania w oczach swojego pana. Dwa tygodnie temu

wyczuł zapach tego mieszańca w legowisku podwodnej bestii. Stoczono tam zaciekłą bitwę i Nefilim skropił obficie kamienie jaskini swoją krwią. Ale potem Malak go zgubił. Nefilim i jego towarzysz nie ułatwiali mu zadania, maskując swoje ślady potężną magią.

- Niestety, nie - przyznał ze smutkiem. - Ale to tylko kwestia czasu, zanim wpadnę najego trop i doścignę go - jeśli będzie trzeba, na końcu świata.

Werchiel zachichotał.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, mój wierny Malaku. Ale nie przejmuj się. - Anioł uśmiechnął się do niego i Malak odczuł ulgę. - Dzięki temu, że straciłeś trop, mogłeś udoskonalić swoje wyjątkowe zdolności. - To mówiąc, Werchiel wskazał na półkę z trofeami. - Potraktuj to jako rozgrzewkę i trening przed ostatecznym starciem z Nefilimem.

Malak dumnie uniósł głowę i spojrzał swojemu panu prosto w jego ciemne oczy.

- Jestem już gotów, panie - oznajmił.

W- — Owszem, nie wątpię w to. - Werchiel skinieniem głowy nakazał mu powstać. - Ale musimy uzbroić się w cierpliwość. Wkrótce będziesz ścisnął w dłoni serce Aarona Corbeta. - To mówiąc, Werchiel wskazał na ociekający krwią organ, który Malak wciąż trzymał w ręce.

Łowca wznosił serce niczym kielich w geście toastu dla swojego pana.


- To będzie serce Nefilima - powiedział, podnosząc serce do ust i odgryzając potężny kęs.

Werchiel pokiwał głową ze zrozumieniem.

- I to szybciej, niż ci się wydaje.

Głos pana Arslaniana brzęczał w głowie Vilmy jak rój wściekłych pszczoł. Dziewczyna nerwowo wyglądała przez okno klasy na pierwszym piętrze. Drgnęła, spodziewając się, że ujrzy obserwującego ją mężczyznę, siedzącego na jednej z gałęzi. *Muszę skończyć z tym szaleństwem* - ostrzegła samą siebie, próbując skupić się na wykładzie z historii. Nie miała tak naprawdę pojęcia, o czym jest dzisiejsza lekcja, ale na pewno miało to jakiś związek z Wojną Secesyjną - tak jak *wszystkie* lekcje z panem Arslanianem.

Vilma czuła, że pieką ją oczy. Była pewna, że są zaczerwienione i przekrwione, mimo nieustannego zakrapiania. Rozpaczliwie potrzebowała snu. Wystarczy kilka godzin i będzie jak nowo narodzona. Ale wraz ze snem przychodziły koszmary i wizje jakichś mężczyzn obserwujących ją przez okno z gałęzi drzewa, na które wychodziło okno jej sypialni. Przed jej oczami pojawiły się znów obrazy z koszmarów: przerażający aniołowie.



zakuci w złote zbroje i obracający w pył starożytne miasto oraz dziewczyna, bardzo podobna do niej, uciekająca w panice przez pustynię przed pogromcami z Nieba. W końcu jednak aniołowie dopadali ją i unosili, krzyżującą wniebogłosy, w powietrze, a potem rozrywali na strzępy...

- Panno Santiago? - rozległ się głos i Vilma wzdrygnęła się, zrzucając przy okazji książkę do historii na podłogę. Reszta klasy zachichotała i dziewczyna poczuła, że rumieni się ze wstydu. Szybko schyliła się, podniosła podręcznik i spojrzała przed siebie. Zobaczyła Judy Flanagan, asystentkę szkolnego psychologa, stojącą obok pana Arslaniana.

- Pani Beamis chce cię widzieć - powiedziała Judy, sprawiając przy tym wrażenie lekko zdenerwowanej.

- Przepraszam - wymamrotała Vilma i pozbierawszy swoje rzeczy, wyszła za nią z klasy.

- W porządku - odparła Judy, obserwując ją uważnie. - Nie chciałam cię wystraszyć.

Jej słowa wywołały kolejną salwę śmiechu w klasie, a Vilma zawstydzona jeszcze bardziej, zamykając za sobą drzwi.

Z torbą z książkami przewieszoną przez ramię, Vilma pomaszerowała przez puste korytarze liceum Kennetha Curtisa, prosto do gabinetu szkolnego psycholo-

ga, zastanawiając się po drodze, z jakiego powodu pani Beamis zapragnęła się z nią zobaczyć. Pomyślała o tych wszystkich wnioskach stypendialnych, które wypełniła w ciągu kilku ostatnich miesięcy. *Nie zaszkodziłoby usłyszeć jakas' dobrą nowinę* - pomyślała, otwierając drzwi do gabinetu i weszła do niewielkiej recepcji.

Pani Vistorino, sekretarka, ubrana jak zwykle w jedne ze swoich charakterystycznych spodniów, tym razem w kolorze jasnoniebieskim, pisała coś na komputerze.

- Zaraz się tobą zajmę, kochanie. - Dokończyła pisanie, nie c>drywając wzroku od ekranu monitora. - Co mogę dla ciebie zrobić? - spytała, zdejmując z nosa okulary, które zadyndały na złotym łańcuszku, zwisającym z jej szyi.

- Podobno pani Beamis chciała mnie widzieć? - powiedziała nieśmiało Vilma, czując, jak ogarniają nerwowość.

- Jak się nazywasz? - Pani Vistorino, sięgnęła po słuchawkę telefonu i wcisnęła guzik. Z gabinetu za jej plecami wyszła Judy Flannagan i uśmiechnęła się do niej uprzejmie, zdejmując z biurka sekretarki plik papierów i podchodząc do regalu z segregatorami, który stał w kącie recepcji.

- Vilma Santiago - przedstawiła się Vilma, patrząc jak zahipnotyzowana na to, co robi pani Flannagan. *Muszę się wyspać - i to porządnie.*

- Przyszła Vilma Santiago - zaanonsowała do słuchawki pani Vistorino. Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Vilma modliła się, żeby to była jakaś pomyłka. - Proszę bardzo - powiedziała sekretarka. - Możesz wejść, pani Beamis czeka na ciebie.

Vilma podeszła do drzwi i zapukała nieśmiało. Szkolna psycholog poprosiła ją, żeby weszła, a kiedy Vilma znalazła się już w gabinecie, przywitała ją ciepłym uśmiechem i wskazała miejsce w fotelu stojącym na wprost jej biurka.

- Siadaj, Vilmo - powiedziała. - Przepraszam, że wyciągnęłam cię z klasy w środku zajęć, ale chcę z tobą o czymś porozmawiać i jak sądzę, nie powinnam z tym dłużej zwlekać.

Vilma usiadła w fotelu, zdejmując z ramienia torbę z książkami i kładąc ją obok na podłodze.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało - powiedziała drżącym ze zdenerwowania głosem. W gabinecie pachniało miętą i Vilma zauważyła, że pani Beamis obraca ustach biały cukierek w czerwone paski, studiując uważnie otwartą teczkę z aktami - zapewne były to jej akta.

- Nie, nic się nie stało - odparła po chwili pani Beamis, przerzucając parę kartek. - Tylko trochę się niepokoję. - To mówiąc, podniosła wzrok znad dokumentu i spojrzała w twarz.

Dziewczyna poczuła, jak szybko bije jej serce.

- Czym... jeśli wolno spytać?

Psycholog zamknęła teczkę i wzięła długopis z zasypianego papierami biurka.

- Od kiedy przeniosłaś się do liceum Kena Curtisa, byłaś jedną z naszych najlepszych uczennic. Nauczyciele chwalili cię i doceniali, podkreślając zawsze, że dajesz dobry przykład innym uczniom. Jesteś bystra, elokwentna i towarzyska. Gdybyśmy mieli jeszcze z tysiąc takich dzieciaków jak ty, nasza praca byłaby bez porównania łatwiejsza.

Vilma poczuła, jak po raz kolejny oblewa się rumieńcem.

- W takim razie, dlaczego...

- Dlatego, że gdy taka uczennica jak ty zaczyna zachowywać się inaczej, zauważają to natychmiast wszyscy, nauczyciele i uczniowie.

Vilma zamarła w fotelu. Miała nadzieję, że udaje jej się zamaskować problemy, które ją trapią. Ale najwidoczniej tylko się oszukiwała. Musiało to mieć znacznie większy wpływ, niż sama mogła się spodziewać.

- Czy chciałabyś ze mną o czymś porozmawiać? - spytała pani Beamis. - Może masz jakieś problemy w szkole czy w domu?

Vilma zawahała się. Perspektywa opowiedzenia pani

[Beamis o koszmarach i zrzucenia z siebie tego ciężaru była dość kusząca.

- Chcemy ci pomóc, jak tylko potrafimy, Vilmo - zapewniła ją szkolna psycholog. - Nie ma takiego problemu, z którym nie można się uporać, jesteś tego świadoma?

Vilma przytaknęła, chociaż przez chwilę wyobraziła sobie siebie ubraną w kaftan bezpieczeństwa. *Pewnie pani Beamis myśli, że oszalałam - a co, jeśli to prawda? Co wtedy?*
l - Przejmuję się egzaminami końcowymi - skłamała. - I pójdę na studia... Spędza mi to sen z powiek i nie mogę w nocy spać.

Pani Beamis postukała długopisem w okładkę teczeki z aktami osobowymi. Miała takie przenikliwe spojrzenie, jakby od razu wyczuwała podstęp w słowach Vilmy.

- To prawda, jesteś teraz w bardzo stresującym momencie swojego życia - zgodziła się, nie spuszczać z niej wzroku. - Rozumiem, że może cię to w jakiś sposób dotykać.

Vilma zaśmiała się nerwowo.

- Zdaję sobie sprawę, że moje życie zmieni się diametralnie i napawa mnie to lękiem.

r< - Jesteś pewna, że chodzi wyłącznie o to? - Pani Beamis przysunęła się do niej bliżej na krześle.

Vilma skinęła powoli głową, czując, jak ogarnia ją rosnące przerażenie. Pomyślała o tym, co czeka ją dzisiaj wieczorem, kiedy położy się do łóżka. Tak bardzo chciała zasnąć, ale bała się tych strasznych snów.

- Na pewno nie chodzi o relacje damsko-męskie? - dociekała nadal pani Beamis. - Wiesz, że możemy szczerze rozmawiać o wszystkim, Vilmo. Udźwignę tę odpowiedzialność.

Vilma pomyślała o Aaronie Corbecie. Od czasu, kiedy wysłał jej ostami e-mail, minął już ponad tydzień. Słowa, którymi się podpisał - *Tęsknię za tobą. Aaron* - były jak nóż wbity prosto w jej serce. Vilma nie miała pojęcia, skąd wzięło się jej uczucie do tego niezwykłego chłopca, ale przerażało ją to prawie tak samo, jak koszmary, które śniła.

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie mam problemów z chłopakami.

Oddałaby chyba wszystko, żeby tylko Aaron do niej wrócił. Instynktownie czuła, że pomógłby jej uporać się z tym problemem. Ale wiedziała, że tak się nie stanie, i myśl o tym, że już nigdy go nie ujrzy, sprawiała czasem, że Vilma czuła, jakby część jej umarła.

- Biorąc pod uwagę, jak wiele mam ostatnio na głowie, zwyczajnie nie znajduję czasu na randki.

Na korytarzu rozległ się dzwonek na przerwę i Vilma podniosła z podłogi torbę z książkami.

- Czy to wszystko, pani Beamis? - spytała, chcąc jak najszybciej uciec spod tego mikroskopu. - Mam dzisiaj test z chemii i chciałabym jeszcze przejrzeć...

Psycholog szkolna wzięła teczkę Vilmy i odłożyła ją razem z innymi na rogu biurka.

- Tak, Vilmo, myślę, że to wszystko - uśmiechnęła się troskliwie.

Vilma odwzajemniła uśmiech i wstała.

- Dziękuję za rozmowę, i za wszystko - powiedziała, zarzucając torbę na ramię i kierując się w stronę drzwi.

- Pamiętaj, nie ma takiego problemu, który mógłby cię przerosnąć - zawołała za nią pani Beamis.

Gdyby to tylko była prawda - pomyślała Vilma, machając po drodze pani Vistorino, po czym udała się na lekcję chemii.

Pogrążona w ciemności moc kipiała gniewem.

Dryfując na skraju snu i jawy, Aaron czuł jej wzburzenie. Unosił się bezwładnie na falach czarnego oceanu, a wściekłość, jaka płynęła z głębi jego anielskiej natury, sprawiała, że miejsce to emanowało wręcz jakąś potworną elektrycznością. Wtedy poczuł szturchnięcie i wrócił na jawę.

- *Chyba się ocknął* - Aaron usłyszał znajomy głos i poczuł na twarzy mokry język, który zadziałał jak koło ra-

tunkowe, wyciągające go z bezkresnej otchłani nieświado-
mości. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą rozdziawiony
szeroko pysk Gabriela.

- *Witaj z powrotem wśród żywych.* - Labrador ucieszył
się. - *Straciliśmy cię na dość długo i zacząłem się już o ciebie
martwić.*

Aaron wyciągnął rękę i podrapał swojego czworonoż-
nego druha za kudłatym uchem.

- Wybacz, przyjacielu. A gdzie jest...

- Jestem tutaj - odezwał się gdzieś w pobliżu Kamael.
Aaron usiadł i poczuł, jak kręci mu się w głowie.

- Cholera - syknął, dotykając skroni. - Nikomu nie
się nie stało?

- *Nie, poza tym, że ja jestem głodny* - obwieścił Ga-
briel.

- Ty zawsze jesteś głodny - odparł szorstko Aaron.
- Czym ona w nas cisnęła? Piorunem?

Wtedy zauważył, że dłonie ma spętane kajdankami
z niezwykłego, złotego metalu, na którym widniały jakieś
tajemne symbole. Kajdanki z kolei były połączone grubym
łańcuchem. Na szyi miał dokładnie taki sam zestaw.

- Co to ma być, do diabła? - rozejrzał się wokół.

Wyglądało na to, że znajdują się w piwnicy jakiegoś
mieszkalnego domu. W przeciwległym rogu stał pokryty
grubą warstwą kurzu, zapomniany stół do ping-ponga.

I



L - Te kajdany zostały wykonane przez kogoś, kto bar-
I dzo dobrze zna się na anielskiej magii - odezwał się Ka-
mael, który - skuty dokładnie w ten sam sposób - sie-
;1 dział sztywno w czarnym, miękkim fotelu. - Znaki wryte
na ich powierzchni mają wielką moc, a przede wszystkim
t skutecznie blokują wszystkie nasze paranormalne zdol-
I ności.

- To by wyjaśniało, dlaczego anielska połowa mojej
B natury jest tak wkurzona - odparł Aaron, z trudem wsta-
I jąc. - Czy to powszechne, że upadli aniołowie trzymają
• swoich jeńców w piwnicy przerobionej na kącik gier i za-
I baw? - spytał. W powietrzu czuć było stęchłą wilgo-
I: cią i czymś gnijącym albo butwiejącym. Ściany w kolorze
I kremowym pokryte były ciemnymi zaciekami, prawdo-
podobnie grzybem. Śmierdziało też jakąś chemią.

Gabriel natychmiast ułożył się na opuszczonym przez
B Aarona miejscu. Ten pies słynął z podkradania miejsc,
I które zostały przez kogoś wygrzane. Aaron nie cierpiał
I tego zwyczaju. Za każdym razem, gdy w nocy wstawał
W do łazienki, po powrocie zastawał Gabriela zwiniętego
• w kłębek i udającego, że smacznie śpi na miejscu swe-
• go pana.

f - Upadli ukrywają się przed swoimi prześladowcami
B w najróżniejszych miejscach na Ziemi - wyjaśnił Kama-
• el, nie zmieniając dziwnej pozy, w której siedział. - Za-

zwyczaj są to opuszczone lub zapomniane przez ludzi domy i lokale użytkowe.

- Co to zajedni, Kamaelu? - spytał Aaron, wspinając się po wyłożonych dywanem stopniach, prowadzących do zamkniętych drzwi. - Nie należą chyba do Potęg, prawda?

Anielski wojownik zastanowił się na chwilę, po czym niezdarnie spróbował wstać. Aaron po raz pierwszy widział go w takim stanie, pozbawionego siły i gracji.

- Podać ci rękę? - zaofiarował się, podchodząc do anioła.

- Nie trzeba - Kamael stanął w końcu na nogach. - Ci konkretni upadli mogą należeć do jednego z bardzo wielu klanów, rozsianych po świecie. Być może do takiego, który chce zawrzeć z Potęgami układ i przekazać nas jako zdobycz wojenną - dodał, a w jego głosie zabrzmiało złe przeczcucie.

- *Niezbyt zachęcająca perspektywa* - przyznał Gabriel, leżąc na podłodze z pyskiem wtulonym między przednie łapy.

Aaron spojrzał na psa i miał już odpowiedzieć, kiedy nagle otworzyły się drzwi na górze. Nefilim odwrócił się do schodzących powoli po schodach aniołów.

- Odejdź od schodów, mieszańcze - odezwał się niski, dudniący głos, z lekkim, charakterystycznym dla

Teksasu akcentem, przeciągającym samogłoski. - Nie chciałbym ci wpakować kułki w łeb, zanim zdążymy lepiej się poznać.

Rozległ się damski śmiech i Aaron domyślił się, że to kobieta, która zrzuciła na nich błyskawice. *Lorelei* - przypomniał sobie. /... *Lehahiasz?*

Aaron comął się i patrzył, jak dwójka, z którą mieli spotkanie bliskiego stopnia w lesie, schodzi po schodach. Tym razem jednak towarzyszył im ktoś jeszcze. Kowboj dobył swojego złotego colta, który błyszczał w półmroku. Aaronowi wydało się to kuriozalne - nigdy nie przypuszczał, że anioł może tak wyglądać. Co prawda, wcześniej w ogóle nie spodziewał się, że może spotykać aniołów na swojej drodze, odkąd jednak jego życie zmieniło się tak diametralnie, widok ten już mu spowszedniał. Ale anielski rewolwerowiec - to było już za wiele.

Kamael i Gabriel dołączyli do niego i teraz w trójkę stanęli oko w oko z dziwacznym trio. Anioł z Dzikiego Zachodu podszedł do nich i wbił w Aarona lodowate spojrzenie.

- Po co nas tu zaciągnęliście? - spytał Aaron, starając się zapanować nad emocjami.

Kowboj roześmiał się gromkim śmiechem, nie wyjmując przy tym z ust wykałaczkę, którą nerwowo przeżuwał.

- Wyjaśnij im, Nauczycielu.

- Pełniący służbę wartowniczą Lehałasz i Lorelei sami podjęli decyzję o sprowadzeniu was tutaj, żebyśmy mogli przekonać się, czy stanowicie zagrożenie dla mieszkańców, których poprzysięgliśmy strzec - w dość formalny sposób wyjaśnił nowo przybyły anioł.

Miał na sobie nieskazitelnie białą koszulę i ciemne spodnie. Wyglądem przypominał pracownika firmy księgowej, który na co dzień ma raczej do czynienia z podatnikami niż z aniołami.

Sprowadzeniu pod broń - skostatował w myślach Aaron.

Westernowy anioł o imieniu Lehałasz wyciągnął wreszcie wykałaczkę z ust, chociaż jego twarz zachowała kamienny wyraz.

- Ma gadane, co Lorelei? Jeżeli mieszkańcy kiedykolwiek zechcą wybrać sobie burmistrza, z pewnością zarekomenduję na to stanowisko naszego Nauczyciela.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Tylko ten, którego nazywali Nauczycielem, zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

- Ciągłe mówicie o „mieszkańcach” - przerwał im dobrą zabawę Aaron, który cały czas starał się dowiedzieć, o co tutaj chodzi. - Mieszkańcach czego? Gdzie my jesteśmy?

Nauczyciel otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale Lehahiasz wtrącił się:

- W małym skrawku Nieba na tej przeklętej przez
•ga kupie biota.

Lorelei przytaknęła, uśmiechając się cudownie i Aarozdziwilo, że wcześniej nie zauważył, jaką jest atrakcyjną dziewczyną.

- Aerie - dodała najdelikatniejszym z szeptów.

- Cholerna racja! - Lehahiasz wsadził sobie z powrotem wykałaczkę do ust.

Aaron odwrócił się do Kamaeta i zobaczył na jego twarzy wyraz nieopisanego szoku i zdumienia.

- Po tym wszystkim - wycodził anielski wojownik - to nie ja znalazłem Aerie, tylko ono mnie.

Czy to może być prawda?

Kamael miał mętlik w głowie. Rozejrzał się po dość obskurnym otoczeniu, a potem spojrzął znowu na swoich porywaczy. Chwiejąc się na nogach, ruszył powoli w ich stronę.

Lehahiasz wymierzył w niego broń.

- Nie tak szybko, szefie - wycodził przez zęby.

Kamael zatrzymał się, w głowie wciąż czuł potężny szum. Musiał dowiedzieć się więcej i przekonać się na własne oczy, czy rzeczywiście trafili do oazy spokoju, której tak długo szukał.

- To jest Aerie? - spytał, wstrzymując oddech i mając niewielką nadzieję, że może się jednak przestęsznąć.

- Tak przecież powiedziała, głuchy jesteś? - warknął Lehahiasz, nie opuszczając broni. - A co, szukałeś nas?

Kamael powoli skinął głową, nie spuszczać smutnego wzroku ze stojącej przed nim trójki. Zastanawiał się, czy Raj też został już zainfekowany przemocą. Czy odnalazł to, czego tak długo szukał, tylko po to, żeby zobaczyć, jak to miejsce umiera?

- I to dłużej, niż ktokolwiek z was mógłby się spodziewać.

- Byłeś blisko - odezwał się nagle poważnym tonem Nauczyciel. - Większość waszej rasy nie miała tyle szczęścia. Chyba więc dobrze się stało, że was pojaliśmy.

- Naszej rasy? - wtrącił się Aaron. - Co to miało znaczyć?

Lorelei wzruszyła ramionami, patrząc na niego wyzywająco.

- Nauczyciel starał się być uprzejmy. Ja nazwałabym was po imieniu: mordercami, zabójcami snów...

- Oni wiedzą, kim są - przerwał jej Lehahiasz, żując nieprzerwanie wykałaczkę.

- Jesteście w błędzie - zaprotestował Kamael, starając się, by w jego głosie zabrzmiał rozsądek. - Żołnierze

Potę, których zabiliśmy, zaatakowali nas. My się tylko broniliśmy.

- Przed innymi też się tylko broniliście? - spytał Nauczyciel.

Kamael potrząsnął głową.

- Nie rozumiem...

- To przecież wy zabiliście jednego z waszej rasy. - Aaron nie wytrzymał. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. - Widziałem w lesie, jak wpakowałeś mu kulę między oczy - a teraz masz czelność nazywać nas mordercami? - dodał z niedowierzaniem. - Masz tupet - zwrócił się do rewolwerowca.

Kamael westchnął ciężko. Szkoda, że ktoś obdarzony taką mocą jak Aaron nie miał za grosz zdolności dyplomatycznych.

- Tamten nie był wcale dużo lepszy od was - wtrąciła się dziewczyna z szyderczym uśmieszkiem.

- Chciał sprzedać informację o lokalizacji Aerie każdemu, kto zaproponowałby dobrą cenę...

- Ale to już wiecie - dokończył Nauczyciel.

Kamael przeanalizował sytuację. Istoty stojące przed nimi sądziły, że Kamael i Aaron są zabójcami, prawdopodobnie działającymi na zlecenie Werchiela. I że przybyli zniszczyć Aerie. Pomyślał przez chwilę nad jakimś sensownym rozwiązaniem, ale zdał sobie sprawę, że jedy-

ną możliwością, aby ich przekonać, było opowiedzenie o Aaronie i przepowiedni, która się z nim wiązała. Choć wydawało mu się mało prawdopodobne, że aniołowie z Aerie uwierzą, kim naprawdę jest ten chłopak...

- *Aaron jest Wybrańcem z przepowiedni* - Kamael usłyszał raptem głos Gabriela. Pies wstał z podłogi, przydreptał i usiadł przed trójką aniołów, którzy ich ujęli.

- Gabriel, wracaj tutaj - rozkazał Aaron.

Lorelei kucnęła przez Gabrielem, patrząc labradorowi prosto w oczy. Wyciągnęła rękę i podrapała go za uchem.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytała z czułością. - Musisz uważać swego pana za kogoś naprawdę wyjątkowego.

- Gabriel, do nogi! - powtórzył Aaron, ale pies nie posłuchał.

- *Nie ja jeden* - wyjaśnił Gabriel. - *Kamael też tak uważa. I Werchiel. Nie macie czasem czegoś do zjedzenia? Umieram z głodu.*

Lorelei podniosła się powoli, taksując Aarona wzrokiem.

- Czy to prawda? - spytała z niedowierzaniem.

Kamael milczał. Aaron również.

- Wygląda na to, że odwiedziła nas prawdziwa gwiazda— skwitował Leahiasz z tym swoim charakterystycznym, pozbawionym humoru uśmiechem. - Mówię wam,

zakończmy całą sprawę od razu, zanim usłyszymy kolejne bzdury. - To mówiąc, wyciągnął z kabury przy pasie drugi złoty pistolet i wymierzył obydwu w Aarona i Kamaela.

- Nie! - powstrzymał go Nauczyciel, kładąc dłonie na broni Lehahiasza. - Zabierzemy ich do Założyciela i niech on zdecyduje.

Gabriel odwrócił wzrok i spojrzął na Aarona i Kamaela, uderzając przy tym radośnie ogonem o posadzkę.

- *Zobaczymy się z Założycielem* - powiedział. - *Może on będzie miał coś do jedzenia.*

ROZDZIAŁ 4

Belfegor pcha! taczkę z ziemią przez podwórze, w kierunku rzędu kwitnących krzewów róż. Letnie ulewy wypłukały ziemię pod różami i Belfegor chciał uzupełnić wszystkie ubytki, zanim delikatne rośliny zostaną narażone na większe niebezpieczeństwo.

Odstawił ostrożnie taczkę, żeby nie wysypać jej zawartości, i podniósł łopatę, która leżała obok grabi w rzadkiej, zbrązowiełej trawie. A potem wbił łopatę w sam środek kopca, nabrał trochę ziemi i naniósł ją na grządkę, po czym delikatnie przydeptał ziemię wokół róż. Kie-

dy uznał, że krzewy róż są już wystarczająco chronione, taczka była prawie pusta.

Anioł odłożył łopatę i przyjrzał się efektom swojej pracy. Chemiczne zanieczyszczenia, które zatrwały ciemną, żyzną glebę, unosiły się w powietrzu, niewidzialne dla ludzkiego oka. Ale obdarzony wzrokiem anioła Belfegor obserwował, jak toksyczne cząsteczki wirują na letnim wietrze, po czym opadają z powrotem na skażoną ziemię.

Ukląkł, zagłębił dłoń w świeżo przekopaną ziemię i wyciągnął z niej zanieczyszczenia, wchłaniając je własnym ciałem. Belfegor wzdrygnął się, zakaszał. Kiedyś oczyszczenie połaci ziemi czterokrotnie większej niż ta nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. Ale teraz, po tylu latach spędzonych na Ziemi - tej zatrutej planecie - praca zaczynała się odbijać na jego zdrowiu.

Czy to jest warte takiego poświęcenia? - pomyślał, cofając się o kilka kroków, żeby przyjrzeć się efektom swojego działania. Z chorej gleby wyrastały teraz piękne, czerwone pąki, które otwierały się do słońca. W myślach Belfegor przypomniał sobie wszystkie ogrody, które zasadził, i wiedział już, że pytanie, które zadał, było retoryczne. Oczywiście, że jest warte.

? Anioł podniósł metalowe grabie i zaczął równomiernie rozrzucać świeżą ziemię wokół krzewów róż. W tych B-aniedbanych ogrodach Belfegor dostrzegał własne od-

bicie, a także tych, którzy zdecydowali się do niego dołączyć. Każdy z nich był wyrzutkiem, w taki czy inny sposób skażonym. I tak jak te róże, zwracające twarze do słońca, tak i oni tęsknili za Niebem - ale powrót uniemożliwiała im trucizna zawarta w ich ciałach, która nieustannie osłabiała ich wolę.

Belfegor wielokrotnie próbował odgonić czarne myśli, ale towarzyszyły mu one od tysiącleci i prawdopodobnie zostaną z nim przez kolejne millenia. Wspomniął truciznę, przez którą musiał opuścić Królestwo Niebieskie i poszukać schronienia w świecie ludzi - truciznę niezdecydowania. Anioł przypomniał sobie wojnę, jakby wydarzyła się wczoraj; pomimo upływu czasu nie umknęły mu żadne szczegóły. Kiedy jego bracia starli się w śmiertelnym boju, jemu zabrakło odwagi, żeby opowiedzieć się po którejś ze stron.

Belfegor przestał grabić, tłumiąc w sobie bolesne wspomnienia i koncentrując się na pięknie, które pomógł uwolnić. Czasem miał nadzieję, że on i wszyscy mieszkańcy Aerie staną się kiedyś jak te róże - uzyskają przebaczenie i otrzymają drugą szansę na mocy starej przepowiedni. Będą mogli opuścić tę przeklętą, zatrutą Ziemię i powrócić do Nieba.

Z zamyślenia wyrwały go niesione wiatrem głosy i Belfegor niechętnie odwrócił się od swoich ukochanych róż.

by zobaczyć, kto tym razem go niepokoi. Powędrował na spotkanie przybyłych przez wielkie podwórko, a potem okrążył opuszczone domostwo, którego okna były zabite deskami i zamalowane graffiti. Kiedyś mieszkała tu sześćoosobowa rodzina, która miała swoje marzenia i sny, bardzo podobne do snów pozostałych mieszkańców osiedla Ravenschild. Belfegor wciąż wyczuwał smutek unoszący się wśród porzuconych domostw — echo życia, unicestwionego przez pazerną korporację i jej tajemnicę. Zakłady chemiczne The ChemCord zakopywały tutaj swoje toksyczne odpady, zatruwając ziemię, a wraz z nią także tych, którzy budowali na niej swoje domy. Osiedle Ravenschild promieniowało smutkiem i rozczarowaniem, ale teraz to był ich dom - ostatnie miejsce schronienia dla szukających przebaczenia aniołów. Aerie.

Belfegor wyjrzał zza węgła i ujrzał, jak chodnikiem w jego stronę idą posterunkowi, a wraz z nimi dwoje innych ludzi - i pies. *To muszą być ci podejrzani o morderstwo* - pomyślał i przypomniał sobie o wzroście liczby zgonów upadłych aniołów, jakie miały ostatnio miejsce na całym świecie. Chętnie przesłuchałby tych nieznajomych, ale oni przypieczętowali już praktycznie swój los. Ziemia była niebezpiecznym miejscem dla upadłych, a on musiał zrobić, co w jego mocy, żeby chronić swoich pobratymców. Mając to na uwadze, przygotowywał

się już do wydania stosownego wyroku, przyglądając się jednocześnie prowadzonym więźniom.

Nagle Belfegor zdał sobie sprawę, że jeden z nich nie był tym, na kogo wyglądał, i aż wydał stłumiony okrzyk. Znal anioła, idącego ramie w ramie z chłopcem. Kiedyś nawet byli przyjaciółmi - jeszcze przed wojną, zanim i on został zmuszony, by opuścić Niebo.

- Kamael - wyszeptał Belfegor, powracając myślami do chwili, w której po raz ostatni widział swojego anielskiego brata. - Czyżbyś przybył tu, aby dokończyć to, co zaczęłeś przed wiekami?

OGRÓD EDEN

WKRÓTCE PO ZAKOŃCZENIU WIELKIEJ WOJNY

Kamael podniósł ramię, a potem opuścił je razem z ognistym mieczem, który dokonał takiego samego spustoszenia, jak podczas wojny. Niesłychanie gruba ściana roślinności, którą zarosły bramy Edenu, nie stanowiła dla tej broni żadnej przeszkody, rozstępując się przed jej ognistym ostrzem. Nie minęło wiele czasu, odkąd pierwsi ludzie zostali stąd wypędzeni, a mimo to Ogród - niegdyś idealne miejsce dla najnowszego dzieła stworzenia Boga - popadł w kompletną ruinę.

Zwierzęta wszystkich gatunków pierzchały przed nim

w popłochu, wyczuwając mordercze intencje, które sprowadziły go w to miejsce. Wojna została już rozstrzygnięta - zwyciężył Pan i jego armia, zaś pokonani - legiony Porannej Gwiazdy - zostali wygnani z Nieba. Jako dowódca chóru Potęg, Kamael miał teraz za zadanie wytropić i zniszczyć tych, którzy sprzeciwili się Wszechmogącemu i wywołali krwawą wojnę w najświętszym z miejsc.

Kamael przybył do Ogródu w poszukiwaniu jednego z tych przestępców, który kiedyś z oddaniem służył swojemu Panu - ale to było przed wojną, a od tamtej pory wszystko się zmieniło. Belfegor zapłacił za swoje grzechy tak jak wszyscy, którzy podnieśli rękę na Boga Wszechmogącego.

Kamael zatrzymał się przed kolejną płataniną korzeni, drzew i pnączy, a potem z iście anielską cierpliwością wyciął je swoim ognistym mieczem, dając upust nienawiści, która towarzyszyła mu od rozpoczęcia wojny. Z furją przedzierał się przez zarośnięty chaszczami Ogród Edenu, a rykiem jego wściekłości towarzyszyły piski i krzyki przerażonych zwierząt.

Jak oni mogli to zrobić Bogu Najwyższemu - Stwórcy wszystkich rzeczy? — Kamael aż kipiał gniewem, torując sobie drogę przez tę dżunglę; jego umysł wciąż był pełen krwawych obrazów bitew, które stoczył. Raj wokół płaonął od jego ognistego ostrza, a gęsta roślinność pa-

dała, zwęglona u jego stóp. W końcu anioł ujrzał polanę, pozbawioną życia - z wyjątkiem pojedynczego drzewa... i tego, którego szukał.

Belfegor stał u stóp Drzewa Wiedzy - wielkiego, ze złotym pniem. W jego, niegdyś tak gęstej, a obecnie mocno przerzedzonej koronie błyszczał zakazany owoc, niczym gwiazda na nocnym niebie.

- Belfegor! - warknął Kamael, wychodząc z płonących zarośli na polanę. Dłoń wciąż zaciskał na rękojeści gorejącego miecza, który łapczywie pożerał tlen i sypał wokół snopami iskier, gotów w każdej chwili zadać kolejny cios.

Anioł Belfegor, wciąż przyciskając rękę do pnia drzewa, odwrócił się na moment i uśmiechnął smutno.

- Ono umiera - powiedział, odwracając się z powrotem do drzewa. - I to tylko kwestia czasu, zanim truciźna, która je toczy, rozprzestrzeni się na cały Ogród.

Kamael zatrzymał się i przyjrzał swojemu upadłemu bratu. W środku wciąż tlił się w nim potworny gniew, chociaż teraz jakby nieco przytłumiony.

- To wyraz Jego rozczarowania - ciągnął dalej Belfegor, odwracając się znowu do swego brata. - Rozczarowania Stwórcy zachowaniem mężczyzny i kobiety - to działa jak jad, który stopniowo uśmierca wszystko, co stworzył specjalnie z myślą o nich. Robię, co w mo-

jej mocy, żeby spowolnić ten proces, ale obawiam się, że wkrótce będzie po wszystkim.

Kamael zacisnął mocniej dłoń na mieczu i przemówił słowami, które więzły mu w gardle. Wylały się z jego ust wartkim strumieniem gniewu i rozpaczy.

- Przybyłem tu, by cię zabić, Belfegorze.

Nie był pewien, jak anioł zareaguje na tę wiadomość - czy skuli się ze strachu, czy może ucieknie dalej w głąb 'enu. Ale wyglądało na to, że Belfegor pogodził się już z losem.

- Cieszę się, że to właśnie ty - odparł beztrąsko Belfegor, odchodząc od drzewa i stając przed swoim oprawcą.

Kamael wymierzył w niego ostrze miecza, zatrzymując Belfegora w miejscu.

Anioł spoglądał na niego z drugiej strony gorejącej klingi.

- Jeżeli nadszedł mój czas, jestem gotów - powiedział.

Kamael zagotował się z wściekłości. *Jak taki grzesznik ma czelność poddawać się bez walki? Jakim prawem pozbawia mnie satysfakcji z pokonania go w uczciwym pojedynku?*

- Dobądź broni i walcz! - rozkazał mu.

Belfegor powoli potrząsnął głową.

- Nie walczyłem podczas wojny i nie zamierzam walczyć z tobą teraz, przyjacielu - odparł ze smutkiem. - Skoro musisz odebrać mi życie, zrób to. Jestem gotów.

Kamael wzniosł swoje zabójcze ostrze nad głowę, chcąc rozplątać zdracę na pół, ale coś go powstrzymało - pytanie, które nie dawało mu spokoju od wybuchu wojny.

- Dlaczego, Belfegorze? - spytał, trzęsąc się z niepo- hamowanej złości.

Anioł westchnął i usiadł w cieniu Drzewa Wiedzy. Kamael dalej stał nad nim, z bronią gotową do zadania śmiertelnego ciosu.

- Nie chciałem walczyć - powiedział Belfegor, podno- sząc z ziemi kępkę pożółkłej trawy i obracając ją w pal- cach. - Po żadnej ze stron.

- Przecież to twój Stwórca, Belfegorze! - wyrzucił z siebie Kamael. - Jak mogłeś nie walczyć w jego imie- niu?

Upadły anioł popatrzył na Kamaela, a na jego twarzy odmalowała się rezygnacja.

- Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbym pod- nieść broń na moich braci - ani na mojego Stwórcę. Je- żeli to czyni mnie wrogiem Nieba, trudno — niech tak będzie.

- To czyni cię tchórzem - odparł Kamael, zaciskając kurczowo dłoń na mieczu.

- Naprawdę tak to odbierasz, Kamaelu? - spytał Bel- fegor bez cienia strachu. - Czy na pewno przybyłeś tu,

zeby ukarać mnie za to, czego nie zrobiłem? A może za to, czego ty sam nie miałeś odwagi zrobić?

Te słowa były jak nagły atak, wymierzony w samo serce Kamaela. Prawda zabolęła. Wokół było tyle śmierci, a on nie widział końca tej przemocy.

Kamael zamachnął się mieczem i zatopił ogniste ostrze w ziemi, kilka centymetrów od siedzącego Belfegora. Grunt wokół zaczął się tlić.

- Niech cię diabli! — zaklął, wyjmując gorejącą klingę z ziemi, po czym cofnął się o kilka kroków, nie spuszczać stalowego spojrzenia z oblicza nieprzyjaciela. Ujrzał twarze wszystkich aniołów, których zabił w bitwie o Niebo, a przez jego głowę przetaczała się niekończąca się parada śmierci. Poczował, jak jego ciałem wstrząsa przenikliwy dreszcz. Kiedyś wszyscy byli braćmi i służyli jednemu, prawdziwemu Bogu - potem jednak nastąpił rozłam, każda ze stron opowiedziała się za swoimi racjami i rozpoczęła się wojna.

- Musisz odpowiedzieć za swoje winy - powiedział Kamael, gdy Belfegor podniósł się z ziemi.

- Czy nie ponieśliśmy już wystarczająco dotkliwej kary? - odparł anioł. - Zostaliśmy odrzuceni, musieliśmy porzucić wszystko, co było nam bliskie, i zamieszkać pośród zwierząt. Myślę, że większość z nas spotkał już dużo gorszy los od śmierci z twojej ręki. - Belfegor

przysunął się bliżej. - Być może tę śmierć można nawet uznać za akt miłosierdzia.

Kamael przyłożył czubek ostrza do szyi Belfegara, która natychmiast pokryła się pęcherzami i spalenizną - mimo to upadły anioł nie cofnął się.

- Kiedyś byliśmy braćmi - wyszeptał Kamael, patrząc na twarz Belfegara, skręconą w grymasie bólu. - Ale to już przeszłość - dodał, cofając ostrze. - Gdybym ci teraz zabił, faktycznie okazałbym ci łaskę, na którą nie zasługujesz.

Belfegor ostrożnie dotknął poparzonej skóry na szyi.

- Czy na darowanie życia mogą liczyć także inni upadli bracia? - spytał delikatnym szeptem.

Kamael odwrócił się, chcąc jak najszybciej opuścić to zaniedbane, smutne miejsce.

- Ilu jeszcze będzie musiało zginąć? - Belfegor zawołał za nim, kiedy anioł dotarł już na skraj polany. - Kiedy będziesz miał dosyć, Kamaelu? I kiedy wreszcie będzie mogli okazać swój smutek za to, co zrobiliśmy?

Kamael opuścił Eden, nie oglądając się za siebie, chociaż pytania Belfegara odbijały się cały czas echem w jego głowie. Nie odpowiedział jednak swojemu upadłemu bratu, gdyż nie znał odpowiedzi na jego pytania i zastanawiał się, czy kiedykolwiek takie odpowiedzi pozna.

AERIE. TERAŹNIEJSZOŚĆ

Widok Belfegora wzbudził w Kamaelu wspomnienia, które tliły się w jego sercu od tysięcy lat. Przed oczami zawirowały obrazy z odległej przeszłości, niczym piasek na pustyni na wietrze. Ale anielski wojownik szybko je w sobie stłumił.

- Witaj, Kamaelu - przywitał się Belfegor, stając na chodniku przed zabitym deskami domem. - Minęło sporo czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

Kamael przyjrzał mu się z bliska. Upadły anioł postarzał się, sprawiał nawet wrażenie chorego. Przydarzało się to wielu z tych, którzy uciekli na Ziemię. Starzeli się tak jak ludzie, do których postanowili się upodobnić. Ale Belfegor wyglądał znacznie gorzej.

- Owszem, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że cię wtedy zabiłem. - Kamael uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie dzień, w którym opuścił Eden, nie wykonawszy zadania, jakie mu powierzono.

- Czy to właśnie powiedziałeś swoim towarzyszom z chóru Potęg - że zginąłem z twojej ręki?

Kamael przypomniał sobie przemowę, jaką wygłosił w obecności żołnierzy Straży Anielskiej przed rozpoczęciem ich misji na Ziemi. Już wtedy targały nim wątpliwości, które zasiał w nim Belfegor.

- Byłem ich dowódcą, uwierzyliby we wszystko, co im powiem.

- A teraz?

- Teraz najchętniej widzieliby mnie martwego, tak jak wtedy ja ciebie.

Stary anioł zlustrował wzrokiem twarz Kamaela, starając się wypatrzeć jakieś oznaki kłamstwa.

- Słyszałem, że ich opuściłeś, chociaż smuci mnie, że zajęło ci to tyle czasu.

- Kiedy przeczytałem słowa starożytnej przepowiedni, zdałem sobie sprawę, że nie podążam właściwą drogą - odparł Kamael, niezrażony. - Zbyt wielu już zginęło. Uwierzyłem, że przyszłość naszej rasy spoczywa w rękach mieszańca - Nefilima, Wybrańca Boga.

To mówiąc, Kamael spojrział na Aarona, który nerwowo przebierał teraz nogami.

- To chyba ja - powiedział nieśmiało.

Lehahiasz i Lorelei, którzy doprowadzili chłopca przed oblicze Założyciela, zarechotali zgodnym chórem, wyobrażając sobie, że ten Nefilim mógłby być Wybrańcem. Ale Kamael cierpliwie czekał na odpowiedź Belfegora.

- Wierzysz, że to jest Wybraniec, o którym mówi przepowiednia? - spytał wreszcie Belfegor, wskazując na Aarona długim, zakrzywionym palcem.

Kamael zauważył, że anioł ma brud za paznokciami.

- Tak, jestem o tym przekonany.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś coś równie idiotycznego, Belfegorze? - zdenerwował się Leahiasz, drapiąc się po policzku lufą złotego pistoletu. - Lada moment dowiemy się, że oni nie mają nic wspólnego z zeszytgodniowymi morderstwami.

Belfegor w milczeniu zbliżył się do Aarona.

- Czy to prawda? - zapytał, po czym zaczął go obwąchiwać od stóp do głów.

- Nie mam bladego pojęcia, o czym oni mówią - wyjaśnił Aaron. - Próbowaliśmy ich przekonać, ale...

- Drzemie w tobie przemoc - przerwał mu Belfegor, odsuwając się i wycierając nos palcem. - Potężna i dzika - jak sądzę, niewiele ci trzeba, żebyś wpadł w morderczy szal.

Kamael postąpił krok naprzód, żeby bronić chłopca.

- Aaron wiele już osiągnął, odkąd odkrył w sobie anielską naturę. Widziałem już, jak użył swojej mocy, żeby odesłać upadłego anioła do domu.

Belfegor przekrzywił głowę.

- Do domu? - spytał, a w kącikach jego zmrużonych oczu zaczęły się tworzyć kurze łapki. - Co masz na myśli?

Kamael odczekał chwilę, aby jego słowa odniosły pożądaną efekt, po czym powtórzył: - Do domu. Odesłał go z powrotem do Nieba.

Lehahiasz wybuchnął rubasznym śmiechem, wymieniając znaczące spojrzenia ze swoją towarzyszką.. Wkrótce oboje skręcali się ze śmiechu. Kamael zmarszczył brwi. Nie lubił, gdy się z niego naśmiewano, i wiele by oddał, żeby zrzucić wiążące go magiczne kajdany.

Lehahiasz zbliżył się do Aarona i rozłożył ramiona w teatralnym geście.

— No dalej, chłopcze. Jestem gotów. Odeślij mnie do domu mojego Ojca w Niebie.

— To... to tak nie działa - wyjąkał zmieszany Aaron. - Ja sam tego nie potrafię - coś w środku mówi mi, kiedy przychodzi właściwy czas.

Lehahiasz zarechotał znowu, jakby nigdy nie słyszał czegoś równie śmiesznego. Kamael zagotował się w środku.

— Milcz, Lehahiaszu! - rozkazał mu Belfegor, przyglądając się cały czas Aaronowi. - Czy to prawda, synu? - spytał. - Naprawdę odesłałeś upadłego anioła z powrotem do Nieba?

Gabriel, który cały czas milczał, nagle przypadł do stóp Belfegara.

— *Widziałem, jak to zrobił. Uleczył także mnie, kiedy byłem ranny. Ma pan coś dobrego do jedzenia? Jestem strasznie głodny.*

Belfegor spuścił wzrok i przyjrzał się teraz psu, który radośnie machał ogonem.

- To zwierzę zostało zmienione - powiedział, przenosząc wzrok z Kamaela na Aarona. — Kto mógł zrobić coś takiego?

— Gabriel został ciężko ranny w wypadku - wyjaśnił Aaron. - Ja... nawet nie wiem, co wtedy zrobiłem. Zwróciłem się do tej istoty, która żyje we mnie... Błagałem ją, żeby ocaliła Gabriela i...

Belfegor podniósł nagle dłoń i uciszył Aarona.

- Dość się już nasłuchiwałem — powiedział. — Sam pomyślałem, że taka moc mogłaby tkwić w kimś takim jak ty, napawa mnie przerażeniem.

- Co z nimi zrobimy? - spytał Leahiasz. W jego oczach widać było okrutną nienawiść i Kamael był pewien, że Leahiasz wykonałby każdy rozkaz Belfegara, nawet ten najgorszy.

- Zabierzcie ich z powrotem do domu - polecił anioł, odwracając się do nich plecami. - Potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Posłuchaj mnie, Belfegorze. - Kamael podjął ostatnią próbę wyjaśnienia mu tego, co wiedział. - Bez względu na to, jak niewiarygodne może ci się to wydawać, Aaron jest tym, na którego czekasz. Nawet Archanioł Gabriel był o tym przekonany. Musisz mi zaufać.

Upadły anioł odwrócił się twarzą do Kamaela.

- Najświętszego z Bożych posłańców nie ma tu z nami,

nie może więc poświadczyć za tego chłopca. A zaufanie, jak sam doskonale wiesz, nie jest dzisiaj w zbyt wielkiej cenie - przyznał ze smutkiem Belfegor. - Nie mogę ponieść takiego ryzyka, przykro mi. - To mówiąc, spojrzął na swoich ludzi. - Zabierzcie ich do domu i upewnijcie, że te kajdany są właściwie założone.

Lehahiasz złapał Aarona, ale ten zrzucił jego ręce.

- Słuchajcie - krzyknął, skupiając na sobie wzrok wszystkich, łącznie z Belfegorem. - Muszę odnaleźć mojego młodszego brata - to jedyna prawdziwa rodzina, jaka mi została.

Słyszając to, Belfegor odwrócił wzrok, wyraźnie niezainteresowany losem Steviego.

- Proszę! Porwał go Werchiel, a ja muszę go odzyskać. Puśćcie nas, a odejdziemy i nie będziemy was dłużej niepokoić. Obiecuję.

Stary upadły anioł zignorował go i przyspieszył kroku. Lehahiasz znów chwycił Aarona za ramię i pociągnął.

- Chodź, synku. Nie chcemy dłużej słuchać tych twoich bzdur.

- Do jasnej cholery! - wrzasnął Aaron. - Skoro nie chcecie posłuchać, to was do tego zmuszę!

A potem zrobił coś, czego teoretycznie nie powinien, mając na przegubach rąk i szyi magiczne kajdany.

Aaron Corbet zaczął się zmieniać.

ROZDZIAŁ 5

Aaron wiedział, że każda sekunda jest na wagę złota, i czuł, że jego cierpliwość sięga zenitu. Ci upadli aniołowie, mieszkańcy Aerie, w ogóle go nie słuchali. A on nie miał zamiaru tracić czasu na siedzenie w zatechłej piwnicy jakiegoś opuszczonego domu. Potęgi miały Steviego i na samą myśl o tym, że jego mały braciszek wciąż znajduje się w łapach tego bezwzględnego mordercy Werchiela, Aaron gotował się w sobie, a wraz z nim nieposkromiona moc, która w nim drzemała. Zanim zdał sobie sprawę, co robi, gniew i poczu-

cie winy otworzyły drzwi jej klatki, wypuszczając dziką moc na zewnątrz. Aaron poczuł, że transformacja już się zaczęła - tym razem była ona bardziej bolesna niż kiedykolwiek przedtem.

Obrócił wzrok w stronę Lehahiasza, który wciąż ścisnął go za ramię.

- Puszczaj! - warknął i poczuł nagłą satysfakcję, kiedy upadły anioł go postuchał.

Ból był niewiarygodny. Aaron mógł jedynie przypuszczać, że to z powodu kajdan, które wciąż miał na przegubach rąk i wokół szyi. Czuł, jak na jego skórze pojawiają się anielskie symbole, które zachowywały się, jak małe gryzonie o ostrych zębach, które z całą siłą wybijały się na powierzchnię. Aaron zobaczył, jak złote kajdany zaczynają krzesać iskry. Jego anielska moc nie zamierzała się wycofać ani zrezygnować - nawet gdyby miała go przy tym zabić.

Aaron poczuł na sobie zdumione spojrzenie rozszerzonych oczu Belfegara i sam wbił w niego swój kruczo-czarny wzrok.

- Przyjrzyjcie mi się dobrze! - krzyknął. - Nadal uważacie, że kłamie?!

Ruszył gwałtownie w stronę Belfegara, roztaczając wokół siebie aurę nadnaturalnej energii. Usłyszał za plecami głosy Kamaela i Gabriela, którzy wołali, by się opa-

miętał, ale nie był już w stanie się powstrzymać. Musiał przekonać tego anioła, że nie chce wyrządzić żadnej krzywdy mieszkańcom Aerie.

Nagle para strażników znalazła się tuż obok niego. Lehahiasz dobył z kabur swoje złote colty, a Lorelei mamrotała pod nosem jakieś prastare zaklęcia. Zaś ten, którego nazywali Nauczycielem, stanął po stronie Belfegora, gotów bronić starego anioła własną pierśią, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Powiedz tylko słowo, szefie - syknął Lehahiasz - a zmiażdżę tego młokosa.

- Nie! - gestem uniesionej dłoni powstrzymał go Belfegor.

Magiczne symbole były już widoczne w całej okazałości na ciele Aarona, ale ból nie zelżał. Z jego pleców zaczęły wyrastać lśniące, czarne skrzydła, ale ostatecznie powstrzymała je magia złotych kajdan. Ból był nie do zniesienia i Aaron osunął się na kolana przed jałowym trawnikiem porastającym podwórko przed opuszczonym domem.

- Musicie mnie wysłuchać - jęknął.

- Czy każdy z Nefilimów byłby w stanie złamać opór magicznych kajdan, Belfegorze? - spytał retorycznie Kamael, a jego głos jakimś cudem przebił się przez ogłuszający szum w uszach Aarona.

- Jest potężny, muszę to przyznać. - Belfegor pokiwała głową. — Ale widziałem już w życiu równie potężnych mieszkańców, z których żaden nie był prorokiem. Szczerze mówiąc, większość z nich już nie żyje. Zabił ich obłąd, w który popadli, a którego nie byli w stanie zrozumieć, nie mówiąc już o zapanowaniu nad nim.

- A znaki na ciele? - Kamael nie dawał za wygraną.
- Co powiesz o nich?

Aaron otworzył oczy i zobaczył, jak przywódca mieszkańców Aerie klęka u jego boku razem z Nauczycielem.

- Sam chciałbym wiedzieć, co oznaczają - przyznał, dotykając palcami archaicznych symboli, pokrywających twarz i ramiona Nefilima. Nauczyciel wyjął z tylnej kieszeni spodni kartkę z długopisem i zaczął kopiować niezrozumiałe znaki.

- Czy teraz mi wierzysz? - spytał słabym głosem Aaron, zupełnie wyczerpany bitwą, jaką jego wewnętrzna moc stoczyła z magią anielskich kajdan.

Belfegor przyglądał mu się uważnie, obcym i nieludzkim wzrokiem. Aaron czuł się jak jakiś nowy gatunek robaka, badany pod mikroskopem.

- Chłopcze, pytanie brzmi: czy ty wierzysz w to, że jesteś Wybrańcem?

Aaron chciał mu powiedzieć to, co Belfegor pragnął usłyszeć - dzięki czemu mógłby odzyskać wolność. Ale

nie potrafił. Mimo że Kamael, a nawet Archanioł Gabriel widzieli w nim wybawcę, Aaron w dalszym ciągu uważał się za zwykłego chłopaka z miasteczka Lynn w stanie Massachusetts. Z pewnością, nie mógł zaprzeczyć, że posiada moc. Ale czy czyniła go ona Wybrańcem z przepowiedni?

Nie wiem. Po prostu nie wiem.

- Ja... nie jestem pewien - wyznał Belfegorowi i natchmiast poczuł, że moc ustępuje.

Stary anioł uśmiechnął się i wstał.

- Mamy zabrać ich z powrotem do domu? - spytała Lorelei, która w międzyczasie stanęła za plecami Belfegara. Aaron zauważył, że koniuszki jej palców wciąż emanują mocą, z której nie skorzystała.

- To chyba nie będzie konieczne - odparł Belfegor.
- Puśćcie ich wolno, niech się tu trochę rozejrzą. Ale zostawcie im kajdany, dopóki nie upewnię się, że można im ufać.

- Postradałeś zmysły, starcze? - parsknął Lehahiasz. Pozostali sprawiali wrażenie zdeglustowanych jego nagłym wybuchem. - Po tym wszystkim, co tu się stało, chcesz im dać wolną rękę? Wymordują nas we śnie, z nim...

- Słyszałeś, co powiedziałem, Lehahiaszu - Belfegor uciął dyskusję, odwrócił się plecami i powędrował w głąb

podwórza. - Witajcie w Aerie, nieznajomi - dodał, po czym zniknął za rogiem opuszczonego domu.

Więzień powoli otworzył oczy; dźwięk podnoszonych powiek przypomina! odgłos jesiennych liści, szeleszczących pod nogami. Schylił głowę i popatrzył na swoje spalone, poczerniałe dłonie. Siedział, opierając się o stalowe pręty klatki; całe ciało zwinięte miał w kokon pod wpływem otepiającego bólu. Powoli wyprostował palce i przez zapuchnięte, poparzone oczy ujrzał, jak na kolanach lądują mu strzępy spalonego mięsa.

Kiedy Werchiel wyszedł, więzień znajdował się w dość opłakanym stanie, ale poczuł ulgę, że - przy całym znudzeniu, jakie towarzyszyło mu w niewoli - nie będzie musiał dłużej znosić towarzystwa złego dowódcy Potęg. *Bardzo charakterystyczne zachowanie* - pomyślał, podnosząc się i starając przyjąć trochę wygodniejszą pozę, by jakoś znieść powracające fale potwornego bólu. *Wyjątkowo temperamentne.*

Zapach rozgotowanego mięsa, który unosił się w klatce, przypomniał więźniowi jedną z uczt, których był świadkiem w pewnej serbskiej wiosce, na krótko przed tym, zanim osiadł w monasterze Czarnej Rzeki. Wie-

śniący świętowali narodziny dziecka i z tej okazji upiekli na rożnie nad ogniem świnie. Z radością powitali go i zaprosili do wspólnego biesiadowania - taki zwyczaj miał im przynieść szczęście i pomyślność. Dał się namówić i na jakiś czas mógł zapomnieć o tym, kim naprawdę jest, i o tych wszystkich strasznych rzeczach, które uczynił. Nie było takich momentów w jego długim życiu zbyt wiele, dlatego trzymał się ich kurczowo, jak najbardziej kosztownych klejnotów.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch; malutki, ciemny kształt, kulący się pod ścianą, tuż obok wiszącej klatki. To wrócił jego mysi przyjaciel. Więzień wyciągnął rękę przez pręty klatki, a z jego karku odpadło kilka płatów wysuszonej, spalonej skóry, która rozsypała się po podłodze, niczym jakieś groteskowe, czarne confetti. Chłodne powietrze przynosiło ulgę jego nagiemu ciału. Więzień wracał do zdrowia, mimo magii zaklętej w żelaznych prętach klatki.

- Witaj -- wyszeptał z trudem.

Mysz odpowiedziała kilkoma cienkimi piśnięciami.

- Nic mi nie jest - odpowiedział więzień. Przechylił się na bok i wyciągnął zwęglone ramię przez kraty. Mysz znowu zaczęła popiskiwać i anioła ujęła jej troska.

- Nie martw się o mnie - powiedział. - Ja i ból stanowimy jedność. To wyjątkowy związek.

Zwierzę odbiło się od ziemi i wylądowało na odwróconej dłoni leżącego jeńca, po czym wbiegło po wyciągniętej ręce do klatki.

- O to właśnie chodzi - ucieszył się, kiedy ciekawska mysz przysiadła przed jego poczerwiałą twarzą i zaczęła pocierać sobie nos przednimi łapkami.

- Nic mi nie będzie, wierz mi - uspokoił ją. - Za jakiś czas będę jak nowo narodzony.

Mysz zapiszczała po raz kolejny, przekrzywiając łebek i przyglądając się jego ranom.

- Pewnie, boli jak cholera. Ale to część tej gry. Zastąpiłem sobie na ten ból.

Mysz pisnęła i przydreptała jeszcze bliżej. Zaczęła pocierać pyszczkiem spaloną skórę na czubku jego nosa, odsłaniając nową, zregenerowaną różową tkankę.

- Nie - odezwał się mężczyzna w klatce. - Tobie tylko się wydaje, że jestem dobrym człowiekiem. Nie znałeś mnie wcześniej.

Przed oczami zatańczyły mu obrazy z przeszłości, o których więzień najchętniej wolałby zapomnieć. Udało mu się jakoś wyprostować, a mysz wczepiła się pazurami w jego ramię i zaczęła, aż mężczyzna oprze się wygodniej o kraty.

- Jaki byłem wcześniej? Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Upadły anioł zachichotał. Mysz zaczęła się myć, wy-

godnie usadowiona na jego ramieniu. - To bardzo dobry pomysł - zgodził się. - Kiedy skończę, poczujesz się zbrukana, wręcz oblepiona brudem.

Ból nie zmniejszał się, ale też i nie narastał. Ale dla niego to nie pierwszozna. Jeżeli chodzi o ból, anioł zamknięty w klatce był prawdziwym zawodowcem. Towarzyszył mu on zawsze i wszędzie, nawet gdy spał spokojnie na wełnianej macie w serbskim klasztorze. To była jego kara, na którą zasłużył.

- Ale musisz mi przyrzec, że kiedy wysłuchasz mojej historii, nie zostawisz mnie dla jakiegoś innego upadłego anioła.

Mysz wydała z siebie zachęcający pisk. Mężczyzna wziął głęboki oddech i poczuł, jak powietrze świszczę mu w spalonych, wypełnionych płynem płucach.

- Wszystko zaczęło się w Niebie - rozpoczął swoją opowieść, a wraz ze słowami z jego ust popłynął wielki smutek, niczym krew ze śmiertelnej rany.

- Gdzie są ci wszyscy mieszkańcy, o których cały czas mówicie? - zapytał Aaron, gdy szli w dół ulicy, popękanym i zaniedbanym chodnikiem, mijając po drodze jeden opuszczony dom po drugim.

- Kręcą się gdzieś w pobliżu - odpowiedziała Lorelei, odgarniając z czoła kosmyk śnieżnobiałych włosów.

- Po tej aferze z Johielem nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał rozwijać czerwony dywan na powitanie obcych. Wciąż nie mogę uwierzyć, że chciał nas wydać, żeby ratować swój własny tyłek.

- Dziewczyna z niesmakiem pokręciła głową, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy.

- Dzisiaj nikomu nie można już ufać - dodała, niepewnie oglądając się za siebie.

- Jak długo tu jest? - spytał Kamael, rozglądając się po okolicy jastrzębim wzrokiem.

- Co takiego? - Lorelai z początku nie zrozumiała pytania.

- Masz na myśli Aerie? Ja mieszkam tu od sześciu lat i to jedyne takie miejsce, jakie znam. Choć jest ich ponoć więcej - na zboczu czynnego wulkanu, w opuszczonej kopalni węgla... Jeden z naszych twierdzi nawet, że przez jakiś czas żyło we wraku zatopionego okrętu wojennego na dnie Atlantyku. Aerie jest tam, gdzie my.

- Dlatego tak trudno je znaleźć - Kamael pokiwał głową ze zrozumieniem, nie przestając lustrować okolicy.

- Jest w wielu miejscach jednocześnie.

Gabriel obwąchał zniszczone schody, prowadzące na ganek jednego z opuszczonych domostw. Jego nos działał jak licznik Geigera, poszukujący źródła promienio-

'a. Ktoś przybił wielki arkusz sklejki tam, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi wejściowe, i nabazgrał sprejem oskarżycielski napis: „Moja rodzina oddała życie za to miejsce”.

- Co tu się właściwie stało? - zainteresował się Aaron, przejęty do głębi. Zdawało mu się, że czuje smutek, bijący z nagryzmołonych liter; przed oczami pojawiły się obrazy przybranych rodziców, którzy zginęli w swoim domu.

Lorelei zatrzymała się na moment i przyjrzała wzbudzającej strach ruderze.

- W latach czterdziestych i pięćdziesiątych ten dom należał do zakładów chemicznych ChemCord. Produkowali pestycydy przemysłowe, kwasy, rozpuszczalniki organiczne i co tam jeszcze, a następnie składowali tu wszystkie odpady chemiczne. - Lorelei wskazała na ziemię pod ich stopami.

- *To miejsce cuchnie, Aaronie* - zauważył Gabriel, obsiukując kikuty wyschniętych, brązowych krzaków przed domem. - *Te rośliny też śmierdzą - jakby trucizną.*

- I to, co robisz, pomaga im? - zażartował Aaron.

- *Im już nic nie pomoże* - odparł wyniośle Gabriel i kontynuował badanie terenu.

- Ten pies ma rację - przytaknęła Lorelei. - Tony tych toksycznych odpadów zamykali w stalowych beczkach, a potem zakopywali właśnie na terenie tej posiadłości.

Ruszyli dalej. Każdy z mijanych domów nabierał w oczach Aarona nowego znaczenia.

- W takim razie, po co budowali osiedle mieszkaniowe, wiedząc, co się tutaj święci?

- Firma ChemCord zbankrutowała w 1975 r. i zaczęła wyprzedawać swój majątek - w tym także ziemię która do nich należała. Przekonywali przy tym potencjalnych kupców, że gleba nie jest skażona.

- Tyle tutaj smutku - odezwał się za ich plecami Kamael. Odwrócili się i zobaczyli, że anioł przygląda się jednemu z budynków. Na trawniku leżał zardzewiały rowerek dziecięcy, posępne świadectwo tragedii, która rozegrała się w każdym z tych domów. - Mury prześląły nim aż do fundamentów. Teraz już rozumiem dlaczego Belfegor i inni wybrali właśnie to miejsce.

- Niech zgadnę - kontynuował Aaron. - Ludzie, którzy się tu osiedlili, wkrótce zaczęli chorować.

Lorelei skinęła głową.

- Rekonstrukcja osiedla Ravenschild rozpoczęła się w 1978 r., a na wiosnę 1980 r. sprowadzili się tutaj pierwsi mieszkańcy. Wszystko wydawało się idealne, aż do pierwszego zanotowanego przypadku białaczki. Potem nastąpiły kolejne, a wreszcie zaczęły się rodzić chore dzieci.

- Ilu ludzi zmarło? - spytał Aaron. Wiatr hulał po pustej ulicy, wzbijając w powietrze chmury pyłu. Aaron

ógł przysiąc, że słyszy rozpaczliwe krzyki i płacz rodziców, opłakujących swoje zmarłe dzieci.

— Nie jestem pewna — odparła dziewczyna. — Wiem, że wiele dzieciaków zachorowało, zanim władze zainteresowały się problemem w 1989 r. Przeprowadzono śledztwo, a potem wysiedlono stąd wszystkich. Skończyło się na tym, że odkupiono od nich trzysta pięćdziesiąt domów i sfinansowano część kosztów przesiedlenia.

B — Czyli zostało tylko miasto duchów. - Aaron wciąż nasłuchiwał dobiegających z oddali, niewyraźnych krzyków.

— Zgadza się.

— Przypomnij mi, jak nazwaliście z Leahiaszem to miejsce? - Aaron zmarszczył nos z niezadowoleniem.

- Mały skrawek raju? Nie powiedziałbym.

Lorelei rozejrzała się wokół, a na jej bladej, ładnej buzi odmalowało się rozmarzenie.

— Może faktycznie tak nie wygląda - powiedziała cicho. — Ale jest nieporównanie lepsze niż to, które zostawiłam. Każdego dnia zamieniłabym dom wariatów na to.

- Lorelei nagle odwróciła się i pomaszerowała dalej.

Jej słowa rozbudziły ciekawość Aarona, który przyspieszył kroku, żeby ją dogonić.

— Powiedziałaś dom wariatów?

Lorelei nie odpowiedziała od razu, jakby nie mogła się zdecydować, czy powinna poruszać ten temat.

— I to całkiem niezły — przynajmniej tak mi mówili — odezwała się w końcu. — Miałam siedemnaście lat, byłam w przededniu swoich osiemnastych urodzin i wszystko, co znałam, obróciło się w niwecz.

Aaron usłyszał w jej głosie ból i od razu poczuł współczucie. Rozumiał doskonale, o czym mówiła Lorelei.

- To była... odezwała się w tobie... moc Nefllima.

Lorelei przytaknęła.

- Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale po którymś z kolei pobycie w szpitalu zaczęło to do mnie docierać. Uciekłam z domu, mieszkałam na ulicy, przestałam brać lekarstwa — i nagle wszystko stało się jasne. Oczywiście, tak mówią wszyscy wariaci, którzy odstawiają leki. — Dziewczyna roześmiała się, ale był to śmiech pełen goryczy.

Aaron nagle zobaczył w niej bratnią duszę i pomyślał, że jej historia mogłaby być równie dobrze jego własną, gdyby nie ta cała heca z przepowiednią.

— Coś ciągnęło mnie w to miejsce — kontynuowała Lorelei. — Po tym, jak przestałam brać psychotropy, zamiast nich czułam głód Aerie — widziałam to miejsce w snach, razem z całym tym szaleństwem, które na pewno i tobie nie jest obce.

- A czy spotkałaś na swojej drodze kogoś, kto chciał cię skrzywdzić? - wtrącił się Kamael. - Lub powstrzymać przed znalezieniem się tutaj?

Kosmyk śnieżnobiałych włosów opadł na twarz Lorelei- Odgarnęła go dłonią.

- Nauczyłam się ich unikać. - Dziewczyna odwróciła się do anioła. — Na początku myślałam, że są tylko wytworem mojej chorej wyobraźni, dopóki jeden z nich nie postanowił spalić mnie żywcem w starej, opuszczonej kamienicy, w której pomieszkiwałam. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie przelewki.

- Miałaś szczęście, że udało ci się ujsć z życiem.

Lorelei przytaknęła.

- Myślę, że pomogła mi moja wewnętrzna moc. Kiedy nie brałam leków, ona rosła w siłę i pomagała mi wybierać miejsce, w którym byłam bezpieczna.

Minęli wielką stertę poczerniałego, spalonego drewna, porzuconą na samym środku ulicy. Aaron zauważył drzwi i okna, balustrady i poręcze z jakichś starych domów, z których usypano ten stos. Spojrzał pytająco na Lorelei.

- Mieliśmy trochę problemów z miejscowymi dziećmi — wyjaśniła dziewczyna. — Lubiły urządzać sobie tutaj imprezy. Zaczęliśmy się obawiać, że te ich małe ogniska w końcu puszczą z dymem całą okolicę.

- I co zrobiliście?

Lorelei rozłożyła dłonie i Aaron ujrzał, jak między opuszkami jej palców przeskakują małe iskierki.

- Kiedy w końcu tu trafiłam i uświadomiłam sobie, że nie jestem szalona - że jestem Nefilimem - odkryłam w sobie pewne magiczne zdolności. Razem z moim ojcem rzuciliśmy parę czarów, żeby odstraszyć te dzieciaki. To miejsce cieszy się teraz złą reputacją, jeszcze gorszą niż wcześniej.

- Z ojcem? Kim...?

- To Leahiasz - ucięła krótko Lorelei. - Nieźle, co? Okazało się, że nie tylko nie jestem wariatką, ale mogę skumać się z moim starym, który jest aniołem. Nagle wszystko zaczęło nabierać jakiegoś dziwnego sensu.

W uszach Aarona zabrzmiały słowa Archanioła Gabriela - *Masz oczy swojego ojca* - i chłopak zastanowił się, czy tożsamość jego ojca kiedykolwiek zostanie przed nim odkryta.

Lorelei, Aaron, Kamael i Gabriel skęcili w małą boczną uliczkę i zatrzymali się przed domem z jasnoniebieską elewacją z sidingu. Z rynien smętnie zwisały resztki świątecznych lampek.

- Czy to mój wóz? - spytał Aaron i wyminawszy Lorelei, poszedł w kierunku auta, które stało na chodniku przed domem.

Gabriel dogonił go, a potem wyprzedził i dobiegł do samochodu pierwszy, żeby go obwąchać.

- *Tak, to nasz samochód* - ucieszył się, merdając wesoło ogonem. — *Czuję w nim nasze rzeczy.*

- Jeden z mieszkańców znalazł go na parkingu przed Burger Kingiem. - To mówiąc, Lorelei wskazała na dom. - Tutaj się zatrzymacie.

Aaron rozejrzał się po okolicy, czując, jak znów wzbiera w nim gniew. Nie chciał tutaj zostać, tylko ruszać dalej na poszukiwanie brata. Nie zrobili przecież niczego złego i Belfegor nie miał prawa ich więzić.

- Jak długo zamierzacie nas tu trzymać? - spytał, spoglądając ze złością na krępujące go złote kajdany. - Jeżeli mam odnaleźć mojego brata...

- Zostaniecie tak długo, aż Założyciel podejmie decyzję, co z wami zrobić - przerwała mu Lorelei, krzyżując ręce na piersiach w obronnym geście. - Nie zapominaj, że jesteście nadal podejrzani o popełnienie kilku morderstw. Dopóki nie przekonamy się, że mówicie prawdę, nigdzie się stąd nie ruszycie.

- Wiesz, że to bzdura, grubymi nićmi szyta - warknął Aaron, czując, jak jego anielska moc zaczyna kumulować. Wykorzystywała każdą sytuację konfliktową i Aaron musiał znów zebrać siły, żeby ją poskromić. Nie miał najmniejszej ochoty, żeby po raz kolejny doświadczyć na sobie efektów magicznych kajdan.

- Gdyby to zależało od mojego ojca, wciąż siedzieli-

byście zamknięci w tej zatęchłej piwnicy - bez względu na to, czy jesteś Wybrańcem, czy nie. — Lorelei podeszła, opuszczając ręce z zaciśniętymi pięściami wzdłuż boków. - A tak w ogóle, skąd ta pewność, że jesteś jakiś wyjątkowy? - uśmiechnęła się zjadliwie.

- Ja się o to nie prosiłem! - Aaron odepchnął ją na bok i ruszył w przeciwną stronę.

- A ty dokąd się wybierasz?

Aaron przystanął, ale nie odwrócił się.

- Muszę się przejść. Poza tym, Gabriel jest głodny. Ja też chętnie bym coś przekąsił. Dostaniemy tutaj jakieś jedzenie?

Lorelei milczała przez chwilę, jakby zastanawiała się, czy może ich puścić. Aaron wiedział, że jej ewentualny sprzeciw może wywołać opłakane skutki, biorąc pod uwagę, że moc w jego wnętrzu była już gotowa do ataku.

- Idziesz w dobrym kierunku - odezwała się w końcu dziewczyna. - Musisz skręcić w lewo, w ulicę Gagnon. Tam zobaczysz dom kultury. Można w nim chyba dostać kanapkę czy coś podobnego.

- Dzięki. - Aaron ruszył przed siebie. Gabriel podrepotał za nim. Tylko Kamael nie ruszył się z miejsca. - Do zobaczenia później - rzucił Aaron.

- Zgadza się - zawołała za nim Lorelei. - Im prędzej się do tej myśli przyzwyczaisz, tym będzie ci łatwiej.

ROZDZIAŁ 6

Kamael patrzył w ślad za oddalającym się Aarone. Podzielał, przynajmniej częściowo, jego niezadowolenie.

- Więc co tak naprawdę o nim myślisz? - spytała Lorelei, gdy tak stali na chodniku przed zaniedbanym domem. - Naprawdę wierzysz, że to Wybraniec?

Kamael odwrócił wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Wierzę, że jest w nim coś wyjątkowego - odpowiedział.

Gdy miałam osiem lat, dostałam w prezencie kota.

Też wydawał mi się wyjątkowy, co nie znaczy, że był Mesjaszem. - W głosie Lorelei zabrzmiał sarkazm.

Kamael zignorował jej docinki. Zamiast tego wskazał na dom, przed którym stali.

- Tutaj będziemy mieszkać? - spytał, jakby chcąc się upewnić.

- Tak, tutaj. To jeden z najsolidniejszych i najlepiej zachowanych domów w okolicy. Nic nie cieknie, nie zde-wastowały go też dzieciaki, które mają jeszcze odwagę czasem się tu zapuszczać.

- To mi wystarczy - zapewnił ją Kamael, po czym zapadła cisza. Anioł miał nadzieję, że dziewczyna zrozumie wymowność jego milczenia i zostawi go samego. Nie miał ochoty na pogawędkę. Musiał przemyśleć wiele spraw, a jej obecność tylko go rozpraszała.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - odezwała się Lorelei, wywierając na niego lekki nacisk. - Uważasz, że Aaron jest tym, o którym mówi przepowiednia?

- Nieważne, co uważam - odparł, wbijając w nią spojrzenie swoich lodowatych oczu. - Ty i twoi ludzie i tak już podjęliście decyzję.

- Mieliśmy do czynienia z wieloma fałszywymi prorokami. Odkąd tu jestem, sama widziałam co najmniej dwóch takich. Dlatego słowo byłego dowódcy Potęg t dla nas za mało. — Lorelei skrzyżowała ramiona w cha

rakterystycznym dla siebie geście- - Wybacz brak zaufania, ale takie są fakty.

Kamael czuł, że Lorelei oczekuje czegoś więcej - że chce, by ją przekonał, że to prawda. Ale gdy tak stał na pustej ulicy, w środku opustoszałej dzielnicy, która okazała się rajem, tak długo przez niego poszukiwanym, Kamael nie znalazł w sobie dość siły, by potwierdzić jej oczekiwania.

I - Szukałem tego miejsca, odkąd sięgam pamięcią... A nawet jeszcze dłużej - odparł, zataczając dłonią krąg po okolicy. — Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym zwiedzić Aerie na własną rękę.

Lorelei przytaknęła po chwili wahania. W jej spojrzeniu dostrzegł rozczarowanie i poczuł się trochę głupio, i - Pewnie, nie krępuj się. - Dziewczyna wsadziła ręce do kieszeni krótkiej kurtki. - Kajdanki na rękach i na szyi powinny trzymać cię z dala od kłopotów. - Po tych słowach Lorelei odwróciła się na pięcie i przeszła na drugą stronę ulicy, zostawiając anioła samego.

- Wiem, że pewnie inaczej to sobie wyobrażałeś. - Kamael usłyszał jeszcze, jak mówi, zanim ruszyła w kierunku, z którego przyszli. - Ale to właśnie jest nasz dom.

Kamael nie był pewien, czego właściwie spodziewał się po Aerie, ale schodząc w dół kompletnie wymarłej ulicy, otoczonej rozsypującymi się ruderami i cuchnącej

chemikaliami, które zatrwały tutejsze powietrze i glebę, wiedział, że na pewno nie tego oczekiwał; nawet przez myśl mu nie przeszło, że Aerie może tak wyglądać.

Co spodziewałeś się znaleźć? — zadał sam sobie pytanie, czując na plecach promienie zachodzącego słońca. Ziemią wersję dawno utraconego, niebiańskiego Raju? Na to właśnie liczyłeś?

W oddali przed sobą Kamael dostrzegł złoty krzyż, wieńczący dzwonnice kościoła, i poczuł, że z jakiegoś powodu musi odwiedzić miejsce kultu. Kościół został wzniesiony we współczesnym stylu - prosty, dużo skromniejszy niż zdecydowana większość świątyń, które Kamael miał okazję odwiedzać w ciągu wielu lat spędzonych na tej planecie, zamieszkiwanej przez ludzi. Powoli wspiął się po zniszczonych, betonowych stopniach, prowadzących do kościoła, instynktownie wyczuwając w jego murach słowa dawno przebrzmiałych modlitw. Otworzył drzwi i natychmiast spłynęła na niego miłość, jaką te prymitywne istoty obdarzały swojego Boga.

Kamael wszedł do wnętrza, a drzwi za nim zamknęły się powoli. Budowla została pozbawiona wszystkich symboli religijnych - nie było w niej żadnego krucyfiksu ani relikwii świętych. Kamael domyślił się, że zabrano je ze sobą, kiedy miasto zostało opuszczone. Nie zmieniło to jednak panującej w środku atmosfery. To bez wąpie-

nia było miejsce religijnego kultu i bez względu na to, jakie i ile dewocjonaliów zostało z niego zabranych, jego oryginalne przeznaczenie zostało zachowane.

Przed ołtarzem, znajdującym się naprzeciwko wejścia, stały rzędy prostych ławek. Wtedy anioł zorientował się, że nie jest sam. W kościele był ktoś jeszcze. Neftlim. Siedział z przodu, ze wzrokiem utkwionym w obrazie, który został namalowany na kremowej ścianie na tyłach ołtarza.

Kamael podszedł bliżej. Podobizna na ścianie była dość prymitywna, ale nie miał żadnych wątpliwości, co przedstawiała - śmiertelną kobietę i anioła, splecionych w miłosnym uścisku. W powietrzu nad głowami rodziców lewitowało dziecko, owoc ich związku. Unosząc się na złotych skrzydłach z niebiańskiego światła, rozpościerało szeroko ramiona, a wychodzące z jego głowy promienie sięgały w górę, tam gdzie mieszkał Bóg, oraz w dół, otaczając cały świat swoją Boską iluminacją. Kamael przyglądał się twarzy dziecka, doszukując się w niej jakiegokolwiek śladu podobieństwa do tego, którego strzegł - Aarona Corbeta. Oczywiście, nie znalazł żadnego i poczuł się głupio.

Samotna postać siedząca u stóp ołtarza odwróciła się, a na widok anioła na jej twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Kamael miał już przemówić do Nefi-

lima, ale zanim zdążył otworzyć usta, mężczyzna zerwał się z ławki i wybiegł z kościoła bocznym wyjściem.

Tutejsi rzeczywiście nie ufają nieznanym — pomyślał Kamael, przechodząc do przodu i siadając na miejscu, które przed chwilą opuścił w panice nieznanemu. Cisza, jaka panowała w kościele, działała kojąco. Anioł zamknął oczy i pogрузzył się w myślach. Ostatnio rzadko miewał ku temu sposobność.

Kamael powrócił w myślach do czasów Wielkiej Wojny. Z początku wszystko wydało mu się takie czarno-białe. Ci, którzy sprzeciwili się swojemu Panu, musieli ponieść zasłużoną karę. Przecież to oczywiste. Przed oczami przelatywały mu twarze zdrajców z różnych chorów anielskich. Niektórych z nich znał od zarania dziejów, ale to nie miało znaczenia - musieli zapłacić za nieposłuszeństwo. A potem nagle miał już wszystkiego dość. Zapach krwi przyprawiał go o mdłości, a w uszach dzwoniły mu przeraźliwe krzyki i błagania o darowanie życia. Przemoc wydawała się nie mieć końca, jego życie składało się wyłącznie z zemsty i cierpienia. Kamael stał się posłańcem śmierci i nie mógł dłużej znieść tej roli.

Wtedy dowiedziałem się o przepowiedni...

Kamael otworzył oczy i spojrział na ściennie malowidło, rozpościerające się przed nim: niezwykła trójca zwiastowała koniec bólu i cierpienia. Anioł przypomniał sobie.

kiedy po raz pierwszy usłyszał o przepowiedni z ust człowieka - ślepego wróżbity. Całym swoim sercem pragnął, by to była prawda - miał nadzieję, że Bóg wybaczy tym, którzy go zawiedli. A rola ta miała przypaść w udziale istocie, która stanowiła doskonałe połączenie największych dzieł Jego stworzenia.

Od tamtej pory Kamael traktował te istoty, nazywane Nefilimami, jako wyraz Pańskiej laski. I robił wszystko, co w jego mocy, by je chronić. Jego misja trwała już dość długo i obfitowała w krwawe wydarzenia, ale Kamael miał wrażenie, że z każdym dniem zbawienie topniowo się przybliża. Postanowił, że odnajdzie Nefilima z przepowiedni i pomoże mu odkupić winy swoich braci. Aż w końcu znalazł się tutaj.

W Aerie.

Anioł rozejrzał się wokół i poczuł, jak ogarnia go rozgoryczenie. *Tutaj ma się dokonać ostatni akt łaski naszego Stwórcy? Na ludzkim osiedlu, zbudowanym na cmentarzysku odpadów chemicznych?* Kamael nie miał ochoty się do tego przyznać, ale oczekiwał przecież czegoś więcej.

Pozostał jeszcze przez jakiś czas zatopiony w myślach, nie na tyle, by nie wyczuć ich obecności. Wstał z ławki, odwrócił się i zobaczył, że nie jest już sam. Nefilim, który uciekł na jego widok, wrócił i przyprowadził ze sobą innych. Weszli tłumnie do świątyni, kobiety i mężczyźni

w różnym wieku - wszyscy będący owocem tego samego związku anioła i śmiertelnej kobiety. Spoglądając ukradkiem na Kamaela, mruzcili coś do siebie i mamrotali pod nosem.

Anioł nie miał pojęcia, czego od niego chciał. Instynktownie spróbował dobyć miecza, ale magiczne kajdany, krępujące jego dłonie i szyję, skutecznie mu to uniemożliwiły. Kamael zawył z bólu, kiedy setki lodowatych sztyletów wbiły mu się w całe ciało. Upadł na kolana, przeklinając w duchu swoją głupotę i za wszelką cenę starając się zachować przytomność, mimo narastającego bólu.

Chmara Nefilimów okrążyła go ze wszystkich stron, a on nie mógł ich w żaden sposób powstrzymać. Nieprzyjemną sytuację potęgowały dodatkowo ich konspiracyjne szepty.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał, głosem pełnym napięcia i zmęczenia.

Starsza kobieta o oczach głęboko zielonych, jak wody Morza Śródziemnego, ośmieliła się podejść jako pierwsza i wyciągnęła swoją dłoń do anioła. Kamael zobaczył w jej oczach łzy.

- Chcemy ci podziękować — powiedziała, dotykając chłodną dłonią jego twarzy. - Za ocalenie nam życia.

Kamael spojrział na nią zagadkowym wzrokiem, czując jednocześnie, jak jej delikatny dotyk koi jego ból.

- To była jedna z najgwałtowniejszych burz śnieżnych, jakie pamiętam – wyszeptała kobieta, a po jej twarzy spłynęły ciurkiem łzy. - A oni przyszli, żeby mnie zabić, z ognistymi mieczami, które trzaskały i topiły padający na nie śnieg. Do końca życia nie zapomnę tego straszego dźwięku - a może dźwięku twojego głosu, który rozkazał im odstąpić ode mnie.

Kamael powoli zaczął rozumieć znaczenie jej słów.

- Ja... ja cię uratowałem - powiedział, patrząc w jej bezdennie głębokie oczy, skąpane w falach emocji.

Kobieta skinęła głową, a na jej drżących ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Nie tylko mnie, ale i wielu innych - powiedziała, rozglądając się znacząco wkoło.

Wtedy podeszli też pozostali, dotykając go palcami, gładząc dłońmi. Ich wdzięczność była dosłownie odurzająca. Tyle razy zastanawiał się, co się z nimi stało. Z tymi Nefilimami, których ocalił przed morderczymi Potęgami. Ileż to razy poddawał w wątpliwość znaczenie swojej misji?

Teraz wszyscy ci uratowani Nefilimowie tłoczyli się wokół niego, a ich wdzięczność spowijała go szczelnym kokonem spełnienia.

A więc to wszystko nie było na próżno - pomyślał, napawając się każdym ciepłym słowem, każdym pełnym

wdzięczności dotykiem. Kamael, były przywódca Potęg, wreszcie odnalazł spokój - nie tylko w sensie fizycznym, trafiając w to miejsce, ale przede wszystkim duchowym.

Więzień skulił się jeszcze mocniej na podłodze klatki. Jego ciałem targały spazmy straszliwego bólu, towarzyszące procesowi gojenia ran.

- To nawet dosyć zabawne - wyszeptał do myszy, która ukazała się w zagłębieniu jego ramienia, popiskując mu cichutko do ucha. - Gojenie ran boli prawie tak samo, jak ich zadawanie. - To mówiąc, zwinął się w kolejnym paroksyzmie bólu. Odczekał chwilę, aż ból minie, zanim mógł kontynuować swoją opowieść.

- Wybacz to wtrącenie - powiedział, próbując skupić się na czymś innym, niż na swojej starej, martwej tkance, którą stopniowo zastępowała nowa. - Na czym to skończyłem?

Mysz sapnęła delikatnie.

- A tak, zgadza się - odparł pokonany anioł. - Na moich kontaktach z Bogiem. - Jego ciało przeszyła kolejna fala agonii, tak silna, że więzień aż zagryzł zęby. - Zajmowałem dość wysokie miejsce na liście Jego faworytów - najpotężniejszych i najbardziej ukochanych spośród wszystkich niebiańskich aniołów. Nazywał mnie

oją Gwiazdą Poranną i kocha! mnie tak mocno, jak ja kochałem Jego - tak mi się przynajmniej zdawało.

Mimo że sprawiało mu to jeszcze większy ból niż odpadające z jego ciała piaty skóry, więzień przypomniał sobie z rozrzewnieniem te wspaniałe czasy.

- Szkoda, że tego nie widziałeś — powiedział rozmarzony, wracając wspomnieniami do miejsca swojego stworzenia. Do Nieba. - Tam było wszystko, o czym tylko można sobie zamarzyć - i jeszcze więcej. To był prawdziwy Raj.

Więzień w klatce widział znów oczami wyobraźni złote iglice niebiańskich pałaców, strzelające wysoko w górę, aż do nieskończoności. I ich kulminację - siódmy krąg niebieski, miejsce duchowej doskonałości.

& — Tam właśnie siedział On, na swoim tronie ze światła, a ja często przesiadywałem obok Niego. - Po tych słowach więzień westchnął ciężko, sprowadzony brutalnie na ziemię kolejnym atakiem niewyobrażalnego bólu.

Mysz zasnęła, ale on wciąż słyszał w głowie jej głos i pytania, które mu zadała - na temat przeszłości i jego ostatecznego upadku.

- Czy wiesz, że byłem u Jego boku, gdy została stworzona ludzkość? Widziałem, jaką olbrzymią uwagę poświęcał tym, którzy dla nas wydawali się tylko jeszcze jednym gatunkiem zwierząt! - Więzień przypomniał sobie swój gniew, niekontrolowany wybuch emocji, który

dawno temu doprowadził go do zguby. - On dał im własny raj, ogród niewiarygodnej urody. Była to z Jego strony wielka szczodrość. A potem dał im coś, czego my nigdy nie mieliśmy - część siebie samego. Stwórca tchnął w nich iskrę swojej Boskości - podarował im duszę.

Ból, jaki sprawiały mu gojące się rany, w parze z oburzeniem, jakie wywołało w nim to wspomnienie, sprawiły, że więzień usiadł wyprostowany, opierając się o kraty. Natychmiast dotknął ramienia, na którym siedziała śpiąca teraz mysz, chroniąc ją przed upadkiem. - Minęło tyle czasu, a ja wciąż nie potrafię się z tym pogodzić - przyznał, już nieco mniej zachrypłym głosem.

Mysz wpadła w panikę, obudzona nagłym ruchem. Więzień czuł pod palcami oszalałe bicie jej malutkiego serca i chłód żelaznych krat, dotykających jego niezagojonego jeszcze do końca ramienia.

- Byłem szokowany i wstrząśnięty, podobnie jak członkowie pozostałych chórów anielskich. Dlaczego nasz Pan dał tym nędznym istotom tak bezcenny dar? Dla nas to było jak obelga. - To mówiąc, więzień zamknął wrażliwą mysz w dłoni, starając się w ten sposób ukoić jej rozdygotane nerwy.

- Zazdrość - powiedział z wielkim smutkiem. - Wszystkie te potworne rzeczy, które nastąpiły później, były efektem zazdrości. - W myślach ujrzał kobietę i mężczyznę

w rajskim Ogrodzie, ogrzewających się w świetle Jego chwały. - To były takie delikatne stworzenia. A On tak je kochał - tylko pogarszając sprawę.

Mysz wciąż dygotała w jego dłoni i więzień zastanowił się, czy przypadkiem nie jest jej zimno. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Jakby tego wszystkiego było mało, wkrótce potem Bóg wezwał nas do siebie, żeby nam przekazać, że od tej pory mamy się kłaniać ludziom w pas i służyć im tak, jakbyśmy służyli Jemu - naszemu najukochańszemu Stwórcy.

Czaszka swędziała go i drapała niemiłosiernie — podejrzewał, że może włosy zaczęły mu już odrastać.

- Jak się można domyślić, część z nas była - delikatnie mówiąc — niezadowolona z takiego obrotu spraw. — Więzień pamiętał jak dziś wykrzywione wściekłością, zacięte twarze. Ale żaden gniew nie mógł się równać z jego własnym. Nie potrafił pogodzić się z tym, że Jego Pan i Stwórca porzucił go dla czegoś tak marnego. - Byłem tak oślepiiony zazdrością i moją zranioną dumą, że zebrałem wokół siebie armię tych, którzy czuli podobnie jak ja. Powiedzmy, że była to jedna trzecia wszystkich aniołów i razem rozpętaliśmy wojnę przeciw naszemu niebieskiemu Ojcu oraz tym, którzy zdecydowali się podporządkować Jego nowym zasadom.

Przed oczami zatańczyły mu obrazy nieskończonych bitew i rzezi, które miały miejsce przed tysiącleciami. Nie było dnia, żeby sobie o nich nie przypominał. Widział twarze swoich najlepszych żołnierzy, tak piękne, a jednocześnie wykrzywione grymasem wściekłości i był pewien, że wierzyli w niego i w to, że sprawa, za którą walczą, była tego warta.

- Kiedy Stwórca skończył z pierwszymi ludźmi, ja dotknąłem wszystkich tych, którzy ze mną walczyli i przekazałem każdemu z nich cząstkę siebie. Fragment tego, co czyniło mnie najpotężniejszym aniołem w Niebie. - Na wspomnienie tych, którzy otrzymali jego dar - czarny symbol wypalony głęboko w ciele, będący świadectwem ich oddania dla niego i dla sprawy - opuszki jego palców jakby same obudziły się do życia.

- Uważaliśmy, że Wszechmogący nie miał prawa zrobić tego, co zrobił nam - ale, jak się okazało, wyobrażaliśmy sobie zbyt wiele - skonstatował ze smutkiem więzień. Był już wyczerpany bolesnymi wspomnieniami ze swojej mrocznej przeszłości. Opuścił dłoń z myszą na kolana.

- Co chcieliśmy udowodnić? Jakie mieliśmy zamiary? - Potrząsnął głową i uśmiechnął się z bólem. - Czy chcieliśmy zmusić Stwórcę, żeby kochał nas najbardziej na świecie?

Mysz, spoczywająca na jego kolanach, podniosła pyszek i spojrzała w górę. W jej ciemnych oczach dojrzał coś na kształt współczucia.

- To był zaciekły bój. Nie potrafię nawet powiedzieć, ile trwał - dni, tygodnie, może nawet lata. Wtedy czas mijał mi inaczej niż teraz. Walczyliśmy mężnie, ale na próżno.

Mysz delikatnie trąciła go zimnym, wilgotnym nosem i mężczyzna zaczął znowu ją głaskać.

[- Kiedy bitwa została zakończona, większość moich elitarnych żołnierzy zginęła, a ja zostałem zakuty w kajdany i zaprowadzono mnie przed oblicze mojego Pana. Wtedy zaczęło docierać do mnie, co narobiłem.

Więzień zamknął oczy, które zwilgotniały od nadmiaru emocji. Chwilę później spod powiek popłynęły pierwsze łzy.

- Chciałem Go przeprosić. Błagałem o łaskę i przebaczenie. Ale nie wysłuchał mnie.

Strużka lez skapnęła mu na dłoń i mysz ochoczo zaczęła zlizywać słoną ciecz.

- Zostałem wygnany z Nieba na Ziemię, a towarzyszyć mi od tej pory nieustanny ból i cierpienie za to, co zrobiłem.

Mysz przyjrzała się mówiącemu, zagadkowo przekrzywiając trójkątny łebek na jedną stronę.

- Chcesz się dowiedzieć czegoś na temat miejsca, które ludzie nazywają Piekłem? - spytał ciekawskie zwierzę. - Piekła nie ma. Tutaj jest Piekło. - To mówiąc, dotknął koniuszkami palców świeżej, zregenerowanej, różowej tkanki na piersi. - A moje winy będą mnie tu zawsze palić najgorętszym z ognia.

- *Ona powiedziała, że mamy skręcić w lewo, w ulicę Gagnon, a tam znajdziemy dom kultury, w którym można coś przekąsić* — zaskowyczał Gabriel.

- Zgadza się, to właśnie powiedziała - przytaknął Aaron, rozglądając się po drodze. Wszędzie widział tylko domy, każdy bardziej zrujnowany i rozpadający się od innych.

- *A co to właściwie jest dom kultury?* - spytał labrador. Czas jego kolacji dawno już minął i Gabriela zaczęła powoli ogarniać panika.

Aaron zatrzymał się, spoglądając przez ramię w kierunku, z którego przyszli.

- *Wciąż jeszcze jesteśmy na ulicy Gagnon, prawda?* - spytał bardziej sam siebie niż swojego zniecierpliwionego kompana.

- *Nie mam pojęcia* - odparł pies z nosem przyciśniętym do chodnika, w poszukiwaniu choćby najdrobniejszego śladu jedzenia. - *Jestem tak głodny, że nie potrafię zebrać myśli, a już zaczyna się ściemniać.*

Ruszyli dalej przed siebie. Lekki wiaterek hulał po pustej ulicy, podrywając z ziemi pojedyncze liście opadłe z chudych jak szkielety, rachitycznych drzew.

- Po prostu idźmy dalej i zobaczymy, dokąd dojdziemy- Może ten dom kultury jest na drugim końcu ulicy.

- *A jeśli go tam nie ma?* - W niskim, gardłowym głosie Gabriela narastała coraz większa panika.

Aaron westchnął z irytacją.

- Nie martw się, Gabe. Jeżeli nie znajdziemy domu kultury, wrócimy do samochodu. W bagażniku jest jeszcze trochę twojej karmy.

- *Nie chcę psiej karmy.* - Labrador zatrzymał się i spuścił po sobie uszy. - *Puszczam po niej wiatry.*

Aaron nie był już w stanie powstrzymać złości.

- Posłuchaj, chcę ci tylko powiedzieć, że nie umrzesz z głodu. Dostaniesz jedzenie!

Gabriel zaczął machać ogonem.

-*Jesteś dobrym chłopcem.*

Aaron roześmiał się mimowolnie i pokazał psu, żeby poszedł za nim.

- Gabrielu, niezły z ciebie ananas.' - rzucił. - Chodź, znajdziemy to miejsce, zanim i ja padnę z głodu.

Pies zamyślił się na chwilę, dotrzymując tempa swojemu panu.

- *Chyba jeszcze nikt nie nazwał mnie nigdy ananasem.*

Byłem już dobrym pieskiem i najlepszym kumplem, ale nigdy ananasem.

- No widzisz - Aaron uśmiechnął się. - Możesz to sobie dopisać do CV.

- *Mylisz, że kiedykolwiek odnajdziemy Steviego?* - spytał nagle Gabriel, zmieniając temat tak łatwo, jakby miał to od zawsze we krwi.

Aaron poczuł, jak jego dobry humor pryska niczym mydlana bańka.

- Jak tylko uda nam się stąd wyjechać, zaczniemy go znowu szukać.

- *Ile to może potrwać?*

W Aaronie wzbrał znowu gniew i musiał wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

- Nie wiem - odparł beznamiętnie. - Przez jakiś czas musimy grać według ich reguł, ale przyjdzie taki moment, że trzeba będzie się postawić.

- *Nie podoba mi się to.*

- Mnie też nie - odparł Aaron. - I miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Nefilim i jego pies szli dalej, pogrążeni w milczeniu. Każdy z nich rozmyślał o tym, co jeszcze może ich czekać w przyszłości. Dotarli już prawie na koniec ulicy, gdy nagle Gabriel zatrzymał się.

- O co chodzi tym razem? - westchnął Aaron.

- *Czujesz to?* - Gabriel przekrzywił łeb, wciągając w nos jakiś niewyraźny trop.

Aaron poszedł w jego ślady. Z początku bez powonania, ale po chwili wyczuł wyraźny zapach. Jedzenie gotowane jedzenie.

Gabriel rzucił się przed siebie jak strzała, podążając tropem, jakby ciągnęły go po ulicy jakieś niewidoczny liny.

- *Tędy!* — zawył z podniecenia.

Aaron musiał mocno przyspieszyć kroku, żeby nadążyć za wygłodniałym psem. Po chwili zobaczył, że Gabriel gwałtownie skręca w lewo, wbiegając na trawnik przed jednym ze zrujnowanych domów.

- To na pewno nie jest dom kultury, Gabe - zawołał, z złapanym w szpony amoku pies nie słuchał.

Gabriel podążył za zapachem na ganek domu i bezceremonialnie wsadził nos w drzwi frontowe, wdychając ornat tak gwałtownie, jakby chciał razem z nim wyciągnąć spod drzwi miskę z jedzeniem.

Aaron zatrzymał się na przejściu dla pieszych. Zapach był coraz mocniejszy... i coraz smaczniejszy. Nefilim poczuł, jak burczy mu w żołądku.

- Gabriel, wracaj tutaj! To czyjś prywatny dom.

Labrador niechętnie obrócił łeb.

- *Ale w tym domu jest jedzenie.*

Aaron podszedł bliżej, czując, jak ogarnia go współczucie dla biednego psa.

- Wiem, że tam jest jedzenie, ale nie możemy tak po prostu się wprosić. Pamiętaj, nie znamy tych ludzi, a oni też raczej nam nie ufają.

- *Ale przecież jesteś Wybrańcem.* - Gabriel spuścił smutno łeb. - *A ja jestem twoim psem, w dodatku potwornie głodnym.*

Gdyby z tych słów nie wyzierała autentyczna żałość, Aaron pewnie by się roześmiał. Ale dotychczasowe wydarzenia tego dnia odebrały mu resztki dobrego humoru.

- Gabriel, chodź tutaj natychmiast, albo...

- *Nie możemy przynajmniej zapukać i spytać, gdzie jest ten dom kultury?* - spytał pies, machając nerwowo muskularnym ogonem.

- W porządku, masz rację - zgodził się Aaron, wspinając się po trzech rozchwianych stopniach na ganek. - Ale jeśli nikt nam nie odpowie, idziemy, dobrze?

- *Tam na pewno ktoś jest, Aaronie. Czuję jego zapach, nie tylko jedzenie.*

Aaron zastukał do drzwi i odczekał chwilę. Nasłuchiwał odgłosów dobiegających ze środka i zdawało mu się, że słyszy włączony telewizor. - Chyba nie chcą...

- *Zapukaj jeszcze raz...* - poprosił Gabriel, z furją wymachując ogonem.

Aaron zapukał, tym razem mocniej.

- Ale pamiętaj, co ci powiedziałem. Jeżeli nikt nam nie otworzy, wracamy.

Gabriel nagle zanurkował po schodach i popędził na drugą stronę domu.

- A ty dokąd się wybierasz? - zawołał za labradorem Aaron, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył w ślad za nim.

- *Ktoś tam jest. Może usłyszysz, kiedy zapukasz w drzwi kuchenne* — usłyszał podniecony głos Gabriela.

Aaron niechętnie skierował swoje kroki na tyły domu. Nie miał pojęcia, jak mogą zareagować mieszkańcy, gdyby przyłapali go myszkującego koło ich domu. Nagle przypomniał sobie o Leahiaszu i jego złotych coltach. Skreślił za węgiew domu, uważając, żeby nie potknąć się w ciemności. Zastał tam już Gabriela, który próbował przekręcić zębami klamkę.

- Co ty sobie wyobrażasz! - karci! psa.

- *Podrapałem w drzwi i ktoś ze środka kazał mi wejść* — odpar! Gabriel, kiedy drzwi stanęły otworem i ze środka dobiegł ich wspaniały zapach gotowanego jedzenia. Nie czekając na odpowiedź, pies wepchnął pysk w drzwi, a potem zniknął we wnętrzu domu.

- Gabriel! - zawołał Aaron, wspinając się po schodach i podążając za swoim niesfornym psem do niewiel-

kuchni. W środku natychmiast owionął go zapach pieczonego mięsa. Z pokoju obok dobiegał odgłos włączanego telewizora. - Nie możesz tak po prostu...

- *Nic na to nie poradzę* - Gabriel zbliżał się do piekarnika jak zahipnotyzowany, a z pyska ciekła mu gęsta ślina. Jego wrażliwy nos nie przestawał pracować nawet na chwilę. - *Może ten ktoś zaprosi nas na kolację.*

- Albo wezwie strażników, z Leahiaszem na czele, a wtedy będziemy mieli prawdziwe kłopoty - odparł nerwowo Aaron, wyobrażając sobie, jak mieszkaniec bądź mieszkanka domu wpada do kuchni z krzykiem.

- *Mówiłem ci, że kazał mi wejść.*

Aaron ruszył w kierunku drzwi prowadzących z kuchni do pokoju, w którym migotało światło telewizora.

- Nie wiem czemu, ale jakoś ci nie wierzę - syknął, nie odwracając się do zwierzęcia.

- *Ja też nie wiem, czemu* - odszczeknął mu Gabriel, wyraźnie urażony.

- Halo? - zawołał cicho Aaron, zaciskając palce na framudze drzwi. - Nie chciałbym państwa niepokoić, ale szukamy...

- Wejść, Aaronie - usłyszał w odpowiedzi głos, dochodzący z salonu.

Aaron odwrócił się do Gabriela, a na jego twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie.

— *Mówiłem ci, że on wie, kim jesteśmy i czego tu szukamy.*

Aaron przeszedł przez krótki przedpokój i wszedł do onu, słysząc za sobą stukot pazurów Gabriela na drewnianej podłodze. Pokój był pogrążony w ciemności, nie —ąc migoczącego ekranu telewizora. Aaron ledwie dozegł starszego mężczyznę, siedzącego w sfatygowanym, skórzanym fotelu przed równie archaicznym odornikiem telewizyjnym. To był Belfegor. Aaron głośno rzełknął ślinę, ale mężczyzna nie odpowiedział, najwyraźniej zaabsorbowany tym, co oglądał w telewizji.

Zaciekawiony Aaron ośmielił się wejść do pokoju. Głos w telewizorze był ściszony, ale wyglądało na to, że anioł ogląda jakieś archiwalne nagrania, coś w rodzaju nakręconych domową kamerą scen rodzinnych, które zmieniały się jak w kalejdoskopie. W pewnym momencie Aaron rozpoznał siebie na ekranie.

Był ubrany w czarny smoking i w ręce niósł kwiaty - mały bukiet, owinięty folią, taki jak te, które niesie się do ślubu. Wysiadł właśnie z samochodu i zmierzał powoli w stronę jakiegoś znajomego domu. *Co to jest?* Aaron czuł, że lada moment wpadnie w panikę.

— *Aaronie, co się stało?* - spytał zaniepokojony Gabriel, któremu udzielił się nastrój.

Aaron nie mógł oderwać wzroku od sceny, który rozgrywała się na jego oczach. *Gdzie ja widziałem ten dom?*

- zastanawiał się, patrząc jak puka do drzwi frontowy
Przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy drzwi zaczęły się
otwierać. To dom w dzielnicy Belvidere Place w Lyn
Był tam tylko raz.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Vilma w kremowej sukni, z włosami upiętymi i udekorowanymi kwiatami gipsofilii. Na jego widok na twarzy Vilmy zagościł taki uśmiech, że Aaron miał ochotę się rozpłakać. Jego sobowtór w telewizji wręczał właśnie Vilmie bukiet, kiedy Aaron oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na starca, siedzącego ze stoickim spokojem w wielkim fotelu.

- Co to jest? - wykrztusił.

Odwróciła na chwilę oczy, żeby zobaczyć, jak on i Vilma pozują do zdjęć. Dziewczyna zdawała się zawstydzona i onieśmielona całą tą sytuacją. Machała swojej rodzinie stojącej w oddali i starała się zaciągnąć Aarona do samochodu. Aaron nie mógł się napatrzeć, tak była piękna.

- Wizja tego, jak mogłoby wyglądać twoje życie - wyjaśnił Belfegor, nie odwracając wzroku od telewizora. - To mój ulubiony fragment... Nie wiedziałem, że tak dobrze tańczysz.

Aaron podążył za jego wzrokiem i zobaczył siebie tańczącego wolny taniec z Vilma, w tłumie gości. Nie rozpoznał miejsca, w którym się znajdowali, ale wyglądało elegancko. Vilma szeptała mu coś do ucha, kiedy

ojnie wirowali na parkiecie. Prawdziwy Aaron po-
»nagle zazdrosny o swojego filmowego sobowtó-
puścic oczy, nie chcąc tego dłużej oglądać. Wtedy
aczyt kabel od telewizora, leżący na podłodze jak
vajacy wąż.

; jest w ogóle podłączony - powiedział na głos,
wracając się do Belfegara. - Telewizor nie jest włą-
.ny.

- Tak wyglądałoby twoje życie, gdyby nie moc, która
budziła się w tobie.

Aaron niechętnie spojrział z powrotem na ekran. Tym
;em zobaczył siebie w birecie i todze, z głupim uśmie-
lichem na twarzy, odbierającego dyplom z rąk pana Co-
stana.

Widok nagle zmienił się - teraz była to wypełniona
szczelnie ludźmi aula. Z rosnącym przerażeniem Aaron
patrzył, jak jego przybrani rodzice z dumą oklaskują je-
go osiągnięcia. Wtedy dostrzegł też Stewiego, który sie-
dział na krześle razem z matką i uśmiechał się, jakby nic
się nie stało. Tego Aaron miał już dość.

- Wyłącz to! - zażądał, podchodząc bliżej z zaciśnię-
tymi pięściami. Czuł, jak kajdany na jego szyi i przegu-
bach dłoni rozgrzewają się coraz bardziej.

Belfegor nie zareagował, dalej oglądał telewizję, uś-
miechnięty od ucha do ucha. Aaron nie wytrzymał i rzu-

cii szybkie spojrzenie na migoczący ekran. To było j śledzenie wypadku samochodowego z okien przejeżdżającego obok auta. Nie chciałeś tego oglądać - ale musiałeś chociaż spojrzeć. Teraz wyglądał trochę dojrzałej. Siedział w sali wykładowej i notował wykład jakiegoś starego profesora. Aaron zorientował się, że jest już na studiach i bardzo chętnie zamieniłby się ze swoją ekranową podobizną.

- Widziałem już dość! - powiedział z większym naciskiem. Kajdany paliły go już, ale nie zwracał na nie uwagi. Gniew obudził drzemiącą w nim anielską moc, która buzowała w jego wnętrzu, gotowa w każdej chwili zaatakować.

- Czy nie tego właśnie pragnąłeś, Aaronie? - odezwał się Belfegor, wskazując palcem na ekran telewizora.

Aaron nie chciał tego oglądać, ale nie panował już nad sobą. Zobaczył, jak wręcza Vilmie pierścionek zaręczynowy. Siedzieli na plaży i patrzyli na zachodzące słońce. Gabriel, jakby trochę starszy, ale nadal w pełni sprawny, uganiał się po piasku za mewami. A Vilma siedziała obok na rozłożonym kocu. W jej oczach Aaron widział miłość - miłość do niego - i chociaż obraz był niemy, wiedział, jakie słowa padają w tym momencie. *Czy wyjdiesz za mnie?*

Anielska moc krzyczała w nim, zmagając się z krępującymi ją magicznymi kajdanami ze złotego metalu.

był nie do opisania i Aaron zaczął krzyczeć, bardziej iak ze ziości niż z bólu.

Gabriel podkuli! ogon i szczekając, wypad! z pokoju kuchni.

- Wyłącz to! Wyłącz to! Wyłącz! - wrzeszczał Aaron, 'osem przepełnionym złością i emocjami. — Nie chcę go oglądać - nie chcę wiedzieć, co straciłem i kim mo-em być. Dlaczego mi to robisz?

Aaron zatoczył się do przodu, żeby zasłonić ciałem telewizora. Zdąży! jeszcze zobaczyć Vilmę, idącą w ślubnej sukni główną nawą kościoła. Skóra paliła go niemiłosiernie, na ciele zaczęły się pojawiać anielskie symbole, mimo iż magia kajdan robiła wszystko, żeby je powstrzymać- A czarne skrzydła wibrowały pod skórą na plecach, gotowe w każdej chwili rozwinąć się w całej okazałości.

- Muszę się przekonać, czy to prawda - odpowiedział spokojnie Belfegor. - Muszę wiedzieć, czy rzeczywiście jesteście Wybrańcem z przepowiedni.

Wtedy w Aaronie coś pękło. Gdzieś w głowie usłyszał dźwięk przypominający odgłos pędzącego z całą szybkością pociągu ekspresowego, z jego pleców eksplodowały skrzydła, a moc zrzuciła wiążące ją okowy i wydostała się wreszcie na wolność. Kajdany pękły i upadły na podłogę, rozsypując się w proch, jakby miały tysiące

lat. W dłoni Aarona rozbłysnął miecz - Nefilim, jakby chciał zademonstrować swoją siłę, obrócił się błyskawicznie na pięcie i opuścił płonące ostrze na drewnianą szafkę z telewizorem. Okno, w którym mógł zobaczyć swoje prawdziwe życie eksplodowało z hukiem, zasypując pokój odłamkami szkła. Ale zanim to się stało, Aaron ujrzał jeszcze przez krótką chwilę ciężarną Wilnę, która uśmiechała się do niego, jakby wiedziała, że na nią patrzy.

Odmieniony Aaron - stojący z rozpostartymi, czarnymi, połyskującymi skrzydłami - odwrócił się do Belfegora, który nawet nie drgnął w swoim fotelu. Gabriel wyjrzał ostrożnie z kuchni, tuląc po sobie uszy.

— *Wszystko... w porządku... Aaronie?*

— W porządku, Gabe - Aaron zadudnił głuchym głosem Nefilima. A potem wskazał ostrzem miecza siedzącego w fotelu upadłego anioła. - Chciałeś się przekonać, czy jestem tym jedynym? - Jego głos odbił się gromkim echem w pokoju. - I co teraz myślisz?

— Myślę, że kolacja jest już prawie gotowa. - Belfegor uśmiechnął się uspokajająco i wstał z fotela. - Czy ty i twój przyjaciel dotrzycie mi towarzystwa?

Gabriel łapczywymi ruchami popychał po podłodze talerz z tłuczonymi ziemniakami, sosem pieczeniowym



i groszkiem. Zanim wyjechał z nim z pokoju, Aaron schylił się i podniósł talerz.

- *Jeszcze nie skończyłem* - zaprotestował pies, oblizując nos z resztek ziemniaków.

- Uwierz mi, skończyłeś. - Aaron odłożył wylizany do czysta talerz na stół. *Jest tak czysty, że Belfegor nie będzie musiał go myć* - pomyślał. - *Nikt nie zrobiłby tego dokładniej.*

- *Chciałbym jeszcze trochę* - poprosił Gabriel, merdając wesoło ogonem.

- Dostałeś już wystarczająco dużą porcję - odparł Aaron, nabijając na widelec spory kawałek pieczeni i maczając go w sosie. Ale, jak zwykle, dał się przekonać swojemu druhowi i podał mu mięso. - Uważaj na palce! - ostrzegł go, kiedy pies wyrwał mu pieczeń z widelca. - *Jeszcze mogą mi się przydać.*

Belfegor wyszedł z kuchni, niosąc kolejny dymiący półmisek.

- Przyniosłem jeszcze trochę świeżej fasolki szparagowej - powiedział, stawiając go na stole. - Sam ją wyhodowałem.

f. — Na tej glebie? - spytał Aaron. - Jeśli tak, to dziękuję. Nie przepadam za odpadami chemicznymi.

- *A ja owszem, nie mam nic przeciwko odpadom* - ucieszył się Gabriel, nadal próbując zlizać z nosa ziemniaki.

- Jest całkowicie bezpieczna - zapewnił Belfegor, od-
suwając krzesło i siadając po drugiej stronie stołu, na-
przeciwko Aarona. - Wszystkie trucizny zostały usunię-
te. Mnie w każdym razie smakuje.

Aaron miał właśnie sięgnąć po fasolkę, gdy zoriento-
wał się, że Belfegor nie ma przed sobą talerza.

- Nie jesz? - spytał.

Anioł potrząsnął głową.

- Nie, nie dzisiaj. Właściwie to wolę przygotowy-
wać posiłki, niż je konsumować. - To mówiąc, Belfegor
uśmiechnął się, patrząc, jak Aaron nakłada sobie na ta-
lerz kopiastrą łyżkę świeżych, zielonych warzyw. - Być
może słyszałeś już, że my nie musimy jeść.

- Owszem, obito mi się o uszy - przytaknął Aaron,
próbując ostrożnie fasolki, po czym wsadził sobie do ust
całą łyżkę. - Nie dotyczy to jednak słabości Kamaela do
frytek.

Belfegor rozparł się wygodnie w fotelu.

- Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczał. Być może
lata spędzone na tym świecie faktycznie zmiękczyły nie-
co naszego dowódcę Potęg.

- Byłego dowódcę - Aaron poprawił go, odzywając
się z pełnymi ustami. - Teraz jest nim Werchiel - i to
już od jakiegoś czasu.

- Rzeczywiście. - Jak mogłem zapomnieć.



Zmiotłszy wszystko z talerza, prawie tak jak Gabriel, Aaron napił się wody ze starego słoika po galaretkę, po czym odsunął od siebie puste naczynia.

- Ta sztuczka z telewizorem - jak to zrobisz? - spytał.

Gabriel, wreszcie najedzony do syta, rozłożył się wygodnie u stóp krzesła, na którym siedział Aaron. Chłopak sięgnął ręką i pogłaskał przyjaciela, czekając na odpowiedź anioła.

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział. - Belfegor potrząsnął głową, z rękami nadal skrzyżowanymi na piersi.

I - Zdziwiłybyś się, gdybym ci powiedział, w co teraz wierzę - odparł sarkastycznie Aaron. Gabriel przewrócił się na bok, odsłaniając brzuch do głaskania. - Czy te... obrazy, te sceny... pochodzą z przyszłości, czy...

- Zostały wzięte z twojej głowy i zmanipulowane - wyjaśnił anioł, pukając się palcem w czołmek. - To są rzeczy, których najbardziej pragniesz, a które prawdopodobnie nigdy się nie ziszcą.

Aaron przestał drapać Gabriela po brzuchu, a pies sapnął z rozczerowaniem.

- Nie chcę tak o tym myśleć - powiedział, wbijając wzrok w pusty talerz, w którym miał nadzieję zobaczyć przyszłość podobną do tej z telewizora Belfegora. - Wolę wierzyć w to, że czeka mnie coś lepszego, kiedy

już odnajdę brata i wyjaśni się ta cała afera z przepowiednią.

Belfegor zachichotał pod nosem.

- Nie przejmuj się przepowiednią - powiedział, wstając z fotela, po czym zaczął zbierać puste naczynia.

- A niby dlaczego?

Stary anioł zgarnął łyżką resztki ziemniaków na talerz Aarona.

- Ponieważ ona cię nie dotyczy.

- Uważasz, że to nie ja jestem Wybrańcem? - zainteresował się Aaron, pochylając się na krześle w jego stronę. - Słyszałeś przecież, co powiedział Kamael, i widziałeś, co zrobiłem z kajdankami.

- To wszystko było imponujące, nie przeczę. - Belfegor przytaknął, dając Gabrielowi fasolkę z „zakazanego” talerza. - Szczerze mówiąc, nigdy nie spotkałem kogoś tak potężnego jak ty. Podziwiam też to, w jaki sposób kontrolujesz swoją moc, przynajmniej do pewnego stopnia. Ale nie wierzę, że jesteś tym, o którym mówi przepowiednia.

Aarona zaskoczyło rozczarowanie, jakie poczuł. Jeszcze wczoraj oddałby wszystko, w tym także przepowiednię, za paczkę ciastek Doritos. Ale teraz...

- Jesteś absolutnie pewien? - spytał. - Skąd to wiesz? Przecież Kamael powiedział...

- Kamael opuścił nasze szeregi tysiące lat temu - prze-
mu Belfegor, robiąc sobie krótką przerwę w sprzą-
*u ze stołu, żeby spojrzeć Aaronowi głęboko w oczy.
Desperacko pragnie znów do nas dołączyć - może na-
zbyt desperacko. Dlatego zobaczył w tobie coś, czego
naprawdę tam nie ma. Przykro mi.

W zachowaniu Belfegara było coś, co bardzo draż-
o Aarona. Przypomniał sobie lata spędzone w domu
"ecka, zanim trafił do rodziny zastępczej Fosterów
nauczył się, co to w ogóle jest rodzina. Zanim zaczęto
ować go jak inne dzieci, a nie jako coś ułomnego,
dając mu w ogóle szansy się wykazać.

- Siła, która w tobie mieszka, jest ogromna i boję
się, że gdyby miało naprawdę dojść do jej zjednocze-
nia z twoją wrażliwą ludzką psychiką, postradałbyś nie-
chybnie zmysły. A my, mieszkańcy Aerie, musielibyśmy
coś z tym zrobić.

Aaron przypomniał sobie nauczyciela z pierwszej
klasy - pana Laidona, który wytknął mu przy wszyst-
kich dzieciach, że jest sierotą, i państwo musi na nie-
go łożyć. Wtedy poczuł się jak ktoś gorszy od innych.
Na same wspomnienie tamtej chwili Aaron oblał się
rumieńcem.

- Może da się tego nauczyć - zaczął. - Kamael twier-
dzi, że jeśli wszystko potoczy się tak, jak powinno...

Anioł zarechota! znowu. Był to ten protekcyjalny i poniżający rodzaj śmiechu, który Aaron słyszał już w swoim życiu niezliczoną ilość razy.

- Mam cię nauczyć być naszym Mesjaszem? - zakpił Belfegor. - Nie, Aaronie. Ten, o którym jest mowa w przepowiedni — prawdziwy Wybraniec - w końcu nadejdzie. Jeśli nie teraz, to kiedy indziej.

- Ale sam Archanioł Gabriel uzna! mnie za nowego postać Boga - upiera! się Aaron.

- W takim razie myli! się - odparł Belfegor i pozbięrał resztę naczyń, dając jasno do zrozumienia, że dyskusja jest skończona.

Aaron czuł w środku pustkę. Naraz rola wybawcy upadłych aniołów wydawała się coś dla niego znaczyć. Chciał mimo wszystko zaofiarować Belfegorowi swoją pomoc, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi. A właściwie nie tyle pukanie, co gorączkowe walenie. Gabriel natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął ujadać.

- Proszę wejść - powiedział donośnym głosem Belfegor, odwracając się do drzwi ze stołem brudnych naczyń w rękach.

Słychać było, jak drzwi frontowe otwierają się i ktoś wchodzi do środka spiesznym krokiem. Do pokoju wpadł Nauczyciel, gorączkowo ściskając w ręce notes.

- Belfegorze, musimy porozmawiać, i to natychmiast...
Nagle Nauczyciel zobaczył Aarona i zamilkł.

- Dobry wieczór, Nauczycielu — przywita! się Belfegor. - Aaron i ja właśnie zjedliśmy kolację. Czy coś ci
!ać? Może napijesz się kawy albo zjesz szarlotkę?

Cisza stawała się coraz bardziej krępująca, aż w końcu Nauczyciel przemówił.

- Muszę zamienić z tobą dwa słowa na osobności,
•lfegorze. - To mówiąc, anioł odwrócił wzrok i podał
ites gospodarzowi.

- W takim razie, chodź ze mną - powiedział Belfegor. - Wybacz na chwilę, Aaronie.

Dwaj aniołowie wyszli z pokoju, zostawiając Aarona, który zachodził w głowę, co też mogło tak zdenerwować Nauczyciela.

- *A więc nie jesteś Wybrańcem, tak?* — Słowa Gabriela
ały go z zamyślenia.

- Myślałem, że śpisz - odparł Aaron, kładąc głowę na oparciu fotela i nie spuszczać oczu z drzwi do kuchni.

- *Zdziwiłbyś się, jakie rzeczy słyszę, kiedy śpię.*

- Belfegor uważa, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Trudno. Zawsze twierdziłem, że Kamael może się ylić. - Po tych słowach spojrzął na swojego psa, leżącego u stóp fotela.

Anioł zarechotał znowu. Był to ten protekcyjnalny i poniżający rodzaj śmiechu, który Aaron słyszał już w swoim życiu niezliczoną ilość razy.

- Mamy cię nauczyć być naszym Mesjaszem? - zakpił Belfegor. - Nie, Aaronie. Ten, o którym jest mowa w przepowiedni — prawdziwy Wybraniec — w końcu nadejdzie. Jeśli nie teraz, to kiedy indziej.

- Ale sam Archanioł Gabriel uznał mnie za nowego posłańca Boga - upierał się Aaron.

- W takim razie mylił się - odparł Belfegor i pozbił resztę naczyń, dając jasno do zrozumienia, że dyskusja jest skończona.

Aaron czuł w środku pustkę. Naraz rola wybawcy upadłych aniołów wydawała się coś dla niego znaczyć. Chciał mimo wszystko zaofiarować Belfegorowi swoją pomoc, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi. A właściwie nie tyle pukanie, co gorączkowe walenie. Gabriel natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął ujadać.

- Proszę wejść - powiedział donośnym głosem Belfegor, odwracając się do drzwi ze stołem brudnych naczyń w rękach.

Słychać było, jak drzwi frontowe otwierają się i ktoś wchodzi do środka spiesznym krokiem. Do pokoju wpadł Nauczyciel, gorączkowo ściskając w ręce notes.

- Belfegorze, musimy porozmawiać, i to natychmiast...

- Nagle Nauczyciel zobaczy! Aarona i zamilkł.

- Dobry wieczór, Nauczycielu - przywitał się Belfegor. - Aaron i ja właśnie zjedliśmy kolację. Czy coś ci podać? Może napijesz się kawy albo zjesz szarlotkę?

Cisza stawała się coraz bardziej krępująca, aż w końcu Nauczyciel przemówił.

- Muszę zamienić z tobą dwa słowa na osobności, Belfegorze. - To mówiąc, anioł odwrócił wzrok i podał notes gospodarzowi.

- W takim razie, chodź ze mną - powiedział Belfegor. - Wybacz na chwilę, Aaronie.

Dwaj aniołowie wyszli z pokoju, zostawiając Aarona, który zachodził w głowę, co też mogło tak zdenerwować Nauczyciela.

- *A więc nie jesteś Wybrańcem, tak?* - Słowa Gabriela wyrwały go z zamyślenia.

- Myślałem, że śpisz - odparł Aaron, kładąc głowę na oparciu fotela i nie spuszczać oczu z drzwi do kuchni.

- *Zdziwiłbyś się, jakie rzeczy słyszę, kiedy śpię.*

- Belfegor uważa, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Trudno. Zawsze twierdziłem, że Kamael może się mylić. - Po tych słowach spojrzął na swojego psa, leżącego u stóp fotela.

- Co to właściwie oznacza? Co teraz z nami będzie? — spyta! poważnie Gabriel.

Aaron wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o przyszłości, w której nie było anielskiej przepowiedni. - Ale przypuszczam, że nie będą nas zatrzymywać i będziemy mogli wrócić do poszukiwań Steviego.

- Myślisz, że Kamael z nami pojedzie?

Ale Aaron nie zdążył już odpowiedzieć, bo właśnie w tej chwili do pokoju wrócili Belfegor i Nauczyciel. Na twarzy starego anioła widać było zakłopotanie. W ręce trzymał otwarty notes, który przyniósł Nauczyciel. Aaron rozpoznał w nim symbole, które pojawiły się na jego ciele, kiedy uwolnił w sobie anielską moc.

- Wszystko w porządku? - spytał, przełykając głucho ślinę. Ostatnio obawianie się najgorszego weszło mu już w nawyk. Nie było to może najszcześniejsze pytanie, jakie mógł zadać, ale wolał być przygotowany.

- Czy mówiłeś poważnie o tym, że chcesz się nauczyć być Wybrańcem? - Belfegor odpowiedział pytaniem.

Aaron pokiwał głową, nie wiedząc do końca, w co się pakuje.

Belfegor oddał notes Nauczycielowi.

- W takim razie zaczniemy niezwłocznie.

ROZDZIAŁ 7

Kamael siedział na ciemnozielonej, metalowej ławce, ustawionej na niewielkim placu zabaw. Wyczuwał obecność dawno minionych czasów - duchy dzieci i ich rodzin, które kiedyś przychodziły spędzać tu czas. Minęło już siedem dni, odkąd dotarli do Aerie, a on musiał stawić czoło swojej przeszłości. Kamael rozmyślał o tych, których zniszczył podczas konfliktu w Niebie, a także o tych, którzy zginęli z jego ręki już po wojnie, kiedy pełnił obowiązki dowódcy Potęg, polegające głównie na unicestwianiu wrogów Stwórcy.

Od kiedy znalazł się tutaj, myślał o nich coraz częściej, a ich twarze i śmiertelne krzyki nawiedzały go niemal bez przerwy.

Czy powinienem tu zostać? - zastanawiał się. Gdyby odnalazł to miejsce, zanim zdał sobie sprawę, że zabijanie do niczego nie prowadzi i zdecydował się przejść na drugą stronę, prawdopodobnie obróciłby Aerie w ruinę, wypalił je do samych fundamentów świętym ogniem - i niech Bóg ma w swojej opiece tych, których zastałby na miejscu!

Nad głową Kamaela zakrakał kruk, siedzący na skarłowaciałym i chorym drzewie, rosnącym z boku placu zabaw. Był zmęczony i chciał odpocząć, ale to miejsce wyraźnie go niepokoiło. Zwierzęta wiedziały, że osiedle Ravenschild zostało zatrute - Kamael zdawał sobie z tego sprawę. Potrafiły wyczuć w powietrzu toksyny, które biły z ziemi. To miejsce cuchnęło ludzkim szaleństwem i kruk, który czuł się tu nieswojo, odfrunął, szukając innego schronienia, gdzie mógłby dać odpocząć strudzonym skrzydłom.

Czy to miejsce dla mnie? - bił się dalej z myślami Kamael. Szukał Aerie od setek lat, ale czy naprawdę na nie zasłużył? Twarze tych, których pokonał, ustąpiły miejsca tym, których ocalił. W uszach dzwoniły mu słowa podziękowań i wyrazy wdzięczności. Oprócz wielu aktów

przemocy, udało mu się też dokonać w życiu wiele dobrego - i właśnie tej myśli uchwycił się teraz jak tonący brzytwy, dryfując po bezkresnym oceanie wątpliwości i dylematów.

A co ze Stwórcą? - W głowie Kamaela pojawiło się kolejne pytanie, na które nie znał odpowiedzi. *Czy spoglądając na mnie z góry, czuje pogardę czy współczucie? Czy kiedy w końcu nadejdzie mój czas, pozwoli mi wrócić do domu?*

Nagle rozmyślania anioła przerwał dźwięk pazurów na asfaltowej ścieżce. Kamael odwrócił się i zobaczył Gabriela, który człapał w jego stronę.

- *Kamaelu, czy widziałeś może Aarona?* - spytał pies, zatrzymując się przy ławce.

Anioł pokręcił głową.

- Nie, nie widziałem go od rana. Myślę, że jest jeszcze z Belfegorem.

- *No tak, to zrozumiałe* - odparł posępnym głosem Gabriel.

- *Czy coś się stało?* - spytał Kamael, dziwiąc się w duchu, że interesują go humory psa.

Labrador wskoczył na ławkę.

*;' — Aaron nie spędza już ze mną tyle czasu, co kiedyś. Wi-
dujemy się rano, kiedy mnie wyprowadza na spacer i daje jeść,
potem znika na cały dzień, a kiedy wraca, jest zmęczony i nie
ma ochoty się ze mną bawić.*

Kamael odsunął się od Gabriela. Obaj żywili do siebie ograniczony szacunek, ale w dalszym ciągu za sobą nie przepadali.

- Z tego, co wiem, Belfegor próbuje nauczyć Aarona panowania nad jego anielskimi zdolnościami.

- / *tego właśnie nie rozumiem* - obruszył się nagle pies.
- *Najpierw stawiają na nim krzyżyk, a teraz nie mogą się nim nacieszyć. Poza tym, zdawało mi się, że to ty masz go uczyć.*

- Wygląda na to, że Belfegor i inni w końcu odkryli w Aaronie to, co ja widziałem w nim już kilka tygodni temu - wyjaśnił Kamael. - Nie wiem dokładnie, co to jest, ale jak widać, wystarczyło, żeby ich przekonać, aby ściągnęli nam te przeklęte kajdany. - To mówiąc, anioł bezwiednie potarł nadgarstki, z których zdjęto mu magiczne więzy.

Przez moment obaj milczeli - dwaj niezwykle towarzysze, naznaczeni piętnem tej samej tajemnicy.

- *Tęsknię za nim, Kamaelu* - odezwał się w końcu Gabriel, rozglądając się po placu zabaw. - *Mam wrażenie, że go tracę.*

- Jeżeli Aaron jest rzeczywiście tym, o którym mówię przepowiednia, stracisz go na dobre, bardziej niż ci się wydaje. On zapewni nam odkupienie - dzięki niemu otworzą się bramy Nieba i będziemy mogli nareszcie wrócić do domu Ojca - powiedział Kamael.

Gabriel odwrócił głowę i spojrział na anioła. Jego ciemne, zwierzęce oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze i przepełnione smutkiem.

- *Nie obchodzi mnie zbawienie ani odkupienie* - odparł drżącym głosem. - *Aaron był mój, najpierw natężał do mnie.*

Prymitywna więź, która łączyła ludzi i ich udomowione zwierzęta, była czymś, czego Kamael nigdy nie mógł zrozumieć. Jak to określił Aaron w czasie jednej z niekończących się podróży samochodem? Bezwarunkowa miłość - chyba tak. Pan był dla swojego psa całym światem, a pies kochał go całym sercem, bez względu na wszystko. Taka właśnie była siła tego uczucia. Anioła zdumiewał ten poziom lojalności.

- Aaron nie należy wyłącznie do ciebie, Gabrielu - wyjaśnił. - Wśród nas są tacy, którzy czekali na jego przyjscie od tysięcy lat. Czy zabronisz im kontaktów ze swoim panem?

Pies pochylił łeb, kładąc po sobie uszy.

- *Nie* - mruknął - *ale co będzie ze mną, jeśli coś mu się stanie?*

Kamael nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam zadawał sobie podobne pytanie. Jeżeli Aaron faktycznie jest Wybrańcem, co stanie się ze wszystkimi upadłymi, gdyby Werchiel dopiął swego i zniszczył Nefilima?

Anioł i pies siedzieli w milczeniu na ławce. Pytania,

które sobie zadawali, zawisły ciężko nad ich głowami, a odpowiedzi wydawały się równie mgliste jak przyszłość, która ich czekała.

Lorelei wyszła z domu, w którym mieszkała razem z Lehahiaszem, niosąc w ręce kubek gorącej kawy. Szukała ojca. Myślała, że wyszedł na zewnątrz, ale nigdzie nie było go widać. Odkąd w Aerie pojawili się ci nieznajomi, Lehahiasz stał się jakby obcy, mało komunikatywny i do reszty zatracił się w swojej misji ochrony mieszkańców Aerie. Tylko to go obchodziło. Lorelei zaczynała się o niego martwić.

Warkot napędzanego benzyną generatora, który dostarczał im elektryczność, przerwał odgłos wystrzałów, przypominający serię niewielkich grzmotów. Dobiały gdzieś z gęstego zagajnika, który rozciągał się za domem. Lorelei poszła w tamtym kierunku, manewrując między młodymi drzewkami, uważając przy tym, żeby nie rozlać kawy. Kiedy dotarła na małą, wyrąbaną w środku lasu polanę, ujrzała plecy swojego ojca, który strzelał do różnych przedmiotów, ustawionych po drugiej stronie polany. Złote pistolety Lehahiasza raz za razem trafiały bezbłędnie w cel.

- Niezły strzał, strażniku Teksasu - zażartowała, dając mu do zrozumienia, że nie jest już sam.

Lehahiasz odwrócił się i zmierzył ją ponurym spojrzeniem ciemnych oczu. W jego dłoniach dymiły złote colty. To było charakterystyczne spojrzenie szeryfa Aerie, którym często obrzucał córkę. Anioł Lehahiasz brał wszystko zbyt poważnie.

- Ćwiczysz? - Lorelei podeszła bliżej i podała mu dymiący kubek z kawą.

Lehahiasz nie odpowiedział, tylko wymierzył broń przez ramię i wystrzelił. Lorelei aż podskoczyła, kiedy pocisk rozpruł pluszowego misia, przywiązanego do drzewa po drugiej stronie polany.

- Trening czyni mistrza - odparł Lehahiasz, z nutką charakterystycznego teksańskiego akcentu w głosie. Lorelei nie mogła się nadziwić, jak bardzo jej ojciec potrafił się upodobnić do ludzi z Dzikiego Zachodu. Wyjaśnił jej, że to była jego ulubiona epoka w czasie tych setek lat spędzonych na Ziemi, a Lorelei myślała sobie wtedy, że zawsze to lepiej, niż gdyby ujęła go, na przykład, era brązu albo kamienia łupanego.

Złote pistolety zalśniły, a potem zniknęły w kaburach. Lehahiasz wziął od niej kubek z kawą.

- A ja myślałam, że akurat w tym osiągnąłeś już perfekcję. - Lorelei włożyła ręce do kieszeni spodni. - Ale jak widać, człowiek uczy się przez całe życie.

Lehahiasz pił kawę ostrożnymi łykami, ignorując jej

łagodne przytyki. Coś go trapiło i teraz była dobra okazja, żeby dowiedzieć się, co to takiego.

- Co się dzieje, Leahiaszu? - spytała Lorelei. - Coś drażni cię bardziej niż zwykle.

Anioł spojrział w pogodne poranne niebo, jakby czegoś w nim wypatrując.

- Belfegor twierdzi, że wkrótce będziemy mieli problemy. - Pociągnął kolejny łyk kawy i odwzajemnił spojrzenie swojej córki. - Wydaje mi się, że już je mamy.

Lorelei z początku była zaskoczona, ale szybko zdała sobie sprawę, o czym mówi jej ojciec.

- Nie możesz winić Aarona i Kamaela. Upadli na całym świecie nie przestali umierać, od kiedy oni się tu zjawili. A poza tym, wiemy już, że morderca nosi zbroję w kolorze krwi. - Lorelei zadrżała, czując, jak przeszywa ją gwałtowny chłód.

- To dopiero początek naszych kłopotów. - Leahiasz dopił kawę. - Tak jak te wstrząsy w San Francisco, które czułem w 1906 r. Wiemy, co zdarzyło się potem.

Lorelei westchnęła. Jej ojciec bardzo często odwoływał się do różnych historycznych katastrof, które miały potwierdzić jego racje. Najczęściej wspominał tragedię Hindenburga i zatopienie Titanica, ale także wybuch II wojny światowej.

- Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że ich pojawienie się

w Aerie może zwiastować coś dobrego? - spytała Lorelei.

- Dopuszczasz w ogóle taką myśl? Wiesz, że mówi się o... - **zaiTiilkia**, nie wiedząc, czy powinna ciągnąć dalej.

- O czym się mówi? - spytał Lehahiasz niskim, gardłowym głosem. Po jego tonie Lorelei wiedziała, że i tak nie obchodzi go, co ma mu do powiedzenia.

- O tym, że Aaron naprawdę może być Wybrańcem.

Lehahiasz zmarszczył brwi i oddał jej pusty kubek. W jego dłoniach znowu pojawiły się złote pistolety i szeryf powrócił do przerwane go treningu strzeleckiego.

- O co ci właściwie chodzi? - Lorelei nie dała za wygraną. - Co złego może się stać, jeśli to rzeczywiście prawda?

Lehahiasz nie odpowiedział, lecz zaczął strzelać, niemal bez przerwy, opróżniając całe magazynki. Kolejne cele rozpadły się na kawałki, podobnie jak gałęzie, do których były przytwierdzone.

A potem, równie szybko, jak zaczął, Lehahiasz przestał strzelać i obrócił się twarzą do swojej córki.

- Nie widziałaś tego, co ja, Lore. Żyję na tym świecie już wystarczająco długo, żeby nie zawracać sobie głowy myślą o jakimś Mesjaszu, który nagle odmieni wszystko na lepsze... - Lehahiasz potrząsnął głową.

Lorelei podeszła do niego, nie dopuszczając do siebie tego, co przed chwilą usłyszała.

- Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w przepowiednię? - spytała z niedowierzaniem. - To tak jakbyś zaprzeczył sensowi istnienia samego Aerie.

Lehahiasz opuścił dymiące lufy złotych coltów i utkwilił w niej stalowe spojrzenie.

- Aerie i jego mieszkańcy są dzisiaj jedyną rzeczą, w jaką wierzę.

Lorelei odebrało mowę. Dowiedziała się o przepowiedni, kiedy tylko przyjechała do Ravenschild i perspektywa czegoś lepszego niż świat, w którym dorastała, dodawała jej siłę i pozwalała przetrwać.

- Walczyłem podczas Wielkiej Wojny, Lorelei. - Lehahiasz próbował jakoś wytłumaczyć się ze swoich słów. - Niestety, po przegranej stronie. Dlatego nie wierzę, żeby Bóg - nawet tak miłosierny i sprawiedliwy jak nasz - mógłby nam wybaczyć to, co zrobiliśmy.

Lorelei nie chciała tego dłużej słuchać. Nie chciała, żeby nadzieja, którą tak długo żyła i którą pielęgnowała w sobie, została tak brutalnie przekreślona.

- Przepowiednia mówi...

- To bajki dla małych dzieci - przerwał jej ojciec. Schował colty do kabur i złapał ją mocno za ramiona. - Musisz - wszyscy musimy - zdać sobie sprawę, że jedyne, co nas czeka, to walka o przetrwanie w świecie, którego nie uratuje już żadna przepowiednia ani żaden Mesjasz.



A co, jeśli jednak się mylisz? - Lorelei uwolniła się z jego uścisku. - Co, jeśli Aaron jest zwiastunem lepszych czasów?

Lehahiasz skrzywił się.

-Jeżeli w to wierzysz, to mam poważne wątpliwości, czy rzeczywiście jesteście moją córką.

Na ustach Lorelei zatańczyły zaklęcia, które były wystarczająco potężne, żeby pod upadłym aniołem rozstała się ziemia i uwięziła go w swoich czeluściach. Ale dziewczyna w ostatniej chwili powstrzymała się, odwróciła się plecami do Lehahiasza i ruszyła w stronę domu. Kiedy tak szła, jakaś jej część chciała, żeby ojciec zawołał ją i przeprosił za swoje okrutne słowa. Ale jej druga postać, ta bardziej trzeźwa, wiedziała, że dostała dokładnie to, czego się spodziewała.

Lehahiasz zaczął trening strzelecki od początku. Odbijające się głuchym echem odgłosy wystrzałów były jak oznaka zbliżającej się burzy.

Vilma Santiago czuła, jak opadają jej ciężkie powieki, a słowa w podręczniku do literatury zaczynają się rozmywać. Powstrzymała się od spojrzenia na zegarek, łudząc się, że może wtedy jej umęczony organizm nie będzie tak rozpaczliwie domagał się snu. Pomyślała, żeby wziąć kolejną tabletkę. Kupiła je w aptece w drodze

ze szkoły. Ale dzisiaj wzięła już trzy, mimo iż na ulotce było wyraźnie napisane, że zażywanie więcej niż dwóch nie jest zalecane.

Vilma zamknęła książkę i wsunęła ją do torby leżącej przy biurku. *Może lepiej zajmę się zadaniami z fizyki* - pomyślała, wydając kolejny opasły podręcznik i kładąc go na blacie przed sobą.

Vilma zrobiłaby wszystko, żeby tylko nie zasypiać. Żeby uniknąć tych snów. Okropne wizje z koszmarów przeleciały jej przed oczami - staccato obrazów, które kojarzyły się raczej z filmami fantasy niż ze snami, jakie śnią normalne nastolatki. Dziewczyna poczuła, jak wpada w stupor, który zawsze poprzedzał sen i gwałtownie podskoczyła na krześle. Chodząc po sypialni, uderzyła się kilka razy otwartą dłońią w policzki, mając nadzieję, że ból pozwoli jej ocknąć się i złapać trochę wiatru w żagle. *A może jednak wziąć tabletkę?*

- Weź się w garść, Vilmo - powiedziała na głos. - Nie wolno ci zasnąć.

Kątem oka zobaczyła pościelone łóżko i przez ułamek sekundy była pewna, że wzywa ją do siebie.

- Nie - pokręciła głową - tylko nie łóżko. Wiesz, co to oznacza. - Kontynuowała dalej energiczny marsz po sypialni, wymachując ramionami i biorąc głąbokie oddechy.

Nagle Vilma dostrzegła różową kopertę, która wypadła jej z torby, kiedy wyciągała z niej podręcznik do fizyki. To była kartka urodzinowa od Tiny, której miało jutro nie być w szkole, a nie chciała przegapić tego wyjątkowego dnia swojej przyjaciółki. Vilma kończyła 18 lat, ale gdyby nie Tina, w ogóle by o tym nie pamiętała. Podniosła kopertę i otworzyła ją. To były typowe życzenia w stylu Tiny. „Wiem, co cię uszczęśliwi” - głosiła dedykacja, napisana na zdjęciu jakiegoś przystojniaka w rozpiętych błękitnych dżinsach, którego tors i ramiona były nasmarowane grubą warstwą olejku.

- Tak ci się wydaje? - spytała Vilma, przyglądając się mężczyźnie z kartki. Od razu pomyślała o Aaronie. Od jego ostatniego maila minęły już całe dwa tygodnie i Vilma zaczęła się obawiać, że już nigdy nie otrzyma od niego żadnego znaku życia. Może znalazł gdzieś nowe lepsze życie i nie chce mieć już dłużej do czynienia z przeszłością, którą zostawił za plecami.

Vilma porzuciła tę straszliwą myśl i wrzuciła kartkę do plastikowego pojemnika, który stał obok biurka. *Pewnie nie ma w tej chwili dostępu do komputera.* Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby w skrzynce czekała na nią jakaś wiadomość. Wprawdzie sprawdzała pocztę zaledwie kilka godzin temu, ale coś jej podpowiadało, że może Aaron zdołał od tego czasu dorwać się gdzieś do Internetu.

Vilma wróciła do biurka i włączyła komputer. Kiedy czekała, aż załaduje się system, jej myśli krążyły wokół chłopaka, który skradł jej serce. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby opowiedziała mu o swoich strasznych snach i o strachu przed zaśnięciem - i czy to właśnie jemu zdradziłaby ten sekret jako pierwszemu? Odpowiedź była prosta - oczywiście, że jemu. Ufała Aaronowi Corbetowi do tego stopnia, że opowiedziałaby mu o wszystkim. Czuła się z nim związana jakąś niezwykłą, trudną do opisanania więzią.

Kliknęła myszą na ikonę połączenia z Internetem. *Może wysłał mi elektroniczną kartkę urodzinową?* - łudziła się. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Aaron pewnie nawet nie wie, że ona ma jutro urodziny. Czekając na połączenie, usłyszała, jak stary zegar w salonie na dole zaczyna wybijać pełną godzinę. Vilma zaczęła liczyć uderzenia.

Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Bong! Zegar wybił północ, a Vilma zobaczyła, że w skrzynce nie ma żadnej wiadomości od Aarona. Znowu poczuła bolesne rozczarowanie, dodatkowo spotęgowane świadomością, że jest teraz o rok starsza. Gapiła się na ekran monitora, mając nadzieję, że może jednak wiadomość nadejdzie, ale nic takiego się nie stało.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - wyszepiała smutno.

Chciała już wyłączyć komputer, kiedy jej łzawiące i spuchnięte oczy powędrowały w prawy dolny róg ekranu, gdzie znajdował się zegarek wyświetlający aktualny czas. Była 23:59 i Vilma zastanowiła się, czy to stary zegar dziadka na dole spiesz się, czy też raczej ten w komputerze zwalnia. A potem, razem z wyświetleniem się komunikatu o przerwaniu połączenia z Internetem, wybiła północ - i wszystkie zmysły Vilmy obudziły się do życia!

Vilma rzuciła się na krzesło, które przewróciło się, a ona wylądowała na podłodze. Kolejne ataki napływały falami. Dźwięki w jej uszach brzmiały ogłuszająco - kaskofonia hałasów, przez które z trudem słyszała szalone bicie swojego przerażonego serca i krew krążącą w jej żyłach.

Co się ze mną dzieje? — Vilma z trudem pozbierała się z podłogi, zatykając dłońmi uszy w obawie przed kolejną falą rozdzierających dźwięków. *Czy to jakaś niezwykła reakcja mojego organizmu na brak snu? A może efekt uboczny zażytych leków?* Dźwiękom zaczęły też towarzyszyć intensywne zapachy - detergentów w kuchni, bejcy do drewna w piwnicy, worków ze śmieciami na zewnątrz. Vilma z trudem łapała oddech. Światło w pokoju oślepiało ją i dziewczyna sięgnęła, żeby zgasić lampkę na biurku, strącając ją przy tym na podłogę.

Potrzebuję pomocy! Ktoś musi mi pomóc! - Vilma spanikowała. Powinna pojechać do szpitala... Musi obudzić ciocię i wujka...

Dotknęła kłamki, kiedy usłyszała głos, dobiegający gdzieś z pokoju za plecami. *Nasienie serafina budzi się do życia, kiedy zegar wybija północ* - przemówił głos w języku, którego nigdy przedtem nie słyszała i nie powinna rozumieć - a jednak rozumiała. *Założę się, że ten dzień zwiastuje twoje ponowne narodziny.*

Włosy na karku Vilmy podniosły się powoli. Nie miała najmniejszej ochoty odwracać się, żeby stanąć oko w oko z obłądem. Ale nie potrafiła się oprzeć. Wtedy poczuła ten zapach - silnych przypraw i czegoś gnijącego. Czuło było zepsuciem.

Vilma ujrzała mężczyznę, który stał na środku jej sypialni. Był ubrany na czarno i miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, mimo iż nie padało od kilku tygodni. Długie włosy zaczesał do tyłu. Niesamowicie blada cera wydawała się emanować niezwykłym światłem, podczas gdy oczy mężczyzny - jeżeli w ogóle jakieś posiadał - pozostały skryte w cieniu, który spowijał jego twarz. Vilma miała już wcześniej do czynienia z tą tajemniczą postacią. To on przesiadywał na drzewie przed jej sypialnią. Obserwował ją. I czekał.

— Ty... ty nie jesteś prawdziwy.



Mysł sobie, co chcesz - mężczyzna odparł w starożytnym języku, podchodząc do niej. - To nie mój problem. Moim zadaniem było obserwować cię i czekać, aż rozkwitniesz - i to właśnie nastąpiło.

Vilma zamknęła oczy, mając nadzieję, że gdy je otworzy, nieznajomy zniknie. Ale on wciąż zbliżał się w jej kierunku. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Vilma mogła tylko patrzeć w niemym przeżeniu, jak z pleców mężczyzny wyrastają powoli majestatyczne, czarno-białe skrzydła.

- Chodź ze mną, mały Nefilimie - rzekł mężczyzna, który mógł być wyłącznie aniołem. - Mój pan ma wobec ciebie ważne plany.

Po tych słowach, anioł objął ją. Świat zawirował Vilmie przed oczami i kiedy traciła świadomość, zdążyła jeszcze pomyśleć, że czeka ją pewnie spotkanie z Bogiem.

ROZDZIAŁ 8

Belfegor wędrował wśród swoich roślin i w prymitywnym języku rozkazywał owadom, żeby zostawiły je w spokoju. Oczyszczanie ogrodu z toksyn wiązało się z inwazją wszelkiej maści insektów, które przyciągała zdrowa vegetacja. Ale Belfegor nie zapomniał i o nich. Część ogrodu została zasadzona specjalnie z myślą o tych najbardziej prymitywnych formach życia i anioł zapraszał je teraz, by skorzystały z jego szczodroblewości. Owady posłuchały jego apelu - niektóre nadleciały, inne przydreptały - każdy znalazł sobie jakieś miejsce

do ucztowania. Dla insektów nie miało znaczenia, gdzie jedzą - tak długo, jak tylko im na to pozwalano.

Anioł podziękował małym gościom i zwrócił uwagę na dzbanek z mrożoną herbatą, który czekał na niego na blacie zardzewiałego stołu ogrodowego, stojącego na środku podwórka. Belfegor powędrował beztrudnie przez trawę, czując na swoich bosych stopach, jak wzrasta nowe, zielone życie. Odkucie Ravenschild sprawiało mu wielką radość, chociaż część toksyn zaczynała już oddziaływać na jego organizm. Anioł wlał w siebie szklanekę brązowego płynu, a pijąc, rozglądał się wokół, po tym skrawku raj, który sam stworzył. To było chyba jego ulubione miejsce. Zamieszkał w sąsiednim domu i sprawił, że ten ogród odżył na nowo. Gdyby to było takie proste dla wszystkich, którzy utracili łaskę w oczach Pana!

Ogarnęło go to samo niezwykle uczucie podniecenia, które towarzyszyło mu, odkąd po raz pierwszy był świadkiem obudzenia się anielskiej mocy Aarona Corbeta. Czy *to możliwe*? Czy po tak długim czasie, po tylu niespełnionych nadziejach, miał uwierzyć w to, że przepowiednia może się wreszcie ziścić.

Belfegor popijał mrożoną herbatę, delektując się tym, jak zimny płyn spływa po jego gardle. Nie może dać się oszukać. Za wiele - i zbyt wielu - zależało od niego, by mógł sobie pozwolić na utonięcie w odmętach religijne-

go ferworu. Ale musiał przyznać - w tym było Nefilimie coś niezwykłego — dzikiego i nieokiełznanego - co wzbudzało podniecenie i strach.

Szkolenie szło zaskakująco dobrze. Chłopak chętnie się uczył, ale jego anielska natura była nieokrzesała i niezwyczajnie buntownicza. Musieli więc uważać, żeby nie sprowokować wybuchu gniewu, bo wtedy cały świat znalazłby się w niebezpieczeństwie. Ale nie mogli się tym teraz zbyt przejmować.

Powietrze w odległym kącie podwórza zaczęło drgać, a w środku pojawiła się ciemna plama. Rozległ się dźwięk, przypominający gwałtowny wdech, a ciemność przyoblała się w znajomy kształt. Wystrzeliły zeń ciemne skrzydła, jakby utkane z najgłębszej nocy, między nimi zaś pojawiła się postać chłopca. Wyglądał na wyczerpanego, a jednocześnie upojonego radością. Na jego młodej twarzy zaiskrzył pewny siebie uśmiech.

— Trwało to dłużej, niż przypuszczałem. - Belfegor udawał brak zainteresowania, gdy sięgał po dzbanek z mrożoną herbatą, żeby napełnić sobie szklanekę. - Miałeś jakieś kłopoty?

Aaron zdusił w sobie anielską moc, symbole na jego ciele zaczęły powoli blednąć, a skrzydła skurczyły się i ukryły pod skórą. W ręce trzymał zwiniętą gazetę, którą uderzał o drugą dłoń. Podeszedł do starego anioła.

- Żadnych kłopotów - odparł, rzucając na stół gazetę, która okazała się chińskim *Głosem Ludu*. - Nie miałem chińskiej waluty, żeby ją kupić, więc musiałem zaczekać, aż ktoś wyrzuci przeczytaną.

Chłopak uśmiechnął się, promieniując nowo odkrytą w sobie pewnością. Szybko się uczył, ale wciąż miał jeszcze wiele do zrobienia - i wiele spraw mogło dotyczyć się nie po jego myśli.

- Jak minęła podróż? - spytał Belfegor, zanim przełknął kolejny łyk herbaty. Nauczył Aarona przemieszczać się w taki sam sposób, jak to robili inni aniołowie, tylko za pomocą skrzydeł i silnej woli. Domyślał się, gdzie chłopak się udał.

- Było wspaniale - przyznał Aaron, sięgając po jeszcze jedną szklankę, która stała na stole. - Zrobiłem dokładnie tak, jak kazałeś. - Nalał sobie pełną szklankę, prawie rozlewając herbatę. - Wyobraziłem sobie Pekin, wykorzystując do tego celu książki i magazyny, a potem powiedziałem sobie, że właśnie tam chcę się znaleźć.

Belfegor skinął głową. Chłopak coraz bardziej mu imponował, jednak nie dał tego po sobie poznać. Na palcach ręki można było policzyć Nefilimów, którzy potrafiliby zrozumieć samą ideę przemieszczania się między wymiarami, a co dopiero z niej skorzystać.

- Było naprawdę fajnie - Aaron ciągnął dalej. - Uj-

rzalem Pekin w głowie, zawiąłem się w skrzydła, a kiedy je otworzyłem, byłem już w Chinach. - To mówiąc, wypił do końca mrożoną herbatę.

- Czy ktokolwiek był świadkiem twojego przybycia?

Aaron wrzucił sobie do ust kilka kostek lodu, ślizgających się na dnie szklanki i zaczął je głośno chrupać.

- Nie - powiedział, między kolejnymi chrupnięciami. - Nie chciałem, by ktokolwiek mnie zobaczył, i tak też się stało.

Belfegor odwrócił się i pomaszerował do swoich roślin, zostawiając Aarona samego przy stole. Jak gdyby nigdy nic, zaczął zbierać dojrzałe ogórki. Chłopiec awansował dużo szybciej niż jakikolwiek Nefilim przed nim. Ale następny etap treningu był kluczowy - i najbardziej niebezpieczny. Mimo swojego podziwu dla tego chłopca, Belfegor nie był pewien, czy Aaron sobie poradzi.

- Co teraz? - usłyszał za sobą jego głos.

Belfegor odwrócił się, zapominając na chwilę o ogórkach.

- Na dzisiaj to wszystko - powiedział, dając Aaronowi do zrozumienia, że jest wolny.

- Ale jest jeszcze wcześniej — zaproponował Nefilim z entuzjazmem w głosie. - Nie ma już nic, czego nie mógłbyś mnie nauczyć, zanim...

- Następna faza polega na odkryciu tej drugiej tożsamości, która jest w tobie.

- W porządku. - Aaron zapalił się. - A więc, do dzieła.

- Uważasz, że jesteś gotów na podróż do tego miejsca - o, tutaj? - Belfegor popukał go palcem w pierś. - To będzie dużo trudniejsze niż wypad do Pekinu.

Aaron wyraźnie spoważniał, jak gdyby ostrzegawcze słowa anioła coś w nim obudziły - jakąś tajną informację, do tej pory skrytą w najciemniejszym zakątku umysłu Nefilima, a teraz gotową, by ujrzeć światło dzienne.

- Jeżeli uważasz, że jesteś gotów dowiedzieć się kim... lub czym jesteś - powiedział tajemniczo Belfegor, nie spuszczać wzroku z twarzy Aarona - w takim razie, niech tak się stanie. Ale nie jestem do końca przekonany, czy po tym, co zobaczysz, będziesz szczęśliwy.

Werchiel spoglądał na nieprzytomną dziewczynę, która leżała przed nim na podłodze.

- Wyczuwasz to tak samo jak ja? - spytał więźnia w wiszącej klatce, znajdującej się w drugim kącie pomieszczenia. Dopiero co się wylał i walczy teraz z ludzką powłoką, która go więzi. Tak bardzo pragnie wyrwać się z jej okowów, by rozkwitnąć i zmienić tę wrażliwą ludzką istotę w ucieleśnienie grozy, którym ma się stać.

Dowódca Potęg musiał zmienić pozycję na drewnianym fotelu z wysokim oparciem. Mimo iż był już niemal całkiem wyleczony, rany, które zadał mu Nefilim podczas pierwszego starcia, wciąż sprawiały mu ból.

- Chce mi się wymiotować na jej widok - wyrzucił z siebie Werchiel, z obrzydzeniem obserwując dziewczynę leżącą u jego stóp. - Powiniennem zabić ją od razu.

- Ale nie zrobisz tego - więzień odezwał się słabym głosem zza krat. - Zadałeś sobie sporo trudu, żeby ją tu sprowadzić. Dlatego przypuszczam, że ma ona do odegrania kluczową rolę w jeszcze jednym z twoich nikczemnych przedsięwzięć. Być może nawet posłuży ci jako przynęta, żeby zwabić w pułapkę Nefilima.

Werchiel odwrócił wzrok od dziewczyny i skupił swoją uwagę na mówiącym.

- Czyżbyś nauczył się już myśleć tak jak ja? - zapytał ze zjadliwym uśmiechem. - Czy może to ja myślę twoimi kategoriami?

Więzień podniósł się i usiadł.

- Wątpię, żebym kiedykolwiek, nawet w moich najmroczniejszych czasach, odznaczał się taką pogardą dla niewinnego życia.

- Niewinnego życia? - Werchiel powtórzył jak echo, spoglądając raz jeszcze na leżącą przed nim istotę. - Rzeczywiście wygląda na taką nieskomplikowaną - taką

bronną - nic dziwnego, że Stwórca musiał poświęcić tyle swojej energii i serca.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, nieprzytomna dziewczyna jęknęła cicho.

- Ale pozory mogą mylić, nieprawdaż? - Werchiel
• Ł ją lekko stopą. - Drzemie w tobie prawdziwy poród, gotów w każdej chwili wydostać się na wolność, am rację, mała?

Więzień zacisnął różowe palce, niepokryte jeszcze "korkiem, na prętach klatki.

- Przygarniał kocioł garnkowi, nie uważasz, Werchiel
1 Po tym wszystkim, czego ostatnio „dokonałeś”, masz
* "zczę czelność nazywać kogoś potworem?

Werchiel przekrzywił głowę, przyglądając się swojej
i czego nieświadomej ofierze.

- Nie przeczę, że jest we mnie odrobina współczucia dla tej nieszczęsnej istoty. Od chwili urodzin nie ma żadnego wpływu na to, kim jest, co nie zmienia jednak faktu, że tacy jak ona w ogóle nie powinni się narodzić,

i — Skąd pozyskałeś tak cenną informację? - zadrwił z niego pojmany. - Bo mnie chyba jednak ominęła.

- Nasza rasa nigdy nie powinna była bratać się z tymi zwierzętami - warknął Werchiel i na samą myśl o takim skrzyżowaniu poczuł odrazę. - Co udowadniają te wynaturzenia - zwierzęta wyposażone w świętą moc.

Trudno mi sobie wyobrazić, by mogła to być część Jego planu stworzenia.

- A ty. Boski ulubieniec, oczywiście postanowisz wziąć ten problem na swoje barki i go rozwiązać.

- Jesteś bezkarny, jak zwykle. - Werchiel ześlizgnął się z krzesła i ukląkł obok leżącej dziewczyny. - Można by przypuszczać, że po tym wszystkim nabierzesz choć trochę respektu dla tego, którego w tak straszliwy sposób obraziłeś.

- To nie ma z Nim nic wspólnego, Werchielu - podkreślił więzień. - Chodzi mi tylko o twoje wypaczone poczucie dobra i zła.

Werchiel stłumił w sobie chęć rzucenia się do gardła jeńcowi, skupiając się na czekającym go zadaniu.

- Dobro i zło - syknął, podnosząc koszulkę nieprzytomnej dziewczyny i odsłaniając ciemną, delikatną skórę na jej młodym brzuchu. - To, co zakiełkuje w ciele tej młodej istoty, z pewnością będzie się zaliczać do tej drugiej kategorii.

Palce u dłoni Werchiela zaczęły świecić, kiedy dotknął delikatnie jej brzucha, znacząc ślady na skórze w pięciu miejscach. Pograżona w nieświadomości, dziewczyna zwijała się i krzyczała z bólu, skręcając się w agonii, gdy jej ciało skwierczało, a z ran unosiły się kłęby ciemnego, oleistego dymu.

- Wiem, że to, co robię, jest właściwe - powiedział erchiel. - Między Nefilimem a tą dziewczyną istnieje wna więź, która ulegnie dalszemu zacieśnieniu tylko edy, gdy oboje dowiedzą się, że należą do tego samego gatunku.

Werchiel wyczuwał w tej małej obecność anioła, który nie obudził się jeszcze w pełni. Ból miał przyciągnąć jak najbliżej i zmusić, żeby zaczął rozkwitać szybciej. Werchiel po raz kolejny dotknął dłonią brzucha dziewczyny, tym razem przyciskając palce do jej skóry na trochę dłużej. Płyny, krążące pod skórą ofiary, zagotowały się pod wpływem dotyku anioła.

Dziewczyna jęczała i krzyczała, choć nadal znajdowała się na granicy snu i jawy. Ale tkwiąca w niej moc z każdą chwilą rosła w siłę, wzywając na pomoc innych efilimów.

- O to chodziło! - Werchiel ucieszył się, wciągając nozdrza zapach spalonej skóry. - Wezwij do siebie "elkiego bohatera, tak bym mógł zniszczyć jego i sny, "óre inspirowuje.

To było jak sny... Nie, koszmary, które miał wcześniej, zanim nastąpiła transformacja.

Różnica polegała jednak na tym, że tym razem Aaron nie spał.

To była zasługa Belfegara. Zabrał Aarona do swego domu, mówiąc, że musi poznać pochodzenie swojej wewnętrznej mocy, która stała się jego udziałem. Potem kazał mu wypić jakiś paskudny napój z kociołka, który gotował się na piecu. Pachniał jak sterta zepsutych śmieci, a smakował jeszcze gorzej, ale stary anioł przekonał Aarona, że to pomoże mu wniknąć w głąb siebie i odkryć korzenie mocy, która za wszelką cenę starała się zmienić go w kogoś innego.

Aaron zakrztusił się obrzydliwą zawiesiną, ale w końcu udało mu się ją przełknąć i usiadł na podłodze. Belfegor zajął miejsce w swoim ulubionym fotelu i zaczął czytać chiński *Głos Ludu*. Z początku Aaron miał wrażenie, że nic się nie działo, ale anioł wyjrzał zza gazety i przekonał go, żeby zaczekał, aż trucizna zacznie działać.

Trucizna?

Tak, Belfegor rzeczywiście napoił go trucizną. I zanim wrócił do przerwanej lektury chińskiego *Głosu Ludu*, wyjaśnił Aaronowi, że tylko nieuchronnie zbliżająca się śmierć jego ludzkiej jaźni pozwoli przejąć kontrolę tej drugiej - anielskiej.

Potworny, kłujący ból zaczął się na dnię jego żołądka. Z jego epicentrum emanowało nienaturalne ciepło, promieniowało do wszystkich kończyn, które stopniowo sztywniały. W pewnym momencie Aaron nie mógł

siedzieć i zwałił się bezwładnie na zimną, drewnianopodłogę.

Z trudem udawało mu się zachować przytomność, e wciąż słyszał, jak Belfegor dodaje mu sił, ostrzegając jednocześnie, by nie poddawał się krążącej w jego żywi substancji.

Aaron miał za zadanie odnaleźć źródło swojej mocy, -ejąc nad nią kontrolę i użyć jej do dokonania ostatniej fuzji obydwu natur, które w nim istniały.

A co, jeśli okażą się niewystarczająco silny? — spytał Aaron, tary anioł zachmurzył się i wyjaśnił mu, że bez takiej kotwicy w postaci ludzkiej natury anielska moc prędzej czy później wpadnie w szarą i zniszczy ich wszystkich.

Na początku była wyłącznie ciemność i rozgrzewające ciepło trucizny. Ale potem zobaczył coś wijącego się w bezkresnym, czarnym morzu nieświadomości, w którym stopniowo sam się zanurzał. Kiedy istota zorientowała się, że Aaron ją widzi, zaczęła przybierać coraz to inne zwierzęce postacie. W końcu zmieniła się w piękną humanoidalną formę ze skrzydłami i skórą w kolorze słońca, za to z oczami tak chłodnymi i ciemnymi jak zimowa noc. Aaronowi przyszło do głowy, że stanowią rodzinę i to przyciągnęło bliżej istotę, która objęła go swoim uściskiem, unosząc się nad nim, jakby była płynną cieczą. A kiedy otworzył oczy, znajdował się już gdzie indziej.

Ból trucizny minął i Aaron zobaczył, że stoi na jakimś olbrzymim polu, zarośniętym wysoką trawą w kolorze złota. Ciepła, delikatna bryza, pachnąca przyprawami, pieściła falującą roślinność. W oddali Aaron dostrzegł niewyraźne kontury ogromnej metropolii, ale jego uwagę przykuły dobiegające gdzieś z bliska dźwięki. Odwrócił się i ruszył w kierunku pobliskiego wzgórza, prowadzony przez głos, który niósł wiatr.

Kiedy dotarł na szczyt i spojrzął w dół, zobaczył, że w dolinie zebrała się potężna armia. Aniołowie, tysiące aniołów zakutych w połyskujące, spiżowe zbroje, stało bez ruchu, pochłonięte przemową jednego z nich - zapewne ich przywódcy, który przechadzał się wśród szeregów swoich żołnierzy, nasycając ich serca i umysły odwagą. Aaron szybko pojął, dlaczego wszyscy ci aniołowie zdecydowali się pójść za swoim wodzem. Była w nim jakaś niesamowita charyzma, której nie sposób było zaprzeczyć.

Piękny jak gwiazdy o poranku - Aaron usłyszał szepczący mu z tyłu głowy głos, z którym nie mógł się nie zgodzić.

Kiedy Poranna Gwiazda obszedł już wszystkich swoich świętych wojowników, kładąc na każdym z nich swoją dłoń i błogosławiąc specjalnym darem, w ich rękach zapłonęły ogniste miecze. Byli gotowi do walki.

Gotowi na wojnę.

Aaron poczuł nagłe zawroty głowy i z trudem ustał nogach. Świat zawirował mu przed oczami, przeno-
go w inny czas i inne miejsce. Tkwił teraz w samym
:u bitwy, z każdej strony otaczały go walczące za-
y anielskie. Oddziały Porannej Gwiazdy starły się
krwawym boju z innymi aniołami, napotykając z ich
»ny na zdecydowany opór. Aaron dostrzegł Kama-
cla i Werchiela, walczących ramię w ramię, po stronie
przeciwników Porannej Gwiazdy. W powietrzu unosiły
się krzyki umierających i rannych. Ostrza mieczy od-
wywały kończyny i pozbawiały życia aniołów po obu
-nach, którzy spadali z nieba jak kamienie, ogarnięci
mieniami.

To było coś koszmarnego - przed Aaronem rozgry-
się jeden z najwspanialszych, ale i najpotworniej-
ch widoków, jakich kiedykolwiek był świadkiem,
ciał odwrócić się i nie patrzeć na te brutalne sceny
połamane i płonące ciała aniołów, stratowaną trawę
i ziemię nasiąkniętą ciemną krwią. Ale gdziekolwiek się
obejrzał, widział to samo. Wszędzie śmierć.

Nagle wzrok Aarona przyciągnęła postać Porannej
Gwiazdy, który wycinał ognistym mieczem drogę wśród
swoich wrogów. Jego armia została już pokonana, ale
on nie zamierzał złożyć broni. Rozpostarł imponujące

skrzydła i zbliżał się konsekwentnie do wieży ze szkła, a może z kryształu, która strzelała w niebo, wydając się nie mieć końca. Anioł krzychał, po twarzy spływały rnu, łzy. Aaron czuł jego smutek; rozpacz, która wypełniała miejsce bitwy, była wręcz namacalna.

Poranna Gwiazda wrzeszczał coś w kierunku szklanej wieży, wygrażając ręką zakutą w żelazną rękawicę i domagając się, aby Ten, który mieszka w wieży, zszedł na dół i stawił mu czoła. A potem, bijąc wściekle skrzydłami przesiąknięte zapachem rzezi powietrze. Poranna Gwiazda zaczął unosić się w górę. Niebo pociemniało, nadciągnęły grube, stalowe burzowe chmury i rozległ się potężny grzmot, od którego zadrżała ziemia. Ale Poranna Gwiazda nie zląkł się nagłej burzy i kontynuował swoją podróż wzwyż, z mieczem zaciśniętym w dłoni.

Aaron wyczuł to dużo wcześniej - powietrze było nasycone elektrycznością - ale nie zdążył ostrzec anioła. Było już za późno. Spomiędzy gęstych, kłębiących się szarych chmur uderzyła nagle długa błyskawica, przypominająca zakrzywiony palec, który dotknął dzielnego wojownika. W błysku oślepiającego światła Poranna Gwiazda runął na ziemię, ogarnięty płomieniami.

Zostań w miejscu, nie ruszaj się - Aaron ostrzegł sam siebie, obserwując spadającego z nieba anioła, który uderzywszy o ziemię, po krótkiej chwili pozbiierał się, nie-

le stanął na poczerniałych, spalonych nogach, po
znow wzbili się w powietrze. Poranna Gwiazda
raz kolejny spojrział w górę, w stronę szklanej wieży
wniósł miecz w obronny geście. *Dlaczego?* — Z jego
-t, które teraz były tylko zwęglonym otworem, wyrwał
•ę krzyk żalu i wściekłości. - *Jak możesz kochać ich bar-
dziej niż nas?*

Ponieważ jego skrzydła wciąż trawił ogień, Poranna
Gwiazda wznosił się wolniej niż poprzednio. Przez niebo
przetoczył się kolejny grzmot, będący wyrazem rozdraż-
nienia, jakie wzbudziło nieposłuszeństwo anioła. Potem
dołączyły do niego krzyki przypominające odgłos piku-
jących drapieżnych ptaków. Aaron patrzył, jak żołnierze
wroziej armii atakują rannego, ściągają go z powrotem
na ziemię i zasypują gradem ciosów swoich ognistych
mieczy.

Aaron czuł ból, jaki Porannej Gwieździe sprawiało
każde uderzenie palących ostrzy - zupełnie jakby anio-
łowie atakowali jego, a nie przywódcę renegatów. Aaron
upadł na ziemię, z oczami utkwionymi w krwawej scenie,
jaka rozgrywała się tuż przed nim. Krew zamordowanych
aniołów zaczęła przesiąkać przez nogawki jego spodni.

Aaron poczuł, jak jego ciało sztywnieje, i z najwyższym
trudem zachował przytomność - aby pozostać przy życiu.
Ale mrok sięgnął znów po niego, spowijając go czarnym

całunem i ciągnąc z powrotem w dół, gdzie mógł umrzeć w spokoju - do miejsca, w którym od jego osiemnastych urodzin mieszkała anielska moc. Tam mógłby wyzbyć się do reszty swojego ziemskiego życia i pozwolić, by moc Nefilima przejęła w całości kontrolę nad jego wrażliwą, ludzką powłoką.

Przez krótką chwilę Aaron był przekonany, że właśnie tak powinien postąpić. W tym bezkresnym cieniu nie czekały go żadne troski ani denerwujące anielskie zagadki, tylko błogi spokój. Ucieczka przed odpowiedzialnością, jaką nakładała na niego przepowiednia sprzed wieków.

Aaronie! On sprawia mi ból!

Nagle spokój spadającego w otchłań Nefilima zmaściło przeraźliwe wołanie o pomoc, które odbijało się echem w otaczającej go ciemności. Aaron chciał je zignorować, ale było w tym głosie coś, co sprawiło, że znów zapragnął żyć.

Gdzie jesteś, Aaronie? On będzie mnie krzywdził, dopóki się tu nie zjawisz!

— Vilma - wyszeptał Aaron, spowity kokonem utkany z cienia. Otworzył oczy i ujrzał dziewczynę, którą kochał, w uścisku Werchiela. Wizja trwała ułamek sekundy, ale w zupełności wystarczyła, żeby wyrwać go z objęć śmierci.

Błagam! Aaronie!

Anielska siła wciągała go coraz głębiej w otchłań za-
lenia, ale Aaron czuł, że Vilma go potrzebuje. Tak
o jak Stevie i upadli aniołowie. Zawstydził się na sa-
myśl o tym, że mógłby odpuścić. Im bardziej wracała
u świadomość, tym mocniej odczuwał efekty działania
krążącej w żyłach trucizny. W dodatku przypomniał so-
bie o Porannej Gwieździe, który mimo dotkliwych ran,
jakie zadał mu Stwórca, nie zrezygnował z walki. Taka
postawa mu zaimponowała.

Kiedy Aaron się ocknął, klęczał na podłodze w kuch-
ni Belfegara. Całe ciało miał obolałe od rzucania się
w konwulsjach. Zgiął się w pół i zwymiotował truciznę.
Potem powoli podniósł głowę i wytarł resztki palących
toksyn, które ściekały mu po brodzie. Dopiero wtedy
zobaczył, że Belfegor wstaje ze swojego fotela i podaje
mu chusteczkę higieniczną.

- Co zobaczyłeś? - spytał anioł. W jego starych oczach
widać było iskrę podniecenia.

- Vilme. - Aaron z trudem podniósł się z kolan.

- Kogo?

- Muszę ją odnaleźć - odparł Nefilim, czując na ple-
cach znajomy dreszcz strachu, który nosił w sobie, od
kiedy jego życie zmieniło się w tak dramatycznych oko-
licznościach, a który teraz zastępował powoli uczucie
nudności w żołądku. - On ją ma. Werchiel ją dopadł.

ROZDZIAŁ 9

Vilma? - Belfegor zdumiał się. - Czy mogę spytać, kim jest Vilma?

Aaron zachwiał się na nogach i przytrzymał się drzwi kuchennych, żeby nie upaść.

- To moja przyjaciółka... - Aaron zrobił na chwilę pauzę, zastanawiając się nad swoją odpowiedzią. - To ktoś z mojego poprzedniego życia, ktoś dla mnie bardzo ważny - a teraz ma ją Werchiel. - Przed oczami przeleciały mu znów obrazy krzyczącej dziewczyny. Słyszał jeszcze, jak go wzywa.

- Werchiel próbuje cię dopaść przez twoich przyjaciół - skomentował trzeźwo Belfegor. — To typowe zachowanie dla kogoś takiego jak on.

Aaron nie zrozumiał. W jakiś sposób Vilmie udało się sięgnąć w głąb jego umysłu i poprosić go o pomoc.

Ale jak?

- Aaronie, co widziałeś, kiedy już się tam znalazłeś? - spytał anioł. - Musisz mi wszystko opowiedzieć...

Aaron przerwał mu skinieniem dłoni.

- Ona znalazła się w moim umyśle. - To mówiąc, wbił twarde spojrzenie w Belfegora. - Jak to możliwe, chyba że...?

Belfegor powoli pokiwał głową, wyczuwając, że Aaron domyślił się już odpowiedzi.

- Chyba że jest taka jak ty - dokończył.

Ta świadomość uderzyła Aarona jak cios na ringu bokserkim. Osunął się w dół po framudze, siadając na ziemi z kolanami pod brodą.

- To niemożliwe - wymamrotał, kompletnie zбитy z tropu. Pamiętał każdą chwilę, jaką spędzili razem - chociaż nie było ich zbyt wiele. Bez wątplenia mieli się ku sobie. Ale kto mógłby pomyśleć, że u podstaw tej więzi jest coś więcej niż tylko same hormony. Należeli do tej samej rasy.

Rasy Nefilimów.

- A myślałem, że nic mnie już nie zaskoczy. - Zdesperowany Aaron pokręcił głową.

Belfegor wstał z za stołu i podszedł bliżej. Wyglądał na zniecierpliwionego i pełnego niepokoju.

- Twoja koleżanka nie ma teraz żadnego znaczenia - oznajmił. - Powiedz lepiej, co widziałeś.

- Nie mam teraz na to czasu. - Aaron podniósł się z podłogi. - Ona mnie potrzebuje.

Belfegor złapał go za ramię żelaznym uściskiem.

- Muszę wiedzieć, co zobaczyłeś - nalegał. - Należy się to także mieszkańcom Aerie.

Aaron strącił z siebie rękę anioła.

- Widziałem anioła... jednego z najpiękniejszych, z jakimi miałem do czynienia. - Na chwilę przerwał, czując na sobie wzrok Belfegora i poczerwieniał. - Nie w sensie erotycznym ani czymś takim - wyjaśnił na wszelki wypadek. - Ujął mnie sposób, w jaki ten anioł się poruszał, i jego zachowanie. Czułem w powietrzu aurę poświęcenia, jaka biła od jego armii. Czułem, jak bardzo go kochają.

- Ty... widziałeś Poranną Gwiazdę? - wymamrotał Belfegor, jakby napawało go to przerażeniem.

Aaron przytaknął, nieco zdziwiony reakcją starego anioła.

- Widziałem też bitwę - powiedział, przypominając sobie brutalne obrazy, które na zawsze wryły mu się

w pamięć. - To było straszne - dodał. - I niewiarygodnie smutne.

Belfegor patrzy! przed siebie zamyślonym wzrokiem, drapiąc się po brodzie.

- Co to znaczy, Belfegorze? - spytał ostrożnie Aaron.
- Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Stary upadły anioł skupił z powrotem swój wzrok na Aaronie.

- Ten ból i smutek, śmierć i brutalna przemoc - sądzę, że to właśnie z nich zrodziła się twoja moc.

Aaron potrząsnął głową.

- Nie rozumiem...

- Ale zrozumiesz - Belfegor przerwał mu władczym tonem. - Powinniśmy pójść teraz do Nauczyciela i wspólnie odkryć tajemnicę twojego pochodzenia...

- Nie! Nic nie rozumiesz. Vilma ma kłopoty i muszę jej pomóc. - Aaron odsunął się od anioła, czując, jak opór dodaje sił jego wyczerpanemu ciału. - Nie mogę sobie pozwolić choćby na chwilę zwłoki. Szkoda czasu!

Aaron otworzył drzwi do kuchni i miał już wyjść, kiedy Belfegor złapał go znowu.

- Aaronie, jesteśmy już tak blisko.

W jego głosie słychać było napięcie, którego Aaron nie doświadczył nigdy wcześniej - zawołane podniecenie, sugerujące, że anioł wie więcej, niż chce ujawnić.

nić. Sprawilo ono, że Aaron chciał już zawrócić, ale wtedy przypomniał sobie twarz Vilmy - jej piękną buzię, wykręconą w grymasie bólu i strachu - i wiedział, że nie ma już wyboru.

Nefilim zrzucił dłoń anioła i ruszył w kierunku schodów prowadzących na zewnątrz.

- Wybacz, po prostu muszę - rzucił przez ramię. - Wrócę tak szybko, jak...

Na ulicy przed domem stał Lehahiasz. Z kącika ust zwisało mu długie, cienkie cygaro, a unoszący się z niego dym formował nad głową przybyłego coś na kształt zwiewnej aureoli.

- Jakiś problem, chłopcze? - spytał grobowym głosem, przeżuwając w ustach cygaro, jak stojący na peronie konduktor swój gwizdek.

Aaron pokręcił głową, czując wrogość, jaka biła od szeryfa Aerie.

- Jeszcze nie - odpowiedział, starając się, żeby w jego głosie nie zabrzmiał strach.

Belfegor pojawił się w drzwiach za jego plecami.

- Wszystko w porządku, Lehahiaszu - uspokoił rewolwerowca. - Aaronie, zapraszam do środka. Porozmawiajmy.

- Właśnie wychodziłem - odparł wyzywająco Aaron i postąpił dwa kroki naprzód.

Lehahiasz zastąpił mu drogę, a w jego dłoniach błysnęły dwie iskierki, co zwiastowało pojawienie się jego ukochanych, złotych pistoletów.

- Na twoim miejscu posłuchałbym szefa - wyszczał.

- To może być pułapka - Belfegor ostrzegł Aarona.
- Werchiel może posługiwać się twoją przyjaciółką, żeby uderzyć - nie tylko w ciebie, ale także w nas, tu w Aerie. Przykro mi, ale nie możemy cię puścić. Ryzyko jest zbyt duże.

Lehahiasz groźnie zamachał pistoletami.

- Słyszałeś, co powiedziała Założyciel - wskazał Aaronowi drzwi do domu. - Wracaj, zanim sprawy przybiorą naprawdę niekorzystny obrót.

- Już przybrały - odwarknął Aaron, w którym zaczęła budzić się do życia anielska moc. Czuł się jak na potężnym kacu, ale nie zamierzał się dłużej hamować.

Na ulicy zaczął gromadzić się coraz większy tłumek gapiów, którzy wychodzili ze swoich zrujnowanych domów, jakby potencjalny wybuch agresji przyciągał ich jak magnes. Aaron widział ich nerwowe spojrzenia, słyszał ich szepty.

- Wiedziałem, że napyta nam biedy. On ma być Wybrańcem? Wątpię, by ktokolwiek mógł pomyśleć o nim w ten sposób. - Lehahiasz miał ochotę w końcu rozprawić się z intruzem.

Na skórze Aarona pojawiły się znajome symbole, a z pleców wyrosły czarne skrzydła. Usłyszał stłumione okrzyki mieszkańców Aerie i nawet Leahiasz wydawał się zaskoczony, gdy Aaron minął go i wyszedł na ulicę. Ludzie zaczęli wpadać w panikę, Aaron widział to w ich oczach. A może widzieli coś zupełnie innego niż on sam? Aaron zastanawiał się nad tym, kiedy usłyszał z tyłu charakterystyczny dźwięk odwiedzionych kurków rewolwerów.

Zareagował instynktownie - nie było w nim żadnej wewnętrznej walki ani nawet próby powstrzymania mocy na uwięzi. Po prostu dał jej wolną rękę i pozwolił sobą pokierować. Odwrócił się twarzą do potencjalnego wroga z dzikim warknięciem na ustach. Rozległ się głuchy huk wystrzału i kula, wystrzelona z jednego z pistoletów, pokonała krótki dystans, wbijając się głęboko w ramię Nefilima.

Aaron upadł do tyłu, zduszając w sobie krzyk w chwili kontaktu z twardym asfaltem. Na szczęście, zdążył zamortyzować upadek skrzydłami. Ból był bardzo silny i Nefilim czuł, jak cała lewa strona jego ciała zaczęła sztywnieć, gdy tak leżał na ulicy, spoglądając w poranne niebo. Aaron wiedział, że powinien wstać - dla dobra Steviego i Vilmy - ale nie był pewien, czy ma w sobie tyle siły, by to zrobić.

Szepty mieszkańców brzmiały teraz jak buczenie rozwścieczonego roju pszczół, które stanęły w obronie zagrożonego gniazda. Leahiasz podszedł i stanął nad Aaronem z dymiącym pistoletem w dłoni. W jego stalowych oczach lśniło zimne okrucieństwo - ten wzrok mówił dużo więcej niż setki słów.

- Spójrz - rewolwerowiec wyszeptał tak cicho, żeby tylko Aaron mógł go usłyszeć. - Nie potrafisz ochronić siebie, a co dopiero nas. — Leahiasz wycelował w niego broń. - Jak śmiesz wlewać nadzieję w serca tych ludzi, a potem ich jej pozbawiać? Czy nie dość już wycierpieliśmy, bez takich jak ty? Powiniennem cię teraz zabić! - Podszedł bliżej.

Aaron leżał nieruchomo, spoglądając w wylot lufy pistoletu, która unosiła się nad nim jak jakieś ciemne oko. Nie mrugnął nawet powieką. Palec Leahiasza spoczął na spuście, a przed oczami Nefilima pojawiły się znów okrutne obrazy wojny. Po raz kolejny ujrzał Poranną Gwiazdę, który przechadzał się wśród swoich oddziałów i błogosławił każdego z żołnierzy. A potem Aaron był świadkiem ich śmiertelnego boju, kiedy ginęli za sprawę swojego dowódcy. Ich poświęcenie, siła i moc dodawały Aaronowi odwagi.

Magiczne symbole na jego ciele zapiekły go nagle, jakby ktoś oblał je kwasem. Aaron zerwał się z ulicy, a z głębi

jego ciała wydobył się mrozący krew w żyłach ryk wściekłości. Lehahiasz wystrzelił po raz drugi, ale rym razem kula nie zdążyła sięgnąć celu. Aaron zamachnął się skrzydłami, wytrącając szeryfowi Aerie pistolet z ręki.

- Dość już broni! - rozkazał, chwytając go za przegub dłoni i wykręcając tak mocno, że Lehahiasz wypuścił z ręki także drugi złoty rewolwer.

Aaron spojrzał Lehahiaszowi w oczy i tym razem zobaczył w nich coś innego niż tylko stalowe okrucieństwo. Ujrzał w nich strach, chociaż mu na tym nie zależało. Bez trudu podniósł anioła z ziemi i odrzucił go na bok jak szmacianą lalkę. Teraz pragnął tylko ratować swoich najbliższych.

Lehahiasz wylądował na ulicy, jakieś dwa metry dalej, wywołując popłoch wśród ludzi, którzy tam stali. Potem zapadła kompletna cisza, tłum przyglądał im się w niemym milczeniu. Belfegor podszedł do Lehahiasza i pomógł mu wstać. W dłoniach szeryfa znów zatańczyły iskry. Aaron zeszywniał, gotów w każdej chwili dobyć własnej broni.

- Nie! — rozległ się donośny głos Belfegora.

Lehahiasz przyglądał się swojemu przeciwnikowi, a na jego wykrzywionej wściekłością twarzy malowało się coś na kształt zdumienia i zakłopotania.

- Pozwól mu odejść - polecił Belfegor.

Lehahiasz wytrzeszczy! oczy w kompletnym szoku.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrztusił. - On na pewno sprowadzi tu Werchiela i jego bandę!

Belfegor uniósł dłoń i zamknął oczy.

- Słyszałeś, co powiedziałem — puść chłopca wolno.

Stojący po drugiej stronie ulicy Aaron napotkał wzrok "lfegora i przeszył go dreszcz.

- Jeżeli musisz odejść - odezwał się anioł - zrób to raz.

Aaron z trudem odwrócił wzrok. Czy *na pewno słusznie postępuje?* - zastanowił się. Na krótką chwilę do jego umysłu zakradła się niepewność i ogarnęły go wątpliwości. Zaraz jednak ustąpiły miejsca obrazom Vilmy i zaginionego brata. I już nie miało znaczenia, czy dobrze postępuje, czy też nie. Aaron wiedział, że musi ich uratować.

- Wróć - oznajmił, rozpościerając skrzydła.

- Mam nadzieję - odparł Belfegor, wciąż stojący u boku wściekłego Lehahiasza.

Aaron po raz ostatni rozejrzał się po Aerie i zobaczył Kamaela z Gabrielem, idących w jego kierunku. Chciał im powiedzieć, co zamierza - co musi zrobić - ale nie zatrzymał się, w obawie, że może mu nie starczyć odwagi. Będą musieli pogodzić się z jego nieobecnością.

Mając już w głowie gotowy obraz miejsca, do którego chciał się udać, Aaron złożył skrzydła i zniknął.

- *Może nas nie zauważył?* - stropił się Gabriel.

Ale Kamael wiedział, że pies się myli. Zanim Nefilim ich opuścił, zdążył jeszcze spojrzeć mu w oczy.

Upadły anioł zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, zanim przemoc w jego życiu podniesie znów swój wstrętny łeb i wkrótce skończy się dla niego okres odpoczynku. Dlatego postanowił jeszcze przez chwilę nacieszyć się spokojem.

- Co się stało? - Lorelei spytała starszą kobietę, w której Kamael rozpoznał Marjorie. W latach pięćdziesiątych uratował ją przed oprawcami Werchiela i kobieta wciąż nosiła na szyi czerwoną chustkę, na pamiątkę tamtego zdarzenia, które ocaliło jej życie.

Kobieta nerwowo załamała ręce, spoglądając w kierunku, w którym odleciał Nefilim.

- Zniknął - powiedziała z troską w głosie. - Wywiązała się między nimi sprzeczka, a potem po prostu nas opuścił. - Marjorie spojrzała błagalnym wzrokiem na Kamaela. - Czy on wróci? Czy możesz mnie zapewnić, że Wybraniec do nas wróci?

Lorelei także odwróciła się do anioła, jak gdyby miał on jakąś szczególną wiedzę na ten temat.

- Poszukajmy Belfegora - powiedział Kamael, igno-

jąc pytanie staruszki, po czym ruszył w dół ulicy. Ga-
'el podreptał tuż za nim.

Mieszkańcy Aerie byli bardzo poruszeni. Ich twarze
ały ten sam pytający wyraz, jakby chcieli jednocześnie
-pokoić ciekawość i pozbyć się obaw. Nagle Kamael
zuł na ramieniu dotyk czyjejs dłoni. Odwrócił się
zobaczył Nauczyciela. Z tego, co pamiętał, miał chyba
a imię Tumael i był ongiś członkiem chóru Księstw,
jego oczach widniały dzikość i szaleństwo, tak jak
w oczach innych, którzy go otaczali.

- Czy wiesz, dokąd on się udał - ten chłopiec? - spy-
tał nerwowo Tumael, zaciskając ze zdenerwowania dłoń
na ramieniu Kamaela. - Musimy go odzyskać. Nie mo-
żemy... pozwolić... mu odejść. Czy rozumiesz powagę
sytuacji, Kamaelu?

Kamael zdawał sobie doskonale sprawę ze stawki,
o jaką toczy się gra, ale nie mógł zaofiarować tym lu-
dziom żadnej otuchy, dopóki sam nie dowie się czegoś
więcej.

- Gdzie znajdę Belfegara? - spytał. - Muszę z nim
porozmawiać.

Anioł wskazał dom naprzeciwko, niedaleko miejsca,
w którym się znajdowali.

- Chodź, Gabrielu - Kamael zwrócił się do psa, który
cierpliwie czekał u jego boku.

Idąc w stronę domu, zobaczyli Lorelei, która zniknęła w ogrodzie na tyłach budynku. Gdy podeszli jeszcze bliżej, usłyszeli odgłosy gwałtownej kłótni, a potem ujrzeli Lehahiasza i jego córkę, którzy zaciekle się o coś spierali, żywo przy tym gestykulując. Po drugiej stronie ogrodu stał Belfegor, który – najwyraźniej nieporuszony odbywającą się tuż obok awanturą - przyglądał się młodym gałązkom jakiegoś krzewu.

- Idź i porozmawiaj z Belfegorem - Kamael zwrócił się do Gabriela. - Może powie ci, dokąd udał się Aaron.

Gabriel, machając ogonem, pobiegł w stronę Założyciela Aerie. Kamael tymczasem postanowił sprawdzić, co jest przedmiotem kłótni szeryfa i jego córki.

- Hej, ty! - Widząc zbliżającego się Kamaela Lehahiasz oskarżycielsko wskazał go palcem. — To wszystko twoja wina!

- Lehahiaszu, przestań - poprosiła Lorelei.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tutaj stało? - spytał Kamael, śledząc bacznie każdy ruch Lehahiasza, na wypadek, gdyby tamtemu przyszło do głowy wyciągnąć złote colty.

- Twój Nefilim sprowadzi na nas wszystkich śmierć! - rzucił mu w twarz szeryf, zaciskając kurczowo pięści.
- Najpierw nakładł im do głowy tych swoich bzdur... a teraz sobie poszedł. Zobaczymy, czy ten, którego

ają za Mesjasza, ocali ich przed hordami zabójców Werchiela, którzy niechybnie się tu zjawią i skręcą im karki.

- Tato, proszę. - Lorelei po raz kolejny spróbowała uspokoić wzburzonego Lehahiasza. Dotknęła delikatnie rękaw jego płaszcza, ale on brutalnie zrzucił z siebie jej dłoń.

- O co tak naprawdę ci chodzi, Lehahiaszu? - spytał
• lin ii l - O twój brak wiary, czy może jednak o coś innego?

Lehahiasz pogardliwie wyduł wargi.

- To, w co wierzę, nie ma znaczenia. - Potrząsnął smutno głową, po czym spojrzął na Belfegora i Gabriella, którzy rozmawiali w pobliżu. - Werchiel dostanie w swoje łapy to, na czym tak mu zależy - ten sukinsyn przyjdzie tu i zrówna Aerie z ziemią.

- Dokąd poszedł Aaron?

- Ratować swoją przyjaciółkę, jakąś dziewczynę. - Lehahiasz uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było nic śmiesznego ani zabawnego. - Cały osnuty zapachem, który przylgnął do niego w ciągu ostatnich trzech tygodni jak tanie perfumy. Zapach Aerie. Równie dobrze mógł zanieść Potęgom mapę z zaznaczeniem tego miejsca - sprowadzi ich tu, a wtedy zacznie się rzeź. To zdrajca, a nie żaden wybawca!

Kamael odepchnął Lehahiasza, minął go i poszedł w stronę Belfegara. Lorelei pobiegła za nim.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy ich oczy na moment się spotkały. Kamael nie był jednak pewien, czy przeprasza go za swojego ojca, czy też może jest to raz współczucia za to, co niebawem ma się stać z Aeonem.

Kamael podszedł do Belfegara, który nachylał się nad nią, żeby pogłaskać Gabriela.

- *Aaron poszedł odnaleźć Vilmę* - wyjaśnił pies, poszcząc łeb, tak żeby anioł mógł go podrapać w szyję. - *z nią rozmawia czasem przez komputer.*

- Myślę, że ona także jest Nefilimem - odezwał się w końcu Belfegor, nie przestając pieścić psa. - Kiedy Aaron odkrywał swoją drugą naturę, natrafił na jej ślad, a ona wezwała go, błagając o pomoc. - Po tych słowach przestał drapać rozczarowanego Gabriela i zwrócił się do Kamaela. - Dziewczyna została uwięziona przez Werchiela - powiedziała, rozglądając się wokół. - To naprawdę niezwykle, jak wszystko szybko się zmienia, Kamaelu - anioł uśmiechnął się z nostalgią. - Nagle okazuje się, że stoisz u wyjścia z tunelu i wprost na ciebie sunie wielka, rozpędzona lokomotywa.

- Mogłeś go powstrzymać - zareagował Kamael. - Albo znaleźć mnie i ja zrobiłbym to za ciebie...

Belfegor po raz kolejny uśmiechnął się smutno.

_To, że on odszedł, nie ma większego znaczenia. - To -iać, Belfegor ruszył przez trawę, kierując się w strodomu. Kamael i Gabriel podążyli za nim. - Aerie przemiana. I bez względu na to, czy ma to związek z przewidnią, czy też jest to po prostu ślepy los, nie mamy nią żadnego wpływu.

Mieszkańcy Aerie wciąż kłębili się na ulicach, a w ich 'ch nadal było widać strach.

- Oni też to wyczuwają, tak samo jak ty czy ja. - Belfegor wskazał na tłumek gapiów przed domem.

Zatrzymał się na środku ulicy i zamknął oczy. A potem, stęknąwszy lekko z wysiłku, sprawił, że z jego pleców wyrosły szare, mizerne i przerzedzone skrzydła.

- Chodź ze mną, Kamaelu — powiedział, wzbijając się w powietrze. O dziwo, skrzydła uniosły go bez problemu.

- Zaczekaj tu na mnie - polecił Gabrielowi Kamael, po czym rozwinął własne, potężne skrzydła i również wzbił się w niebo.

- *Tak jakbym miał jakiś wybór* - wymamrotał w odpowiedzi pies.

Był wczesny poranek, słońce dopiero zaczęło wznosić się nad horyzontem, oświetlając zrujnowaną okolicę.

- Przyjrzyj się dobrze, Kamaelu. - Belfegor, młóćąc powietrze skrzydłami, wskazał na leżące pod nimi Aerie.

- Wkrótce to wszystko się zmieni.

Kamael spojrział w dół na zniszczone, opuszczone domostwa, popękane i zaniedbane ulice, ogrodzone siatką z drutu kolczastego - i poczuł coś, czego nie doświadczył od chwili, w której opuścił niebiański raj, aby rozpocząć swoją krwawą misję. Od tysięcy lat Kamael nie miał domu - miejsca, do którego naprawdę mógłby należeć. Poczucie tej straty napełniło go wielkim smutkiem.

I teraz, unosząc się nad okolicą, były dowódca Potęg zdał sobie sprawę, czego się od niego oczekuje. Mógł okazać wdzięczność tym, którzy przyjęli go do swego grona, nie bacząc na jego mroczną przeszłość.

Kamael musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby Aerie przetrwało. I niech Bóg ma w swojej opiece każdego, kto spróbuje mu w tym zadaniu przeszkodzić.

Aaron niemal natychmiast zlokalizował miejsce, w którym była więziona Vilma. Czerwone metalowe szafki, otynkowane na kremowo popękane ściany i ręcznie namalowany plakat, zachęcający do zbiórki pieniędzy dla potrzebujących z okazji święta Dziękczynienia. Aaron rozpostarł skrzydła. Znajdował się na pustym parkingu, było wcześniej rano, a przed nim wznosił się gmach liceum Kena Curtisa. Zalała go fala niewyobrażalnej wręcz nostalgii - w jednej chwili przypomniał sobie wszystkie wspomnienia, te dobre i te złe.

Kiedy opuścił parking, kierując się w stronę ceglano-budynku, przerażające znaki na jego ciele zniknęły, podobnie jak skrzydła na plecach. Aaron pozostał jednak niewidzialny - nie chciał, by ktokolwiek nakrył go, wchodzącego do budynku, co zapewne skończyłoby się wezwaniem policji. Wspiął się po schodach prowadzących do wielkich, podwójnych drzwi, zastanawiając się, jak bardzo jego życie zmieniło się od chwili, gdy wbiegał po nich ostatni raz. Nieco ponad miesiąc temu był jeszcze uczniem tej szkoły, przygotowywał się do egzaminów maturalnych i nowego etapu w swoim życiu. / *ten nowy etap nastąpił, choć zupełnie nie tak, jak go sobie planował.* Rozmyślając nad tym, dotarł do szczytu schodów i pociągnął za masywną klamkę. Drzwi były otwarte. Wszystkie zmysły ostrzegały Aarona, że od tej pory musi się mieć na baczności.

W środku powitały go dobrze znane zapachy. Aaron przypomniał sobie swój pierwszy dzień w liceum Kena Curtisa. Nie chciał tu wracać nazajutrz, a jednak to zrobił, a z każdym kolejnym dniem było mu coraz łatwiej. Przypomniał sobie też pierwsze spotkanie z **Vilma** i wtedy dopiero zdał sobie sprawę, o jaką stawkę toczy się ta gra.

Aaron wszedł do budynku, a drzwi zamknęły się za nim z cichym skrzypnięciem. Na korytarzu, na wysoko-

ści drzwi do gabinetu dyrektora, stat anioł. Był ubrany zgodnie z oczekiwaniami Aarona: w ciemny garnitur i płaszcz prochowiec, jakby właśnie wrócił z pogrzebu. W ręce trzymał ognisty miecz.

Spodziewając się walki, Aaron dobył własną broń i poczuł, jak na jego ciele pojawiają się znów tajemnicze symbole. Zaskoczyła go łatwość, z jaką teraz dochodziło do przemiany. *Może w końcu zaczynam nad tym panować* — pomyślał w roztargnieniu.

Zamiast jednak skrzyżować z nim swój miecz, anioł odwrócił się i podszedł do drzwi wahadłowych, które znajdowały się na końcu korytarza. Pchnął je, otwierając oba skrzydła na oścież, po czym skłonił się nisko.

Aaron ostrożnie podążył w jego kierunku, bacznie obserwując anioła. Skryty w cieniu, stał bez ruchu, nie licząc ogników, które płonęły w jego ciemnych oczach. Zachował jednak milczenie, przytrzymując otwarte drzwi. Przechodząc obok, Aaron czuł na plecach jego spojrzenie, zimne i zabójcze, ale nie dał mu tej satysfakcji i nie odwrócił się. Z klas wyszli na korytarz inni aniołowie, którzy ostrzami swoich ognistych mieczy wskazywali mu drogę.

Na szczycie schodów, prowadzących w dół do podziemi stał kolejny anioł, który nakazał Aaronowi, żeby ruszył za nim. Oczywiście, że musi tam zejść - prze-

cież nie ma wyboru. Czy nie tego właśnie nauczy! się jako jednej z pierwszych rzeczy na zajęciach z literatury angielskiej - że bohater musi zawsze stawić czoło swoim demonom, zanim odniesie zwycięstwo i zasłuży na wniebowstąpienie? Tak samo jak inni aniołowie stojący na korytarzu, również i ten nie odezwał się słowem, kiedy Aaron go mijał. Nefilim pokonał kilka schodów i przystanął, żeby się rozejrzeć. Anioł za nim obserwował go z zimnym uśmiechem błakającym się na wąskich, bezkrwawych ustach.

- Do zobaczenia w drodze powrotnej - rzucił Aaron. Nie miał pojęcia, co Potęgi szykowały dla niego tam, na dole, ale nie zamierzał im pokazywać, że się boi.

Schodził dalej do podziemi, oświetlając sobie drogę ognistym mieczem. W powietrzu na dole unosi się duszący zapach chloru i Aaron przystanął na chwilę, zastanawiając się, gdzie teraz powinien skierować swoje kroki - na szkolny basen czy do sali gimnastycznej.

Zaraz jednak, jak spod ziemi, wyrósł kolejny żołnierz Werchiela, który rozwiązał jego dylemat, wskazując na drzwi sali gimnastycznej. Aaron nigdy nie przepadał za lekcjami wychowania fizycznego, dlatego wydało mu się dziwne, że Potęgi wezwały go właśnie tutaj. Jego nauczyciel wuefu, typ zapalonego sportowca, dbał tylko o tych gości, którzy byli członkami szkolnej drużyny futbolowej.

- Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu w cie - wymamrotał Nefilim, wchodząc do sali gimnastycznej. W jego głowie pojawił się dziwny obraz dwóch aniskich drużyn, rozgrywających mecz koszykówki - j z nich nie miała na sobie koszulek.

Ale wizja zniknęła równie błyskawicznie, jak się jawiła. W sali gimnastycznej panowała ciemność, j- ne światło zapewniał czerwony napis „Wyjście” i os ognistych mieczy czekających na niego wrogów. Aaron poczuł, jak uginają się pod nim nogi, pomimo tego, wewnątrz gotowała się już jego anielska moc. *Jak mog się ludzi, że dam radę tylu naraz?* Aniołowie byli wszędzie siedzieli na odkrytych trybunach, wisieli na obręczach” koszy i unosili się pod sklepieniem. Przypominali mu g **tebie**, z tą tylko różnicą, że byli od nich dużo groźniejsi.

- Czekaliśmy na ciebie - odezwał się nagle głos, od którego Aarona zaswędziała skóra - jakby oblażł go rój mrówek.

Nagle poczuł, jak z jego pleców wyrastają znów imponujące, lśniące, czarne skrzydła. Wtedy aniołowie zajmujący miejsca na trybunach rozstąpili się, ukazując swojego przywódcę - Werchiela. Siedział rozparty na drewnianym krześle, zupełnie jakby oglądał mecz. Obok leżała nieprzytomna Vilma. Aaron, trochę rozczarowany, rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł Steviego. Czuł,

z każdą sekundą jego puls staje się szybszy, a skrzydła raz silniej biją powietrze. *To jest to* - pomyślał, czując, jak istota, która mieszka w jego wnętrzu skręca się, ^niecierpliwiona. Przywódca Potęg lustrował go oczami, przypominającymi dwie lśniąca czarne perły. Aaron zauważył, że pokieraszowana twarz tamtego wciąż nosi siady pierwszej walki, którą stoczyli nad dachami Lynn.

- Puść ją, Werchielu! - Aaron wzniosł do góry płonące ostrze miecza. - Ona ci nic nie zrobiła. Zależy ci tylko na mnie.

Dowódca Potęg obrzucił pełnym niesmaku spojrzeniem nieprzytomną dziewczynę.

- I tu się mylisz, bestio - powiedział głosem, w którym brzmiało zadowolenie. - Mój problem sięga dużo dalej. - To mówiąc, dotknął delikatnie Vilnę koniuszkami palców, rozżarzonymi niczym rozpalony do białości metal. Dziewczyna zawyła z bólu.

Aaron rzucił się naprzód, rozwijając skrzydła i wzbijając się w powietrze. Ale wtedy coś wystrzeliło z boku, nim jego mózg zdążył zareagować. Ułamek sekundy później żelazna rękawica zetknęła się z jego twarzą, jednym ciosem obalając go z powrotem na parkiet.

- To, czym jesteś i co sobą reprezentujesz, to złośliwy nowotwór - Werchiel odezwał się z wysokości trybun. - Nowotwór, który zatruł cały świat.

Aaronowi dzwoniło w głowie i z trudem mógł skupić się na słowach Werchiela. Ale w jego żyłach krążyła moc Nefilima, która kazała mu wstać. Wyczuwając w pobliżu obecność wroga, który go powalił, Aaron odruchowo ciął mieczem, ale ostrze natrafiło jedynie na powietrze.

—Wydaje mi się jednak, że znalazłem lekarstwo na tę chorobę. - Aaron usłyszał, jak Werchiel schodzi z trybuny.

Kolejny cios spadł z tyłu na jego kark, z taką siłą, że Aaron w pierwszej chwili myślał, że napastnik przetrącił mu kręgosłup. Obrócił się na plecy i zobaczył nad sobą przerażającego wojownika, zakutego od słów do głów w pancerną zbroję w kolorze świeżo rozlanej krwi.

- Oto Malak - odezwał się gdzieś w pobliżu głos Werchiela. - On zada ci śmierć - cielesną i duchową.

Kiedy Aaron przyjrzał się zakutej w zbroję postaci, która lewitowała nad nim, doszedł do wniosku, że Werchiel może mieć rację.

ROZDZIAŁ 10

Opancerzony wojownik, zwany Malakiem, wzbił się w powietrze i dobył miecz z ciemnego metalu. Światło gorejących ostrzy Potęg tańczyło na klindze tej niezwyklej broni, która wyglądała, jakby została wykuta z tego samego surowca, co magiczne kajdany, które Aaron nosił w Aerie. Ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ Malak opuścił ostrze, wyraźnie zamierzając rozplątać mu czaszkę.

Aaron przeturlał się na bok, a następnie - naprężając potężne skrzydła - stanął na nogi i wyprowadził cios.

Ostrze jego broni trafiło Malaka w ramię, krzesząc snop iskier. Nie zrobiło to jednak na przeciwniku żadnego wrażenia i chwilę później Malak rzucił się do kontrataku, tym razem, zamiast miecza, dzierżąc oburącz długą włócznię z tego samego niezwykłego metalu. Uderzył Aarona drzewcem, raniąc go w policzek. Nefilim zatoczył się w bok i kątem oka zobaczył, że zakuty w zbroję wojownik rzuca się w przód, celując prosto w niego śmiertelnie ostrzem.

Działając niemal instynktownie, Aaron w mgnieniu oka sparował cios, odrabując ostrze włóczni od drzewca. Potem obrócił się i wyprowadził kontrę, celując w serce Malaka. Aarona zadziwiła szybkość, z jaką się poruszała, i płynność ruchów. Nie czuł już wewnętrznej walki, jaką wcześniej toczyły ze sobą anielska i ludzka część jego natury. Teraz nie było zresztą czasu na refleksje.

Malak odrzucił resztki połamanej włóczni i złapał za opadające ogniste ostrze miecza Aarona, zatrzymując je kilka centymetrów przed swoją opancerzoną pierśią. Aaron natarł na niego z całych sił, ale siła Malaka była niewiarygodna. Jego zakuta w żelazną rękawicę ręka jaśniała białym światłem w kontakcie z niebiańskim ogniem miecza. Rozbłysł oślepiający blask, który odrzucił obydwu wojowników do tyłu. Aaron otrząsnął się i ujrzał połamane ostrze swego miecza. Najzwyczajniej

w świecie Malak zniszczy! jego niebiański oręż. Aaron błyskawicznie zerwał się na nogi, widząc, że jego przeciwnik już stoi i rozciera dłoń, która powstrzymała gorące ostrze. Pancerna rękawica zdążyła już wystygnąć i wróciła do swojego pierwotnego koloru rudy żelaza.

Raptem powietrze przeszył niezwykle dźwięk. Malak śmiał się - wysokim chichotem, który bardziej przypominał Aaronowi śmiech małego dziecka, rozbawionego kreskówkami w telewizji, niż żadnego krwi wojownika. Po chwili Malak przestał się śmiać, równie nagle, co zaczął, a w jego dłoni pojawiły się ostre jak brzytwy, metalowe gwiazdki do rzucania. Aaron usłyszał, jak ich powierzchnie zgrzytają o siebie, a potem Malak pochylił się i wypuścił je z ręki. Aaron rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze. Gwiazdki trafiły prosto w żołnierzy Werchiela, którzy mieli pecha, stojąc obok i obserwując toczącą się walkę.

Aaron poszybował w tył, nie spuszczać oczu z opancerzonego wojownika, który nie dawał za wygraną i szykował już kolejny atak. Zapomniał się jednak i po chwili uderzył plecami w coś twardego. Instynktownie zmateriałizował w ręce kolejny miecz i ciął na oślep, chcąc zablokować ewentualny cios. Aniołowie rozpięzli się na boki z nienawistnym sykiem, gdy ostrze przecięło metalowe podpory kosza i tablica runęła na parkiet.

Nieco oszołomiony, Aaron spuścił na moment Małaka z oczu. Wojownik w krwawej zbroi zarzucił na niego sieć z cienkich, elastycznych żyłek, wykonanych z tego samego metalu co broń. Ciężarki, znajdujące się na końcach żyłek, spętały mu skrzydła i Aaron runął na ziemię, lądując na zrzuconej przed chwilą tablicy do kosza Malak zaatakował, chcąc dobić swoją ofiarę. Tym razem w dłoni ścisnął zakrwawiony sztylet, noszący ślady wcześniejszych zbrodni.

Aaron skoncentrował się na nowej broni i w jego ręce pojawił się jeszcze jeden miecz, pod wpływem którego sieć zaczęła się topić. Lecz zanim zdążył się całkowicie oswobodzić, Malak już go dopadł. Aaron próbował się wyrwać, ale resztki sieci i ciężar siedzącego na nim nastpnika wciąż krępowały jego ruchy. Ostrze sztyletu zagłębiło się w zranionym przez Lehahiasza ramieniu. Aaron wrzasnął z bólu, wierzgając dziko i starając się zrzucić z siebie Malaka. W końcu udało mu się rozciąć sieć na tyle, by jakoś się spod niej wyczołgać.

Wydostawszy się z pułapki, Aaron ujrzał widok, który zmroził mu krew w żyłach. Skryty za szkarłatną zbroją wróg podniósł sztylet do ust i zlizął z ostrza krew Nefilima. Przez moment Aaron zastanawiał się, z jakim potworem przyszło mu się zmierzyć. Przypomniał sobie to, co mówił Kamael, że Potęgi chętnie wykorzystywały do swoich nie-

nych polowań ludzi kalekich i niepełnosprawnych. Pomyślał o swoim przyrodnim bracie, szykując się do odparcia kolejnego ataku Malaka i innych, którzy zechcieliby mu w tym pomóc. Mimo iż ramię paliło go żywym ogniem, Aaron zacisnął dłoń na rękojeści miecza i skierował ostrze w stronę czekającego po przeciwnej stronie sali wroga.

- Zakończmy to - zadudnił potężnym i władczym głosem Nefilima.

W odpowiedzi Malak znowu zachichotał. Sztylet, który trzymał, zniknął, a w jego miejsce pojawił się dwuręczny topór bojowy. Zakuty w szkarłatną zbroję wojownik przerzucił go z ręki do ręki, jakby ważył tyle co piórko.

- Pieeekne - zaszczebiotał zza krwawej maski.

Pieeekne.

To słowo uderzyło Aarona z nie mniejszym impetem niż kula z rewolweru Lehahiasza. Nefilim w szoku opuścił broń.

- Coś ty powiedział? - spytał szkarłatnego zabójcę.

Odpowiedzią był kolejny wybuch dziecięcego śmiechu, który szarpał nerwami Aarona jak strunami harfy.

- Co się stało, Nefilimie? - Werchiel odezwał się z fałszywą troską w głosie.

Aaron spojrział w jego stronę. Dowódca Potęg stał na trybunach, z dłońmi splecionymi na plecach, otoczony wianuszkami swoich aniołów. Jeden z nich trzymał wianuszek przerzucony przez ramię, jakby była workiem ziemniaków.

- Czyżby jakieś skojarzenie?

Malak nagle znalazł się tuż przed Aaronem, biorąc potężny zamach toporem. Aaron odskoczył w porę, nie spuszczać wzroku z postaci, którą miał teraz tuż przed sobą, jak na wyciągnięcie dłoni. W głowie dzwoniło mu tylko to jedno słowo.

Pieekne.

Opadające ostrze topora wbiło się z impetem w parkiet sali gimnastycznej, ale Malak wyciągnął je błyskawicznie i zaatakował ponownie. Tym razem jednak Nefilim nie uchylił się, lecz sparował cios swoim ognistym mieczem.

- Dlaczego wymówiłeś to słowo? - syknął, wyprowadzając kontruderzenie.

Malak zachichotał jak dziecko, nurkując pod ostrzem Aarona.

- Dlaczego to powiedziałaś?! - wrzasnął Aaron, zmrożony myślą, która powoli zaczęła kształtować się w jego głowie. Jego ataki stały się coraz gwałtowniejsze i Malak zaczął się wycofywać, zasypywany gradem ciosów. Cały

f czas jednak z zaskakującą łatwością unikał uderzeń ognio-
i stego miecza Nefilima bądź je odbijał.

Werchiel roześmiał się rubasznie - jego śmiech przypominał krakanie ścierwożercy.

Aaron ciął mieczem z góry, ale Malak zrobił unik, po-
i czym zablokował ostrze stopą, przygważdżając je do pod-
łogi, i z całej siły zamachnął się toporem. Aaron poczuł,
jak ostrze przecina mu koszulę na brzuchu i skórę pod
nią. Odruchowo rzucił się w tył, pozostawiając miecz,
który zniknął jak spadająca gwiazda. Powoli dotknął
ręką brzucha, a kiedy podniósł dłoń, zobaczył, że ko-
niuszki jego palców są w tym samym kolorze, co zbroja
Malaka.

Widok własnej krwi i rechot Werchiela wyzwoliły
w Aaronie jeszcze większe pokłady agresji. Poczuł, jak
moc Nefilima opanowuje każdy mięsień, każdą komór-
kę jego ciała. Jeżeli miał przeżyć tę walkę, musiał zaufać
naturze wojownika, którą odziedziczył po swoim aniel-
skim ojcu. Musiał pokonać tego zakutego w czerwony
pancerz zabójcę, chociaż nie mógł przestać myśleć o sło-
wach Werchiela.

Czyżby jakieś skojarzenie?

Malak natarł po raz kolejny, wznosząc topór do cio-
su. Aaron skoczył naprzód - gotów odeprzeć jego atak.
Zanurkował, łapiąc łowcę za opancerzone golenie i obaj

runęli na ziemię w obłoku kurzu. Malak nie wypuścił z rąk topora, którym starał się zrzucić z siebie napastnika, ale Aaron był zbyt blisko, co uniemożliwiało użycie tak ciężkiej broni w walce wręcz. Moc Nefilima wydała z siebie przeraźliwy okrzyk bojowy i Aaron poczuł, jak jego ciało napełnia niespotykana dotąd fala energii, bombardująca i wyostrajająca każdy z jego zmysłów. *To musi być właśnie to, o czym mówił Kamael — zjednoczenie dwóch natur: ludzkiej i anielskiej.* Aaron czuł się wspaniale - po raz pierwszy od dnia swoich osiemnastych urodzin, gdy odkrył swoje nowe przeznaczenie, miał poczucie kompletnego spełnienia.

Aaron Corbet stanął pewnie na nogi i wyrwał topór z rąk Malaka.

- To koniec - warknął, nachylając się nad leżącym wojownikiem z toporem w dłoni, po czym spojrzał na Werchiela i jego gwardię przyboczną. Znaki na jego ciele pulsowały własnym życiem, a imponujące skrzydła rozwinęły się w całej okazałości. *Ależ to musi być widok!* - pomyślał, upojony osiągniętą perfekcją.

- Tak, masz rację. - Werchiel beztrąsko skinął głową. - Mam już dosyć tych gier. Malak, ukaż mu swoje oblicze.

Aaron chciał wrzasnąć na pokonanego wojownika, by tego nie robił, ale głos uwiązł mu w gardle. Patrzył więc.

w niemym przerażeniu, jak Malak sięga ręką i zdejmuje szkarłatny hełm z głowy.

- Widzisz teraz, z kim walczyłeś, Nefilimie? - spytał Werchiel, podchodząc bliżej, w asyście swoich ochroniarzy.

- Nie! - krzyknął Aaron, nie mogąc oderwać wzroku od znajomych rysów twarzy młodego człowieka, który leżał pod nim. Wydawał mu się obcy, a jednocześnie tak znajomy. - Ty sukinsynu! Coś ty mu zrobił!

- Z pomocą magii Archontów zamieniliśmy tę ograniczoną ludzką istotę w precyzyjną maszynę do zabijania - wyjaśnił spokojnie Werchiel.

Malak spojrział na Aarona oczami, w których kiedyś krzyła się dziecięca niewinność, a teraz płonęła tylko -"iertelna nienawiść. W tych oczach kryły się śmierć i zniszczenie. To był wzrok bezwzględnego, zawodowego zabójcy. Nagłe odkrycie wstrząsnęło Nefilimem jeszcze bardziej, niż przypuszczał.

Topór wyślizgnął się z ręki Aarona i z hukiem upadł parkiet sali gimnastycznej.

- Stevie? - spytał drżącym szeptem, chociaż jeszcze rzed chwilą wydawało mu się to niemożliwe. Zmusił znaki na ciele i skrzydła na plecach, żeby zniknęły chwilę. - To ja - powiedział, dotykając drżącym, zawionym palcem swojej klatki piersiowej. Przez gło-

wę przelatywały mu tysiące obrazów i myśli zwi-
z autystycznym dzieckiem; wydawało mu się, że dc-
do niezmiernie odległej przeszłości sprzed setek, a m-
nawet tysięcy lat. — To ja - Aaron - powiedział, p-
młodzieńcowi dłoń.

Na początku w bezwzględnych, zimnych oczach
dojrzał niczego, nawet śladu zrozumienia. Aaron
wrażenie, że spogląda w ślepią jakiejś dzikiej bestii,
po chwili Malak zamrugał, a wyraz jego twarzy sug-
wał, że być może rozpoznał swego brata.

Trwało to jednak najwyżej kilka sekund. Zak
w szkarłatną zbroję wojownik potrząsnął głową, a na
go usta powrócił idiotyczny uśmiezek.

- Nie, nie Stevie - odparł, sięgając ręką gdzieś w
wietrze i materializując w niej przerażającą, średni
wieczną maczugę. - Jestem Malak! - wrzasnął, po c-
zdzilił Aarona maczugą w głowę, zanim Nefilim zd-
w ogóle zareagować.

Aaron upadł na parkiet, a świat zawirował mu prz-
oczami. Wszystkie jego zmysły jakby się rozsypały. Po-
trząsnął głową i powoli dźwignął się z ziemi na kola-
na. Krew z rozciętej głowy zalewała mu czoło, czuł jej
charakterystyczny ostry zapach. Kiedy przejrzał na oczy,
zobaczył, że Werchiel i jego żołnierze otoczyli walczą-
cych ciasnym kołem. W sali gimnastycznej panowała

ha cisza, jedyny dźwięk wydawały kroki zbliżające-
Lsię Malaka w pancernej zbroi. Aaron znów zmuszony
ł **dobyć** nowej broni.

Spoglądał w twarz swojego brata-mordercy i widok
i napawał go bezgraniczną rozpaczą. Wolał nie my-
, co Potęgi z nim zrobiły, nie chciał znać bólu ani
•*jachu*, przez które to dziecko musiało przejść. Ale
zede wszystkim czuł wyrzuty sumienia, że nie uda-
) **mu** się obronić go przed tym strasznym losem.

Bez entuzjazmu wzniosł ponad głowę miecz, płoną-
f ognistym blaskiem.

-Ja... nie chcę tego zrobić - wyjąkał.

Malak odpowiedział mu strasznym uśmiechem i Aaron
pomniał sobie, jak kiedyś przyniesiono do lecznicy,
t której pracował, chorego na wściekłą szopa. Wtedy
Inie dało się już nic zrobić dla tego zwierzęcia i Aaron
zdał sobie sprawę, że teraz ma do czynienia z podobną
I sytuacją.

- Tak mi przykro — wyszeptał, kiedy Malak rzucił się
f na niego z maczugą wzniesioną do ciosu. Aaron odbił
uderzenie, ale zawahał się na moment. To dało czerw-
nej bestii czas na przypuszczenie kolejnego ataku, i tym
razem maczuga uderzyła w zranione ramię Nefilima.
Aaron ryknął z bólu i próbował się cofnąć, ale za plecami
napotkał żywą ścianę z żołnierzy Werchiela.

- Oto twój koniec, Nefilimie - warknął dowódca P tęg. - Czas wyleczyć ten świat z zarazy, którą jesteś. - To mówiąc, Werchiel spojrział na nieprzytomną Vilnę, przerzuconą przez ramię jednego ze swoich żołnierzy, wyciągnął rękę i z szyderczym uśmiechem dotknął jej kruczoczarnych włosów. - Miejmy nadzieję, że ona przeżyje rytuał oczyszczenia.

Ramię Aarona pulsowało z każdym gwałtownym uderzeniem jego serca i utrzymanie miecza sprawiało mu coraz większą trudność. Dręczyła go myśl: *Może powinienem posłuchać Belfegara?* Ale było za późno na takie przemyślenia. Aaron stracił już brata, nie zamierzał tracić też Vilny.

Wyzute z emocji, czarne oczy Werchiela spoczęły na nieludzkim tworze.

- Zabij to wynaturzenie i miejmy tę sprawę z głowy.

Malakowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Rzucił się na Nefilima z bronią gotową do ciosu i twarzą wykrzywioną w dzikim grymasie. Po raz kolejny mieli odtańczyć taniec śmierci, gdy nagle sala gimnastyczna i cały gmach szkoły rozbrzmiał echem potężnego głosu.

- Nefilim znajduje się pod moją ochroną!

Malak zatrzymał się w pół kroku, a strażnicy Potęg zaczęli rozglądać się niepewnie, szukając źródła tego władczego, nieznoszącego sprzeciwu tonu. Aż wreszcie

I w drzwiach do sali gimnastycznej ukazała się potężna, [budząca grozę sylwetka Kamaela, który stał tam bez ruchu w towarzystwie wiernego Gabriela.

- / *pod moją również* - z pyska labradora wydobył się gardłowy warkot.

- W takim razie zginiecie wraz z nim - rzucił Werfchiel, dobywając swojego miecza.

Wszystko nagle zamarło, a w powietrzu zawisło napięcie tak gęste, że niemal dało się go dotknąć. Wtedy Vilma zaczęła krzyczeć - z jej ust wydobył się przeraźliwy skowyt, który stanowił dramatyczne preludium do tego, co za chwilę miało się tu wydarzyć.

Wciąż przewieszona przez ramię jednego z gwardzistów Werchiela, Vilma przebudziła się. I było to przebudzenie bolesne. Jej krzyk mroził krew w żyłach. Brzmiało w nim czyste przerażenie i Aaronowi ze współczucia o mało nie pękło serce. Ale nie miał już czasu przejmować się strachem dziewczyny, ponieważ jej wrzaski zadziały jak wystrzał z pistoletu startowego, dając sygnał do wybuchu nieuniknionego konfliktu.

Pierwsi zareagowali żołnierze Potęg. Z charakterystycznymi ptasimi krzykami wzbili się w powietrze, młóćąc dziko skrzydłami, z dłońmi zaciśniętymi na rękojeściach ognistych mieczy. Kamael poszedł w ich śla-

dy, gotowy stawić czoła pierwszym wrogom w powietrzu nad parkietem sali gimnastycznej.

Malak odwrócił się do Aarona. Na jego bladej twarzy błąkał się zjadliwy uśmiech. Wzniósł maczugę do ciosu, ale tym razem Aaron okazał się szybszy. Jednym machnięciem skrzydeł odrzucił napastnika na bok. W bitewnym chaosie poszukał wzrokiem Viłmy, która miotła się w uścisku swojego anielskiego strażnika. Próbując zapomnieć choć na chwilę o palącym bólu w głowie i ramieniu, Nefilirn ruszył w stronę dziewczyny i jej oprawcy, uważając po drodze, by nie nadepnąć na któreś z płonących ciał strażników Potęg, którzy, jeden po drugim, ginęli z ręki Kamaela.

W pewnym momencie Aaron dostrzegł kątem oka jakiś ruch i odruchowo odchylił się, unikając w samą porę ciosu, który rozplątałby mu czaszkę. Znow stanął twarzą w twarz z Malakiem. Krwawy łowca podnosił już olbrzymie ostrze, by zadać kolejne pchnięcie, ale Aaron w porę sparował cios, tak potężny, że mógłby bez trudu przeciąć zakutego w zbroję człowieka. Malak podskoczył, błyskawicznym ruchem wbił opancerzone kolano w żebra swego przeciwnika. Aaron krzyknął z bólu, ale odpowiedział w podobny sposób, roztrzaskując napastnikowi nos łokciem.

Wojownik na usługach Potęg zatoczył się do tyłu. Podniósł rękawicę do twarzy i ze zdumieniem przyjrzał się

własnej krwi, ściekającej między palcami. A potem zaczął się śmiać. Sięgnął oburącz do swego magicznego arsenału i wydobył dwa zakrzywione miecze, rodem ze starożytnego Bliskiego Wschodu.

- Nieźle - powiedział, patrząc, jak z nosa kapie mu strużka ciemnej krwi, po czym z niewyobrażalną furią rzucał się na Aarona, mierząc w niego obiema szablami jednocześnie- Jego agresja zdawała się wszechogarniająca.

Nagle, tuż obok, rozległ się głuchy warkot i między Nefilimem a Malakiem znalazł się Gabriel. Aaron patrzył niemal zahipnotyzowany, jak jego najlepszy czworożony przyjaciel rzuca się z całym impetem na Malaka, który pod wpływem ciężaru psa stracił na chwilę równowagę.

- *Ratuj Vilinę* - szczechnął Gabriel, waląc swoim kwadratowym łbem prosto w czoło zabójcy Potęg.

Parkiet sali gimnastycznej był dosłownie zasypywany piętrzącymi się trupami żołnierzy Werchiela. Aaron zdołał jednak dostrzec Vilinę, stawiającą opór swojemu prześladowcy. Anioł Potęg jedną ręką ścisnął ją za nadgarstek, w drugiej zaś trzymał płonący sztylet. Aaron rzucił się w jego stronę, ale stanął jak wryty, kiedy drogę zastąpiła mu przerażająca postać Werchiela.

- Nie zapomniałem o tobie, zwierzęca bestio - warknął dowódca Potęg, a blizny na jego dotąd nieskazitel-

nie białej twarzy zapłonęły purpurą. Niczym jakiś prehistoryczny ptak, Werchiel rozłożył potężne skrzydła i uniósł się w górę. - Spodobał mi się nawet ten pomysł, żeby zabić cię osobiście.

Nefilim rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Vilmy, po czym odwrócił się znowu twarzą w stronę Werchiela. Przyjął postawę obronną i wznosił miecz.

- W takim razie na co czekasz? - zawołał, wiedząc, że nic i nikt nie powstrzyma go od ratowania dziewczyny.

Wtedy niebiosajak gdyby wysłuchały jego prośb. Z góry runął w płomieniach jeszcze jeden anioł, który wylądował wprost na głowie swojego dowódcy, przewracając go na ziemię. Aaron zobaczył Kamaela w zniszczonym i poszarpanym garniturze, przez który widać było skórę zbrukaną krwią tych, którzy polegli z jego ręki.

- Ratuj dziewczynę! - krzyknął Kamael, po czym odwrócił się, by stawić czoła kolejnym gwardzistom Werchiela.

Anioł, który wcielił w uścisku Vilmę, coraz bardziej zbliżał ognisty sztylet do jej gardła. Twarz oprawcy wykrzywił morderczy grymas i Aaron wiedział, że może nie zdążyć. Pomyślał o ognistej włóczni, która natychmiast zmaterializowała się w jego dłoniach. Nie namyślając się długo, cisnął nią w stronę wroga i patrzył z satysfakcją, jak ostrze zatapia się w jego karku, odrzucając anioła na bok i przyszpilając go do jednej z trybun.

Aaron ruszył z miejsca.

- Vilma! - zawołał. Dziewczyna była w szoku. Zataczała się, z przerażeniem patrząc na brutalne sceny, które rozgrywały się na jej oczach. Aaron zawołał ją po raz drugi i wtedy odwróciła się w jego stronę. W jej oczach widniał tylko strach.

Aaron zatrzymał się przed nią.

- To ja - powiedział, siląc się na łagodny ton. Vilma gapiła się na niego bez słowa, a na jej twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie. No tak, Aaron w niczym nie przypominał teraz chłopca, z którym żegnała się kilka tygodni temu na korytarzu liceum Kena Curtisa. Ale Aaron wiedział też, że nie ma czasu na wyjaśnienia. Teraz musiał ją tylko wyciągnąć. Żyją. - To ja, Aaron - spróbował znowu, powoli wyciągając rękę.

Vilma zamrugała, a potem rzuciła się biegiem w stronę drzwi. Aaron dogonił ją kilkoma machnięciami skrzydeł i wziął w ramiona.

- Proszę - złapał ją mocno. - Wysłuchaj mnie.

Vilma walczyła, bijąc, kopiąc i szarpiąc się w jego uścisku. Odwróciła się do Aarona i zaczęła okładać go pięściami.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczała.

- *Vilma, to naprawdę ja* - Aaron przemówił do niej w jej rodzimym portugalskim. - *Jestem tu, żeby ci pomóc.*

Na moment Vilma przestała walczyć i spojrzała mu w oczy, jakby szukając w nich kłamstwa.

- *Proszę, Vilmo* - Aaron nie dawał za wygraną. - *Musisz mi zaufać.*

Vilma osunęła mu się w ramiona, wyczerpana walką.

- Chcę się obudzić - szepnęła przerażonym głosem.
- Pozwól mi się obudzić...

Z gigantycznej eksplozji na samym środku sali gimnastycznej wyszedł Werchiel. Jego osmalona twarz sprawiała wrażenie szalonej. Wokół piętrzyły się dymiące stosy ciał jego poległych żołnierzy.


- Aaronie! - rozległ się głos Kamaela, który cisnął w stronę dowódcy Potęg kolejnego trupa. - Bierz dziewczynę i uciekajcie!

Z drugiego końca sali nadbiegł także Gabriel.

- *Kamael ma rację, w nogi!*

Piękne, biskoptowe futro labradora było skąpane we krwi i Aaron zastanawiał się, w jaki sposób psu udało się zatrzymać niepokonanego Malaka. Spojrzał w górę, na Kamaela. Liczba gwardzistów Werchiela stopniała do zaledwie pięciu, lecz anielski wojownik, którego Aaron nazywał swoim przyjacielem, nie zamierzał złożyć broni.

- Kamaelu! - wrzasnął, zarzucając sobie Vilmę na ramię i przywołując do nogi psa, po czym wskazał aniołowi, żeby do nich dołączył.



- Zostaw mnie! - odkrzyknął były dowódca Potęg, stracając głowy dwóch siepaczy Werchiela.

- Nefilirnie! - ryknął Werchiel ze środka pogorzeli-ska i ruszył w jego kierunku.

Jeżeli mieli się stąd wydostać wszyscy razem, nie było chwili do stracenia. Aaron jeszcze raz spojrzął w górę.

- Kamaelu, proszę!

- Uciekaj stąd! - rozkazał anioł. - Zbyt wiele zależy do twojego życia. Idź. Już! - To mówiąc, Kamael rozłożył skrzydła i runął z góry wprost na Werchiela.

Aaron chciał zostać, ale kiedy spojrzął na drżącą w jego ramionach Vilmę, znaczenie słów Kamaela zaczęło powoli do niego docierać. Od niego zależało życie mieszkańców Aerie - jeżeli rzeczywiście był Wybrańcem z przepowiedni, był im to winien. Mimo iż w środku czuł ból, wiedział, że Kamael ma rację. Musiał uciekać.

- *Aaronie, powinniśmy wracać* - odezwał się Gabriel. Aaron czuł przy nodze ciepło jego futra.

- Chyba masz rację - odparł. Po raz ostatni spojrzął na walczących, a potem rozpostarł czarne skrzydła i zakrył nimi siebie, Vilmę i Gabriela.

- Nefilirnie! - usłyszał jeszcze wściekły wrzask Werchiela, gdy już wyobrażał sobie obraz Aerie w głowie.

- Nie uciekniesz przede mną!

Wtedy wszystko zniknęło.

ROZDZIAŁ 11

Ogniste miecze zderzyły się ze sobą w ogłuszającym huku, który przypomniiał Kamaelowi odgłosy towarzyszące aktowi Stworzenia. Z ostrzy kapary ogniste jęzory, które oświetlały twarze wykrzywione w grymasie śmiertelnego boju.

Kamael ze współczuciem przyglądał się oszpeconej twarzy swojego wroga - niegdyś pięknej istoty, która wiernie służyła Bogu, ale potem z niewiadomych powodów zatraciła się w tym, co robiła. Kamael również nosił blizny - ale tkwiły one głęboko wewnątrz

niego, jako wieczne świadectwo ofiary, którą poniósł, obierając taką, a nie inną drogę. Nie byt to jednak czas na filozoficzne rozważania - Kamael miał do wykonania zadanie. Musiał zniszczyć swojego śmiertelnego nieprzyjaciela.

- Poddaj się, Kamaelu, a dopilnuję, żebyś został potraktowany w sposób sprawiedliwy - warknął Werchiel, krzyżując z nim ostrze swojego miecza. - Przynajmniej tyle mogę zrobić dla tego, którego nazywałem kiedyś moim przyjacielem.

Kamael odtrącił broń wroga. Sam też odskoczył do tyłu, pomagając sobie złotymi skrzydłami.

- Przyjaciela, Werchielu? - spytał, lądując na ziemi półtora metra dalej. - Jeżeli tak traktujesz swoich przyjaciół, to boję się pomyśleć, jaki los spotyka twoich wrogów.

Gęsty, czarny, gryzący dym, unoszący się z ciał zabitych żołnierzy Potęg, wywołał alarm przeciwpożarowy; włączyły się też automatyczne zraszacze.

- A cóż to takiego - czyżby poczucie humoru? - zadrdził Werchiel, wzbijając się w powietrze potężnymi ruchami skrzydeł. - Rzeczywiście, przebywasz w towarzystwie tych małąp zdecydowanie za długo - stwierdził chłodno. - Dla Boga i jego niebiańskich dzieci coś takiego jak poczucie humoru nie istnieje.

Kamael również uniósł się w powietrze, dotrzymując kroku swojemu nieprzyjacielowi.

—Aaron często mówił, że brakuje mi poczucia humoru - odparł, rzucając się do ataku. - Ciesz się, że się mylił.

Werchiel sparował cios Kamaela i natarł na niego z furrią, boleśnie raniąc anioła w ramię.

- Posłuchaj sam siebie - syknął. - Podobieństwo do tych bestii wydaje się sprawiać ci przyjemność. Czuję do ciebie odrazę.

Napędzany gniewem i bólem, Kamael zaatakował ponownie, zasypując Werchiela gradem ciosów. Dowódca Potęg zaczął się cofać.

- Zapomniałeś już, jak było kiedyś? - wycodził Werchiel, blokując jedno uderzenie za drugim. - Gdy ramię w ramię wypełnialiśmy postanie naszego Boga? Nikt nie mógł się z nami równać. Byliśmy wcieleniem Porządku przed którym zginały się karki sług Chaosu.

Kamael odchylił głowę, unikając ostrza, które świsnęło mu niebezpiecznie blisko krtani.

—Dopóki sami nie staliśmy się tym, z czym walczyliśmy. - To mówiąc, przerwał na chwilę atak, mając nadzieję, że Werchiel usłyszy jego słowa. - Siewcami zniszczenia i strachu. Sługami Chaosu.

Oczy Werchiela otworzyły się ze zdumienia.

- Czyżbyś aż tak dał się oślepić swoim chorym wiedzom, że nie widzisz, co staram się osiągnąć?

W jego dłoni pojawił się ognisty bicz, którym Werchiel bez namysłu wystrzelił w stronę Kamaela. Bat owinął się ciasno wokół szyi anioła i zaczął stopniowo wgryzać się w jego ciało. Ból był nie do zniesienia i Kamael czuł, jak Werchiel przyciąga go ku sobie.

- To ta przeklęta przepowiednia sprowadziła zagładę - rzucił Werchiel, wlokąc Kamaela na ognistym postronku. - Wiara w odkupieńczą moc Nefilima wywołała tylko chaos. Moim zadaniem jest powstrzymać tę lawinę szaleństwa.

Zapach własnego palonego ciała wywołał w Kamaelu furję. Anioł rozpaczliwie młócił powietrze skrzydłami, starając się zachować bezpieczną odległość od swojego przeciwnika. W końcu udało mu się przeciąć mieczem ognisty bicz i uwolnić się z pułapki.

- Dlaczego nie potrafisz stawić czoła prawdzie? - wyrzucił z siebie. - Im bardziej starasz się zaprzeczyć przepowiedni, tym bardziej wydaje się ona realna.

Po tych słowach Kamael zanurkował w dół, prosto w najgęstszy dym. Nie słyszał już wycia alarmu przeciwpożarowego, ale woda ze zraszaczy koiła ranne gardło. Wylądował na parkiecie i zmusił swoje ciało, by goiło się szybciej. Zostało niewiele czasu. Zaalarmowa-

ni ludzie będą tu lada moment, dlatego należało zakończyć bitwę tak szybko, jak to możliwe, gdyż Werchiel nie zawaha się przelać więcej niewinnej krwi w pogoni za swoim celem.

Szukając wroga w unoszącym się nad jego głową dymie, Kamael pomyślał o Aaronie, Aerie i o wszystkich, których uratował z rąk Werchiela i jego oprawców. Czy nit *dosyć już tego?* Wszystkie okropne czyny, których dopuścił się kiedyś w imię Boga, będąc przywódcą Potęg, napawały go wstydem i Kamael zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie sam sobie wybaczyć. Czy *zabicie Werchiela i spełnienie się przepowiedni wystarczy?* Przekraczał spopielone ciała martwych gwardzistów Straży Anielskiej, wciąż przeszukując pomieszczenie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak ruchu.

- Czy zdradziłem ci już mój plan, dotyczący tego świata? - usłyszał nagle.

Kamael zastygł z mieczem gotowym do ciosu. Próbował dostroić swoje zmysły do otoczenia, lecz wyjący alarm przeciwpożarowy i spadający z góry sztuczny deszcz skutecznie je stępiły.

- Widzę świat pełen uległości i posłuszeństwa. - Głos Werchiela zdawał się zmieniać swoją lokalizację w dymie. - Świat, w którym to moje słowo stanowi prawo.

Kamael lustrował spojrzeniem spowijający go dym.

- Chciałeś chyba powiedzieć - słowo Boga?

Dym z prawej strony rozstąpił się nagle, ustępując miejsca przerażającej postaci dawnego towarzysza Kamaela w chórze Potęg. W dłoni Werchiela jarzyła się włócznia, utkana z pomarańczowych języków ognia.

- Słyszałeś dobrze, co powiedziałem - odparł Werchiel, biorąc zamach.

Kamael odskoczył, blokując nadlatujący pocisk. Gdy jednak patrzył, jak włócznia rozpływa się w powietrzu, nagle wyczuł za plecami jeszcze czyjaś obecność. Raptownie przerzucił miecz z prawej ręki do lewej i odwracając się na pięcie, ciął z całych sił niewidocznego wroga.

Ostrze Kamaela zetknęło się z pancerzem w kolorze świeżo rozlanej krwi i pękło, rozsypując się w drobny mak. *To musi być magia* - pomyślał, na chwilę dając się zaskoczyć. Miał właśnie sięgnąć po inną broń, kiedy poczuł uderzenie z tyłu. Spojrzał w dół i zobaczył rozpalone do białości ostrze miecza, które ugodziwszy go w plecy, wyszło pomiędzy żeber, wywołując fontannę krwi, po czym niewidzialny napastnik brutalnie wyrwał je z powrotem.

Kamael obrócił się, wydając z siebie budzący przerażenie ryk bólu i wściekłości. *Jak mogłem zapomnieć o łowcy?* - skarcił w myślach sam siebie, dobywając kolejnego miecza, by oddać cios tchórzowi, który zaatakował go

z tyłu. Werchiel zablokował jednak jego uderzenie mieczem, który wyciągnął z pleców anioła.

- Wiesz, co sobie myślę, Kamaelu? - spytał głosem ociekającym szaleństwem.

Kamael stłumił okrzyk, kiedy kolejne ostrze, tym razem wykute z żelaza, zatopiło się w jego plecach. Nagle anioł poczuł, że z każdą chwilą staje się coraz słabszy. Magia zaklęta w ostrzu sztyletu stopniowo wysysała z niego siły. Słyszał za plecami głośny oddech zakutego w zbroję mordercy, jakby podniecił go ten tchórzliwy akt barbarzyństwa.

- Myślę, że Stwórca postradał zmysły - ciągnął dalej Werchiel konspiracyjnym tonem. - Dał sobie zatruć umysł tymi bredniami o przepowiedni i zwariował.

Po tych słowach Werchiel podszedł bliżej, patrząc, jak Kamael upada na kolana. Anioł chciał wstać i bronić się, ale broń, wciąż tkwiąca w jego ciele, skutecznie mu to uniemożliwiła.

- Trucizna przeniknęła do jego umysłu do tego stopnia, że Stwórca uwierzył, iż to, co się teraz dzieje, jest prawdą. Jak inaczej wyjaśnić jego działania? - spytał dowódca Potęg. - Nasz Pan został zainfekowany, tak jak ty i wiele innych żałosnych istot, które litościwie zabijaliśmy przez te wszystkie stulecia.

Kamael czuł w ustach smak krwi i wiedział, że koniec

nadchodzi. Był przygotowany na to, że ostatni bój przyjdzie mu stoczyć z tym, który tak wypaczył wolę Wszchemogącego.

- Czy taki sam akt łaski i miłosierdzia okażesz swojemu Stwórcy? - spytał, zaskoczony słabym głosem, jaki wydobył się z jego własnych ust.

Przywódca Potęg wydawał się wstrząśnięty tym, co przed chwilą usłyszał.

- To bluźnierstwo! - zawołał. - Kiedy moja misja dobiegnie końca, powrócę do Nieba i będę doglądał zarówno spraw Boskich, jak i ludzkich, dopóki nasz Pan i Władca nie odzyska w pełni sił umysłowych i będzie mógł znowu sprawować władzę nad Wszechświatem.

Kamael nie mógł powstrzymać śmiechu, choć jego ciałem wstrząsały bolesne spazmy.

- Słuchasz czasem samego siebie? - zakrzuszył się krwią, która spływała mu po zarośniętym policzku. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś przenikał każdą myśl tego, który jest Stwórcą wszystkich rzeczy. Tego, który stworzył nas. - To mówiąc, Kamael spuścił wzrok, nie chcąc dłużej oglądać stojącej przed nim kreatury. - Gdyby Lucyfer słyszał cię teraz, na pewno uściskałby cię jak brata - dodał, kręcąc z niesmakiem głową.

- Jak śmiesz wymawiać przy mnie jego imię! - Werchiel wpadł w furję, klęknął przed Kamaelem i chwy-

cii go oburącz za twarz. - Wszystko to, co robię, robię w Jego imieniu i dla Jego chwały. Kiedy ten koszmar się skończy, zasiądę po Jego prawicy i wszyscy przekonają się, że moje czyny były sprawiedliwe.

Kamael spojrział w czarne oczy Werchiela, zapadając się w otchłań bijącego z nich obłędu.

- Nic już nie będzie tak jak dawniej - wyszeptał, strząsając sobie z twarzy dłonie anioła. - A ciebie nazwą potworem.

Werchiel zerwał się na równe nogi, wykrzywiając w furii oszpeconą bliznami twarz.

- A zatem, niech tak będzie - pozostanę potworem! - wrzasnął i wznosił do ciosu ostrze ognistego miecza, po czym opuścił je na głowę Kamaela.

Kamael zostawił sobie pewien zapas mocy, która pozwoliłaby mu bezpiecznie wrócić do Aerie. Sięgnął ręką do tyłu, wymacał nóż, który wciąż wystawał mu z pleców, zacisnął dłoń na jego rękojeści, po czym wyszarpnął go z ciała, w ostatniej chwili parując uderzenie Werchiela. Ostrze miecza przywódcy Potęg rozprysło się w kontakcie z hartowanym metalem i Werchiel zatoczył się do tyłu, wyjąc z bólu i zaskoczenia, kiedy płonące odłamki wbiły mu się w ciało.

Kamael rozwinął skrzydła, odrzucając na bok szkarłatnego wojownika. Jego ciało krzyczało z bólu, a krew

napłynęła mu do ust, ale nie pozwolił, by to go ~~po-~~wstrzymało.

- Nawet nie licz na to, że uda ci się uciec, zdrajco! - wrzasnął Werchiel, trzymając się za twarz pokrytą świeżymi ranami i oparzeniami. - Już jesteś martwy!

- Niezupewnie - odparł anielski wojownik, udając się w miejsce, które tak długo było przed nim ukryte, a które mógł teraz nazywać domem.

Werchiel stał na środku sali gimnastycznej liceum Kennetha Curtisa, otoczony zwęglonymi ciałami swoich gwardzistów.

- Jesteśmy już blisko - wycedził przez zęby do swoich poległych towarzyszy, którzy teraz byli jedynie dogasającym stosem popiołów.

Malak zdjął hełm i stanął u boku swego pana. Twarz miał posiniaczoną i pokrytą krwawymi strupami. Alarm przeciwpożarowy nie przestawał dzwonić, a ze zraszaczy nad ich głowami wciąż lała się woda. Na zewnątrz słychać już było syreny pierwszych wozów straży pożarnej i Malak zawył, jakby przedrzeźniając je. Werchiel odwrócił się do niego i wojownik natychmiast zamilkł.

- Zawiodłeś mnie - oznajmił Werchiel, a jego i tak już posępne oblicze zasnuł cień rozczarowania.

- W tym Nefilimie jest coś, czego nie widziałem w pozostałych, którzy polegli z mojej ręki - odparł Malak, jakby chciał się w ten sposób usprawiedliwić- Potrząsnął głową, jakby sam próbował zrozumieć własne słowa, po czym dodał: - Płonie w nim ogień - potężna wola przetrwania. - Malak spojrział w oczy swojego mistrza. - Ma cel.

- A ty? - spytał Werchiel, ignorując wymówki swojego pupila. - Złapałeś trop naszych nieprzyjaciół?

Malak skinął głową, a na jego twarzy pojawił się upiorny uśmiech samozadowolenia.

- Już się przede mną nie ukryją - powiedział, mrużąc złośliwie oczy. - Znajdę ich, jak świeżą krew widoczną na białym śniegu.

- Doskonale - syknął w odpowiedzi Werchiel. Wiedział, że na długo zapamięta ten dzień, w którym prawie udało mu się zrealizować swój plan.

W oparach gęstego dymu dostrzegł pierwsze sylwetki wbiegające na salę - strażaków w ochronnych kombinezonach. Nieśli ze sobą ciężkie topory, bosaki, potężne latarki i grube węże. Werchiel poczuł, jak Malak jeży się u jego boku.

- Tutaj ktoś jest - usłyszał głos jednego ze strażaków, zniekształcony przez maskę tlenową, która zakrywała mu twarz.

Mocny snop światła oświetlił anioła i jego sługę. Werchiel nie zniknął, tylko rozwinął skrzydła i rozpostarł ramiona, tak by tamci mogli podziwiać jego wspaniałą postać. Mimo gęstego dymu i masek tlenowych na twarzach, widział wytrzeszczone ze strachu oczy strażaków i napawał się ich przerażeniem.

Malak warknął i dobył potężnego miecza, splamionego krwią ostatniej ofiary. Ruszył w stronę ludzi, ale Werchiel złapał za opancerzone ramię.

- Zostaw ich - powiedział na głos, tak żeby wszyscy słyszeli.

Dwóch strażaków upadło błagalnie na kolana, pozostali rozpierzchli się w panice. Anioł słyszał wyraźnie słowa ich modlitw.

- Spójrzcie na mnie i wiedźcie, że wkrótce widok takich jak ja będzie dla was równie powszechny, jak wschód i zachód słońca. - Głos Werchiela zadudnił w sali głośniej niż alarm przeciwpożarowy. - Wśród was żyją węże - obwieścił przywódca Potęg, osłaniając siebie i swojego sługę wielkimi skrzydłami. - Dlatego powinien nadejść czas oczyszczenia.

A kiedy razem z Malakiem opuszczali ten wymiar, Werchiel zdążył jeszcze obwieścić strażakom jedną nowinę:

- Ten czas właśnie nadszedł.

Aaron zrobił to, czego go nauczono. Zobaczył w głowie Aerie: wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, zrzucone domy, chwasty porastające popękane chodniki. Na początku była tylko nieprzenikniona ciemność i uczucie przemieszczania się w powietrzu. Przypominało to podróż długim, ciemnym tunelem. Otworzył skrzydła, rozpraszając egipskie ciemności, które ich spowijały. Dotarli do celu. Uratował Vilme - ale za jaką cenę?

Nefilim rozejrzał się wokół. Stali przed domem Belfegora, gdzie czekał na nich tłum mieszkańców Aerie. Stary anioł siedział w plażowym fotelu, na krawędzi chodnika, i popijał mrożoną herbatę z oszronionej szklanki. Przy nim stali wciąż niezadowolony szeryf Lehahiasz oraz jego córka Lorelei. W Aerie panowała cisza. Grobowa cisza.

Aaron poczuł, jak Vilma dygocze w jego ramionach, i przytulił ją mocniej, zaglądając w ciemne oczy.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał, przyciskając ją do piersi.

- Czy *ona jest ranna*? - spytał Gabriel, obwąchując dziewczynę.

Vilma wzdrygnęła się po raz kolejny, odsłaniając rozpalone rany na brzuchu.

- O mój Boże! - Aaron zaczął wpadać w panikę. - Proszę, niech ktoś mi pomoże. - Rozejrzał się rozpaczliwie po ludziach wokół.

Lorelei podeszła do niego i położyła dłoń na czole Vilmy.

- To Werchiel ją tak urządził... Próbował wywołać w niej przemianę... Ma oparzenia na brzuchu... I chyba jest chora - wyjąkał przejęty Aaron.

- Zabiorę ją stąd - powiedziała Lorelei i delikatnie zaczęła wyjmować Vilmę z jego ramion.

- Czy nic jej nie będzie? - Aaron nie chciał jej puścić.

- Była w niewoli Werchiela - odparła chłodno Lorelei, zdejmując z siebie drelichową kurtkę i otulając nią drżące ramiona dziewczyny. - Kto wie, co ten potwór mógł jej zrobić.

Lorelei wzięła Vilmę pod rękę i chciała już odejść, kiedy Aaron położył jej dłoń na ramieniu.

- Dziękuję.

Lorelei odwróciła się powoli i Aaron zobaczył w jej oczach strach.

- Czy to znaczy, że masz wobec mnie dług wdzięczności?

Aaron przytaknął i puścił jej ramię.

- Co tylko zechcesz.

- Nie zawieź ich - szepnęła w odpowiedzi Lorelei.

- Czekali tak długo i poświęcili tak wiele. Nie możesz im teraz odebrać nadziei.

Aaron nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, ale Lorelei

już się odwróciła i odeszła, podtrzymując słaniającą się na nogach Vilnę.

- Chodź, kochanie, zobaczymy, jak można ci pomóc - powiedziała do Vilny.

- Aaron? - Vilna nagle zaprotestowała.

Nefilim podszedł do niej, kiedy drogę zabiegł mu Gabriel.

- *Wszystko będzie w porządku* - powiedział do dziewczyny i po wyrazie jej twarzy widać było wyraźnie, że Vilna zrozumiała psa tak samo dobrze jak Aaron. Gabriel wyciągnął szyję i z czułością dotknął nosem jej dłoni.

- *Pójdziemy z Lorelei i ona cię uleczy, zobaczysz* - to mówiąc, Gabriel spojrzał na Aarona. - *Pójdę z nią.*

Aaron zgodził się i odprowadził ich wzrokiem, kiedy schodzili w dół ulicy. Gabriel, jak to miał w zwyczaju, zabawiał je po drodze rozmową. *Szkoda, że nie mogę mieć takiej samej pewności, jak mój pies* - zreflektował się Aaron. A potem pomyślał o Kamaelu, który jeszcze nie przyleciał, i do jego serca zakradł się lodowaty strach. Musiał wrócić do liceum Kena Curtisa i pomóc przyjacielowi. Odwrócił się do Belfegara.

- Nie mogę teraz zostać z wami. Muszę pomóc Kamaelowi.

Po tych słowach rozwinął skrzydła, ale wtedy jego ciało przeszył potężny ból tak silny, że powalił go na kola-

na. Głowa mu pękała, a rana na ramieniu zaczęła znów krwawić - Aaron czuł pod koszulą jej ciepło.

- Potrzebujesz odpoczynku - usłyszał spokojny głos Belfegara. - Teraz nie byłbyś w stanie nikomu pomóc.

- Ale on sobie nie poradzi! - Aaron zacisnął zęby, próbując wstać.

- Kamael sam potrafi o siebie zadbać - warknął Lehahiasz. - Stoczył wiele bitew bez twojej pomocy, Nefilimie. Dość już zrobiłeś.

Aaron zerknął na czekających po drugiej stronie ulicy Belfegara i jego rewolwerowca. Ich twarze były blade, bezduszne i nieczułe, jakby już dawno zużyli cały życiowy przydział emocji. Ale to nie w nich, lecz w oczach tłoczących się na ulicy mieszkańców Aaron ujrzał to, za co był odpowiedzialny. Nefilimowie z Aerie oczekiwali odpowiedzi, wielu odpowiedzi. I tego, że rozwieje definitywnie ich obawy i lęki. Czuł, jak ta presja dochodzi do niego falami.

- Nie mogłem jej tak zostawić - powiedział na głos, jakby usprawiedliwiając się przed nimi. - Musiałem coś zrobić. - Jakoś udało mu się podnieść z ziemi i zataczając się, ruszył w ich stronę, czując, jak jego anielskie znamiona powoli zanikają pod skórą. - Tak mi przykro... Wtedy wydawało mi się to jedynym słusznym rozwiązaniem, ale teraz... - Aaron czuł, jak opuszczają go siły vitalne i pew-

ność siebie. Usiadł na ziemi i zatopił twarz w dłoniach.
- Nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć.

Aluminiowa noga fotela zazgrzytała o wybetonowany chodnik i kiedy Aaron podniósł głowę, zobaczył, że Belfegor już nie siedzi, tylko stoi. Stary upadły anioł podał swoją prawie pustą szklankę Lehałasowi, który popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Potrzymaj to na chwilę - polecił swojemu szeryfowi, a potem podszedł do Aarona.

Myślenie bolało. Aaron czuł się tak, jakby Werchiel dotknął jego mózgu ognistą ręką. Jego myśli płonęły żywym ogniem. Musiał jeszcze tyle zrobić, spoczywała na nim tak wielka odpowiedzialność. Dlaczego to on musiał zostać Wybrańcem? Przed oczami przelatywały mu obrazy tych wszystkich, którzy zapłacili za jego błędy życiem lub zdrowiem: mama i tata, doktor Jonas, Vilma... Stevie.

- Oni... oni zmienili mojego młodszego brata w jakiegoś potwora - pokręcił głową Aaron, spoglądając na podstarzałą twarz anioła Belfegora. - Jak mogli zrobić coś takiego dziecku? - spytał, nerwowo przyglądając ciemne włosy ręką. - Jakim cudem istota pochodząca z Nieba może być tak okrutna?

- Werchiel i jego mordercy już dawno przestali być istotami z Nieba - odparł Belfegor. - Stracili je z oczu wiele tysięcy lat temu.

- Dlaczego w takim razie nie zostawia mnie w spokoju? - dopytywał się Aaron, który ugiął się coraz mocniej pod ciężarem spoczywającej nań odpowiedzialności.

- Dlaczego tak musi być?

Belfegor spojrział na pogodne, niebieskie niebo nad Aerie i westchnął.

- Przypuszczam, że Werchiel wciąż toczy swoją prywatną wojnę - powiedział po chwili namysłu. - Jest tak pochłonięty ideą plewienia zła, że nie potrafi zaakceptować, iż czas wojny już się skończył i nikomu ona nie służy. - Mówiąc te słowa klęknął i Aaron usłyszał, jak strzelają mu stare, nierozruszane stawy. - Czy to mu się podoba, czy nie.

Aaron spojrział staremu aniołowi w oczy, szukając w nich siły.

- A ty jesteś posłańcem dobrej nowiny i zwiastunem zmian - ciągnął dalej Belfegor. - Czy ci się to podoba, czy nie.

- Ale to ja jestem odpowiedzialny za to wszystko, co się stało. - Aaron wskazał na otaczające ich ruiny domów. - Werchiel i jego siepacze trafią tu prawdopodobnie po moich śladach.

- Na to wygląda. - Belfegor wstał, powoli rozprostowując kości. - Ale nikt nie mówił, że będzie łatwo.

Lehahiasz odłączył się od tłumu gapiów, stojących na

ulicy i podszedł do nich. Jego oczy zamieniły się w ciemne, lśniące perły, skryte pod zachmurzonymi brwiami.

- Więc w taki sposób chce nas ocalić? - spytał ironicznie Belfegora, tak głośno, aby wszyscy słyszeli. - Płacząc na ulicy? Spodziewałem się, że nasz wybawca będzie miał więcej jaj, ale widocznie się myliłem.

Gdyby Leahiasz wyciągnął teraz któryś ze swoich złotych pistoletów i postrzelił go, nie zabolaloby to Aarona bardziej niż jego słowa. Drwiny szeryfa wryły się Aaronowi głęboko w podświadomość i Nefilim poczuł, jak budzi się w nim gniew, a wraz z nim uśpiona moc. Na jego skórze tradycyjnie wykwitły tajemnicze symbole. Nefilim zerwał się na równe nogi, rozwinął skrzydła i rzucił się na szeryfa.

Leahiasz wyciągnął z kabury swoje złote colty.

- Pokaż, na co cię stać, Nefiłimie, zanim zlecą się tu Potęgi - warknął, odwodząc kciukami kurki obydwu pistoletów. - Chcę zobaczyć, na co możemy liczyć, kiedy zaczną nas palić żywcem.

Belfegor stanął między nimi i położył im dłonie na piersiach. Bez większego wysiłku udało mu się ich rozdzielić.

- To nic nie pomoże - powiedział założyciel Aerie, wbijając w nich spojrzenie swoich lodowatych oczu. Nadchodzi burza i bez względu na to, czy będziemy z nią

czyć - a przy okazji też sami ze sobą - deszcz i tak spadnie.

Nagle Aaron poczuł delikatne łaskotanie na karku. Obrócił się i zobaczył jakiś kształt, który formował się po drugiej stronie ulicy.

- Kamaelu, to ty? - spytał, ruszając z miejsca w tym kierunku.

Belfegor złapał go za ramię.

[— Zaczekaj - rozkazał.

Ale Aaron nie usłuchał. Wyrwał się i pobiegł w stronę skrzydlatej postaci. Był pewien, że to Kamael, i nie pomylił się. Ale na jego widok stanął jak wryty. Anioł trzymał się za ranny brzuch, z którego kapała krew, plamiąc ulicę Aerie. Kamael zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie Aaron, który podbiegł i zdążył go chwycić.

- Nadchodzi. - Aaron usłyszał za plecami złowieszczy szept Belfegora. - Burza nadchodzi.

ROZDZIAŁ 12

Wszędzie było pełno krwi.

Aaron złapał rannego anielskiego wojownika, czując, jak ucieka z niego życie. Przed oczami stanął mu ten straszny dzień, w którym tak samo klęczał na ulicy, trzymając na rękach umierającego Gabriela. Nie chciał już nigdy czuć się w ten sposób. Ale niestety, ból był taki sam jak wtedy.

- Mogę coś zrobić - powiedział do swojego przyjaciela, próbując tchnąć odwagę nie tylko w Kamaela, ale i w siebie. A potem sięgnął w głąb swojej duszy, szuka-

jąc Boskiej iskry, która wtedy pomogła mu ocalić czworożnego towarzysza.

Kamael chwycił go za rękę.

- Chłopcze, nie marnuj energii na walkę, która jest z góry przegrana. - Jego uchwyt był jeszcze mocny, ale już słabł.

Aaron przytulił anioła, patrząc z niemym przerażeniem na rany na jego plecach. Jedna z nich miała postać poczerniałej dziury, charakterystycznej dla obrażeń zadawanych przez niebiańską broń. Ale w drugiej nie było widać śladów gojenia, wręcz przeciwnie - krwawiła obficie.

- Zatrzymamy krwawienie i nic ci nie będzie. - Aaron mocno przycisnął rękę do rany.

Kamaela przeszył dreszcz, a z jego rany buchnął strumień świeżej krwi. Krew była ciepła i miała ostry, gryzący zapach.

- Krwawienie nie ustanie. — Kamael zdołał jakoś usiąść. - Zaczarowany metal i miecz Werchiela - wykrztusił z siebie. - Obawiam się, że to może być zabójcza kombinacja.

- Leż i nie ruszaj się. Możemy...

Kamael wciąż trzymał Aarona za rękę, zbierając w sobie resztki sił, by ścisnąć ją jak najmocniej.

- Nie wróciłem tu po to, żebyś ratował moje żałosne życie - powiedział, wbijając w niego intensywne spoj-

rzenie stalowych oczu. — Nigdy nie łudziłem się, że mogę mieć jakiś udział w tej przepowiedni... że zostanie mi wybaczone.

—Przestań tak mówić! — Aarona wzburzył fatalizm płynący ze słów anioła.

Wielu spośród mieszkańców, którzy zgromadzili się przed domem Belfegora, teraz otoczyło Aarona i Kamaela ciasnym kołem, śledząc rozwój dramatycznych wydarzeń. Jeden z mężczyzn zdjął koszulkę i podał ją Aaronowi, by ten użył jej jako kompresu i przyłożył do krwawiącej rany.

—Ocaliłem na tym świecie wiele istnień — powiedział Kamael. - Ale wątpię, by mogło to zrównoważyć liczbę istnień, jakie odebrałem, będąc jeszcze przywódcą Potęg.

—Jak możesz być tego pewien, Kamaelu? — spytał Aaron. Zależało mu, żeby anioł z nim został, żeby skupił się i zapomniał na chwilę o śmiertelnej ranie. Zatoczył wokół siebie koło. — Większości z nich nie byłoby tu, gdyby nie ty. Mnie też by tu nie było.

Kamael spojrział na niego zmęczonymi oczami, które widziały już zbyt wiele.

—W głębi duszy wiedziałem, że źle robię, ale zabijałem nadal, ponieważ wierzyłem, że On tego ode mnie oczekuje. To ironia, że dopiero słowa człowieka — ślepego wróżbity — dały mi do myślenia i otworzyły mi moje

własne oczy. - Kamael zaśmiał się, wypływając ciemną krew, która poplamiła jego siwą kozią bródkę. — Wyobraź to sobie — dokończył z uśmiechem. — Dopiero tak niska istota jak człowiek pokazała mi, jak bardzo się myliłem.

Aaron uśmiechnął się smutno.

— Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć.

Anioł zaniósł się nagle spazmatycznym kaszlem. Aaron miał wrażenie, że wykrztusi z siebie resztki życia, które jeszcze się w nim tliło. Czasu, jak zwykle, było dramatycznie mało.

— Czy on umiera? — spytał jeden z gapiów — dziewczyna, na oko kilka lat starsza od Aarona. Jej oczy były szkliste od łez. Podobnie jak oczy wszystkich pozostałych, którzy się tu zgromadzili. Aaron nie potrafił zdobyć się na odpowiedź, chociaż wydawała mu się ona coraz bardziej oczywista.

— Oto najbardziej palące pytanie dnia — odparł za niego Kamael, nie spuszczać oczu z Nefilima. — Czy umrę tutaj, na tej ulicy — w miejscu, którego tak długo szukałem? — Zadając to pytanie, anioł przyciągnął go bliżej do siebie, wykorzystując resztki energii, dzięki której udało mu się wrócić do Aerie. — A może czeka mnie wieczna łaska i przebaczenie? — spytał tęsknym głosem. — Tylko ty znasz odpowiedź.

Aaron czuł, że czas jego przewodnika dobiega końca.

- Może się przekonamy? - zaproponował, sięgając w głąb swej jaźni, by odnaleźć dar odkupienia. Tajemnicza istota czekała tam na niego, tak jak się spodziewał. Przywołał ją do siebie, czekając, aż moc spłynie w dół jego ramion, do samych koniuszków palców. Nie czekał długo. Po chwili między opuszkami palców zatańczyły mu małe, niebieskie iskierki. Aaron spojrział ze współczuciem na leżącego przed nim anioła, który pokazał mu drogę do przeznaczenia. Wewnątrz bił się z wieloma różnymi emocjami: z jednej strony czuł smutek, że już nigdy nie zobaczy swojego przyjaciela, a z drugiej szczęście - że anioł w końcu trafi do domu.

Kamael zaczął się modlić, zaciskając ciężkie, strudzone powieki.

- Wybacz mi. Panie Wszechmogący. Okaż mi swoje miłosierdzie i zapomnij o moich występkach.

Aaron zbliżył dłoń do anioła - emanująca z niej moc świeciła jak małe słońce.

- Oczyść mnie z moich grzechów. Przyznaję się do nich i wyrzekam się nieprawości.

Aaron dotknął palcami piersi Kamaela i poczuł, jak przepływa przez nie wyjątkowy dar jego anielskiej mocy odkupiciela. To było dokładnie to, o co mu chodziło.

- Uzyskałeś przebaczenie - obwieścił, zanurzając dłoń głębiej w ciało Kamaela.

Kamael stłumił okrzyk, a jego ciało wygięło się w łuk, kiedy Aaron uwolnił drzemiacą moc i napełnił nią anioła, który w pewnym momencie zaczął dymić. Jego skóra stała się szorstka i zaczęła pękać, gdy ludzka powłoka, którą nosił od czasu swojego upadku, łuszczyła się i odpadała płatami. Kamael wił się na ziemi jak wąż zrzucający skórę, doznając na nowo łaski, która dawno przestała być jego udziałem.

Wreszcie wydał z siebie okrzyk ulgi, po którym nastąpił oślepiający błysk. Aaron w porę odwrócił wzrok. Słyszał westchnienia i stłumione okrzyki podziwu tych, którzy zgromadzili się wokół. Po chwili spojrzął z powrotem na ostatniego świadka jego wyjątkowego daru.

Wspaniała - to była jedyna myśl, jaka przyszła mu do głowy, kiedy ujrzał wyjątkowo piękną, a jednocześnie budzącą respekt postać, która unosiła się na skrzydłach utkanych z cienkich jak babie łato promieni słonecznych. Włosy otaczały głowę Kaiuaela jak ognista aureola. Jego skóra była niemal przezroczysta; miał na sobie zbroję, która też musiała zostać wykuta z promieni słońca. Wtedy anioł zauważył go i Aaron w końcu zrozumiał wagę ciężającej na nim odpowiedzialności. Gdy tak przyglądał się tej wspaniałej postaci przed nim, wiedział, że teraz jest sam i zdany tylko na siebie. Był Wybrańcem - to było jego brzemię i radość zarazem.

- To musiało być coś - Aaron odezwał się do odmie-nionego Kamaeła, myśląc o tym czasie, który anioł spędził w Niebie przed zesłaniem na Ziemię... i zastana-wiając się, jak to będzie teraz wyglądało, kiedy Kamael wróci do domu.

- I może znów będzie - Kamael odpowiedział mu głosem, który przypominał odgłos fal oceanu, rozbijają-cych się o brzeg. Potem zwrócił oczy ku górze - spoglą-dał teraz prosto w otwarte, poranne niebo.

Aaron przygotował się już na wniebowstąpienie Ka-maeła, ale anioł wydawał się jakby wahać. Jak gdyby coś powstrzymywało go przed dokończeniem swojej ziem-skiej wędrówki.

- Co się stało, Kamaelu? - spytał.

- Nie chcę... zostawiać cię samego z tą odpowiedzial-nością - odparł Kamael, patrząc znów w niebo.

- Poradzę sobie - Aaron zapewnił go. - Widocznie tak musi być.

Nefilim i jego anioł-przewodnik wymienili spojrze-nia i Aaron widział, że anioł jest rozdarty.

- Idź, Kamaelu. - Aaron zdobył się na mocny ton.
- Wykonałeś już swoje zadanie, teraz czas wracać do domu.

Po tych słowach Kamael rozpostarł skrzydła i zaczął unosić się w górę, coraz wyżej i dalej od ziemskiego

Świata, z którego odchodził po tysiącach lat. Jego skrzydła ze światła i ognia biły powietrze, wywołując delikatny wietrzyk. Aaronowi ten dźwięk przypominał głosy śpiewających dzieci.

- Pożegnaj ode mnie Gabriela - powiedział Kamael.

- Chyba będzie mi go brakować.

- Jemu też, na pewno - odparł Aaron i zauważył na świetlistej twarzy anioła radosny uśmiech.

Wtedy Kamael skupił się już wyłącznie na otwierającym się nad nim niebie i po chwili - w oślepiającym błysku światła, który rozgrzał Aarona aż po samo dno duszy - zniknął na zawsze.

Aaron zatoczył się do tyłu. Wciąż miał przed oczami wspaniały widok Kamaela, wstępującego do nieba. Został sam, ale wiedział, co musi zrobić.

Nefilim odwrócił się do Belfegara i Lehahiasza. Ku swojemu zdumieniu, zobaczył, że wszyscy mieszkańcy Aerie, który zebrali się na ulicy, klęczeli teraz przed nim, chyląc głowy w geście oddania.

- Co to ma znaczyć? - wykrztusił Aaron.

- Teraz dopiero poznali prawdę i zobaczyli ją na własne oczy - odpowiedział Belfegor z charakterystycznym dla siebie uśmiechem, błąkającym się w kąciakach ust.

- Skurczybyk - mruknął Lehahiasz, zdejmując z głowy kowbojski kapelusz. - Ty naprawdę jesteś Wybrańcem.

Aaron szedł w stronę domu Lorelei, zastanawiając się po drodze nad stanem zdrowia Vilmy - i nad tym, jak Gabriel przyjmie wiadomość o odejściu Kamaela. Na początku anioł i pies nie przypadli sobie do gustu, ale z czasem wytworzyła się między nimi niezwykła więź.

Rzucił okiem przez ramię, żeby przekonać się, czy nadal za nim idą. I rzeczywiście, duża część mieszkańców Aerie nie opuszczała go na krok, zachowując jednak bezpieczny dystans. Na czele tego dziwnego pochodu szedł Lehałasz, który - zobaczywszy, że Aaron się odwraca - grzecznie dotknął palcami runda kapelusza. Wiedział, że wszyscy ci ludzie idą za nim, bo uważają, że jest kimś wyjątkowym - kimś, na kogo czekali przez większość życia. Jednak to uwielbienie zaczęło go uwieierać i krępować. Prawdę mówiąc, Aaron wolałby, żeby podziwiali go zza okien swoich domów.

Skręcił na chodnik, po czym wspiął się po kilku stopniach, prowadzących do drzwi wejściowych. Kiedy otworzył pierwsze drzwi z siatki, zauważył, że tłum zatrzymuje się na ulicy i śledzi jego poczynania z bezpiecznej odległości.

- Będę tu, gdybyś czegoś potrzebował - zawołał szeryf, zajmując pozycję na chodniku.

Aaron pomachał mu i wszedł do niewielkiego przedpokoju w domu Lorelei. Po prawej był salon. Vilma leżała





na zagraconej kanapie. Spała, obejmując ręką Gabriela, który warował u jej boku, opierając pysk na krawędzi sofy. Lorelei przysiadła na rogu rozklekotanego stolika kawowego i bandażowała rany na odsłoniętym brzuchu Vilmy.

- Cześć - przywita! się Aaron, wchodząc do pokoju.

- Jak ona się czuje?

Gabriel podniósł łeb z kanapy i spojrział na Aarona.

- *Cześć.*

Lorelei dokończyła bandażowanie i delikatnie naciągnęła Vilmie bluzkę na opatrunek.

- Oparzenia były bardzo rozległe - powiedziała, pakując swoje akcesoria medyczne. - Wygląda na to, że Werchiel długo się nad nią pastwił - dodała, zaciskając szczęki. - Oczyściłam rany i nasmarowałam je olejkami przyspieszającymi gojenie. Powiedzmy, że fizycznie wróci do formy.

- A psychicznie? - Aaron z trudem przełknął poczucie winy. Właśnie tego najbardziej się obawiał i między innymi dlatego wyjechał z Lynn. Podejrzewał, że Werchiel posłużył się kimś bardzo mu bliskim, żeby dostać go w swoje łapy. No i podejrzenia się sprawdziły.

Lorelei popatrzyła na dziewczynę śpiącą beztrósko na kanapie.

- Proces przemiany w Nefilima kosztuje człowieka sporo zdrowia. Musisz pamiętać, że niektórzy z nas są silniejsi, a inni słabsi.

Aaron skinął głową, zgadzając się w pełni z bolesną prawdą zawartą w słowach Lorelei.

- Musimy poczekać i zobaczymy, jak to wszystko się potoczy - powiedziała Lorelei, odnosząc swój zestaw pierwszej pomocy do kuchni.

Aaron złapał się na tym, że nie spuszcza wzroku z twarzy Vilmy. Widział, jak rusza oczami pod zamkniętymi powiekami. *Śni* - pomyślał, obserwując ją - *mam nadzieję, że tylko dobre sny.*

- *Czy Kamael już wrócił?* - spytał znienacka Gabriel, wstając i rozprostowując łapy.

Aaron zawahał się przez moment, co w obecności akurat tego psa nie było najlepszym pomysłem.

- *Nie wrócił jeszcze, Aaronie?* - Kiedy labrador rozprostował kości, na jego pysku odmalowała się troska. - *Powinniśmy go poszukać.*

Aaron kucnął obok Gabriela, wziął biszkoptowy łeb w dłoń i zaczął drapać go za uszami.

- *Co się stało?* - spytał Gabriel. - *Wyczuwam, że nie wszystko jest w porządku.*

- Posłuchaj, Gabe. Kamael wrócił i...

- *W takim razie, gdzie jest?* - przerwał mu pies.

- Gabriel, piesku, daj mi skończyć. - Aaron zaczął się niecierpliwić.

Gabriel usiadł i przekrzywił pytająco łeb na bok.

- Kamael wrócił - kontynuował Aaron. - Ale był ranny.

- *Tak jak ja wtedy, zanim mnie uleczyłeś?*

Aaron przytaknął, nie przestając pieścić psa po muskularnym karku.

- *Tylko że tym razem nie potrafiłem go uleczyć.*

Gabriel uważnie spojrział na swego pana swoimi mądrymi czekoladowymi ślepiami.

- *I co my teraz zrobimy?*

Aaron zastanawiał się, jak ma to wytłumaczyć swojemu czworonożnemu kumplowi. Czasem komunikacja z Gabrielem przypominała rozmowę z małym dzieckiem, a czasem z mędrce, który posiadał wielką wiedzę.

- Pamiętasz Zeke? - spytał, przywołując postać upadłego anioła, który jako pierwszy starał się mu uświadomić, że jest Nefilimem. A potem został śmiertelnie ranny podczas pierwszej bitwy z Werchielem i jego Potęgami.

- *Lubiłem Zeke. — Gabriel zamachał ogonem. - Ale coś mu zrobiłeś i odszedł. Gdzie właściwie on się podział, Aaronie?*

- Odesłałem go do domu - wyjaśnił mu chłopak. - Wrócił do Nieba.

- *Tak jak tamten Gabriel?* - pies przypomniał mu archanioła, którego spotkali kilka tygodni temu w Maine.

Aaron pomógł mu wtedy uwolnić się z żołądka pradawnej bestii-

— Dokładnie tak. - Nefilim poklepał swojego mądrego przyjaciela.

— Czy *Kamaela* też musiałeś odesłać do domu? — Spokojny głos Gabriela przeszedł w ostrożny szept.

Aaron przytaknął, nie przestając drapać labradora za aksamitnie miękkimi uszami.

— Tak, właśnie tak — przyznał. - To była jedyna rzecz, którą mogłem dla niego zrobić.

Aaron miał do czynienia w trakcie swojej praktyki weterynaryjnej z wieloma psami, jednak wciąż go dziwiło, jaki mądry wyraz przybiera pysk labradora. Wiedział teraz, że psu jest bardzo przykro i że z trudem przyjął tę wiadomość.

— Prosił, żebym cię od niego pożegnał. Powiedział też, że będzie mu cię brakowało.

Gabriel powoli położył się na podłodze, unikając zartroskanego wzroku swojego pana.

Aaron wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać.

— Wszystko w porządku, Gabe? — spytał czule.

— *JW*ie *zdążyłem* się z nim pożegnać. — Gabriel stulił uszy na znak smutku i rozgoryczenia.

Aaron położył się obok swojego żółtego psa i objął go ramionami.

- Ja zrobiłem to za nas obydwu - powiedział, przytulając ukochanego labradora. I tak leżeli razem przez dłuższą chwilę, wspominając przyjaciela, który odszedł z ich życia.

Przywódca chóru Potęg zataczał w powietrzu szerokie kręgi, ponad kościołem i sierocińcem pod wezwaniem świętego Atanazego. Czuł tę aurę wokół siebie - zmiana była diametralna. Gdy tak płynął po nieboskłonie, chłodna poranna bryza przynosiła ulgę jego świeżym ranom. Teraz on będzie zwiastunem nowej ery. Ery triumfu i zwycięstwa.

Werchiel skierował się w stronę ziemi, za cel obierając sobie górującą nad okolicą wieżę kościelną. Przywarł do niej jak jakiś wielki prehistoryczny drapieżnik. Spojrzał w dół, na dziedziniec świątyni. *Nadszedł już czas* - pomyślał. Czas, aby zgromadzić i przygotować oddziały do nadchodzącej wojny. Werchiel odchylił głowę do tyłu i zawył jak wilk do pełni księżyca, przywołując tych, którzy poprzysięgli wierność jemu i jego świętej misji. Wycie unosiło się z wiatrem, ponad dachami okolicznych domów, wyrывая ze snu tych, którzy byli w nim jeszcze pogrążeni.

Jakieś dziecko zaczęło krzyczeć w łóżku — tak długo i przeraźliwie, aż w końcu zdarło sobie gardło i zwy-

młotowało krwią na pościel ze Scooby Doo. Po drodze na szpitalny oddział intensywnej terapii zdążyło tylko powiedzieć rodzicom, że nadchodzą ludzie-ptaki, którzy zabijają wszystkich.

Programista w średnim wieku, ostatnio żyjący z żoną w separacji, obudził się ze złego snu w swojej wychłodzonej kawalerce i uznał, że dzisiaj jest właśnie ten dzień, w którym powinien odebrać sobie życie.

Matka wiewiórka ocknęła się z błogiego letargu w swoim gnieździe z liści, w koronie drzewa i bezwiednie, niczym w transie, zaczęła pożerać własne młode.

W końcu Werchiel zamilkł, obserwując z satysfakcją, jak jego żołnierze zbierają się, młóćąc skrzydłami powietrze. Krążyli jak stado wygłodniałych sępów, czekających na niechybną śmierć swojej ofiary, a potem - jeden po drugim - zaczęli spadać z nieba. Niektórzy z nich wylądowali na zniszczonym placu zabaw, jeszcze inni na dachu budynku administracyjnego, a pozostali na ziemi, gdzie ustawiali się ze splecionymi z tyłu rękami.

Werchiel czuł smutek i wściekłość, kiedy zdał sobie sprawę, jak mocno przeredziły się ich szeregi. Jego żołnierze padli ofiarą Nefilima i tych, którzy podobnie jak on wierzyli w przepowiednię. *Nie zginęli na próżno* — zarzekł się Werchiel, składając skrzydła i lądując na zardzewiałej huśtawce. Kiedy wyprostował się, poczuł na sobie

spojrzenia swoich najwierniejszych gwardzistów. Dziś zwycięstwo będzie należeć do niego. Podniósł ramię i z powietrza dobył imponujących rozmiarów ognisty miecz - Zwiastun Smutku.

— Spójrzcie na ten miecz - zwrócił się do poddanych przywódca Potęg - ponieważ będzie on waszą kotwicą. - Czuł ich oddanie i poświęcenie dla niego i dla sprawy, która mu przyświecała. - Jego potężny blask będzie rozświetlać nam drogę, rozpraszając ciemności i wskazując kryjówki naszych wrogów. A wrogowie ci zostaną rozgromieni! - ryknął teatralnym głosem, dla lepszego efektu, po czym przekazał każdemu po kolei swój miecz.

W rękach stojących przed nim gwardzistów rozbłyśły teraz ich własne miecze. Przywrócili w ten sposób braterstwo krwi, które po raz pierwszy zostało zawarte podczas Wielkiej Wojny w Niebie. Ciała zgromadzonych przeszył dreszcz, przypominający impuls elektryczny. Na scenie pojawił się także Malak. Werchiel zauważył, że jego zbroja została wypolerowana i lśniła teraz w świetle księżyca. *Cóż za spektakularny widok* — pomyślał. Nigdy nie stworzono bardziej śmiertelnej broni.

Malak przechadzał się wśród aniołów. Otaczał go nimb pewności siebie. Ich oczy były skupione na nim - odbijał się w nich podziw pomieszany z przerażeniem. Część z nich była przeciwna obdarzaniu taką mocą ludzkiej be-

stii, ale nie odważyli się tego powiedzieć przy Werchielu. Aniołowie nie rozumieli ludzkich emocji, dlatego nie byli też w stanie dostrzec psychologicznej przewagi, jaką człowiek miał nad swoim przeklętym wrogiem. Ale wiedzieli, że gdy Malak w końcu wytropi, a potem zabije Nefilima zwanego Aaronem Corbetem, nie będą mieli wyboru, jak tylko uznać wyższość łowcy i złożyć mu hołd.

- Wzywa mnie fetor naszego wroga - Malak zadudnił pełnym okrucieństwa głosem, który odbijał się głuchym echem w zimnym metalu zasłaniającego całą twarz hełmu.

- A więc odpowiedzmy na to wezwanie - rozkazał z wysokości swojej grzędy Werchiel.

Po tych słowach Malak odwrócił się, a w jego dłoni pojawił się imponujący miecz z czarnego metalu. Jak gdyby demonstrując śmiertelne uderzenie, które pozbawi życia jego nieprzyjaciela, zakuty w szkarłatną zbroję wojownik ciął nim w powietrzu, otwierając bramę do innego wymiaru, w którym miała zostać stoczona decydująca bitwa.

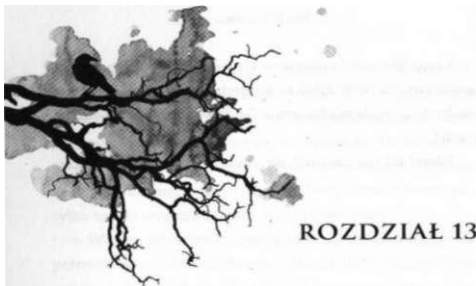
- Naprzód! - krzyknął podekscytowany dowódca Potęg. - Oto początek końca.

Aniołowie odpowiedzieli mu zgodnym chórem, wzbijając się w powietrze, po czym, jeden po drugim, zniknęli w szczelinie czasu.

Kiedy Werchiel obserwował ich odejście, przypomniał sobie coś, co przeczytał w świętej księdze tych ludzkich małąp: (...) *wejdą między was wilki drapieżne, nie oszczędzając stada**.

Werchiel uśmiechnął się. Sam nie ująłby tego lepiej.

• Biblia Tysiąclecia, Dz 20, 28-30. Wydawnictwo PaUotinum, Poznań-Warszawa, 1990.



ROZDZIAŁ 13

Gabrielowi było przykro. Bez względu na to, jak bardzo starał się myśleć o przyjemnych rzeczach - różnych pysznościach do jedzenia, pogoniach za piłką i słodkich drzemkach w ciepłe promieni słońca - pies nie był w stanie pozbyć się złego nastroju. W tej chwili oddałby wszystko za to, żeby rozpowszechniany przez ludzi stereotyp, jakoby zwierzęta nie doświadczały emocji, był prawdą.

Stąpając u boku Aarona środkiem głównej ulicy Aerie, Gabriel rozmyślał o długiej i trudnej nocy, która właśnie

się skończyła. Nie spał za dużo, ponieważ obaj z Aaronem doglądali Viłmy. A do tego nie mógł poradzić sobie z bólem, jaki wywołało w nim odejście Kamaela. Pies spojrzał na oblicze swego pana, śledząc je uważnie w promieniach porannego słońca. Twarz Aarona wyrażała zaciętość i determinację, ale Gabriel potrafił wyczuć w niej również ból, który starannie skrywał pod maską.

Ich życie nagle stało się takie trudne. Gabriel nie mógł przestać myśleć o dniach, kiedy chodzili razem na długie spacerunki, a on zlizywał okruszki z buzi Steviego i łąsił się do Stanleyów, którzy drapali go po brzuchu. *Czy to możliwe, że minęło zaledwie kilka tygodni?*

Odgłos trzaskających drzwi wyrwał labradora z zamyślenia. Gabriel odwrócił kanciasty łeb i zobaczył kolejnych mieszkańców Aerie. Wychodzili z domów, dołączając do tłumu, który podążał na miejsce zgromadzenia.

Gabriel poczuł, jak jeży mu się sierść na karku. Nadchodził Werchiel, a z nim pewnie także Stevie. To nie był już ten mały chłopczyk, którego zapamiętał, tylko coś, co napawało go przerażeniem. Gabriel przypomniał sobie bój, jaki rozegrał się w szkole z udziałem zakutego w zbroję potwora. Wystarczyła chwila, żeby zorientował się, z kim ma do czynienia. Bestia, którą nazywali Malakiem, pachniała Steviem. Ale ten zapach uległ zepsuciu. Został zmieniony, jakby spleśniał i zgnił. Ubiegłej nocy

Gabriel nie wiedział, jak przekazać to swemu panu, ale Aaron już wiedział, że Stevie stał się Malakiem. Mimo iż pies nie rozumiał do końca, o co chodzi, był w takim samym głębokim szoku jak Aaron, widząc, co Werchiel zrobił temu małemu chłopcu.

W głowie labradora pojawiło się nagle pytanie i pies przystanął, czekając aż jego pan zorientuje się, że nie idzie już przy nodze. W końcu Aaron odwrócił się.

- Co się stało?

Gabriel ze smutkiem pokręcił głową, kładąc po sobie uszy.

- *Stevie został zatruty. Tak jak to miejsce - powiedział. Wcześniej było w porządku, ale stało się z nim coś złego. Rozumiesz, co staram się ci powiedzieć?*

Aaron zawrócił, podszedł do Gabriela i delikatnie poklepał go po łbie.

- Chyba tak.

Mijali ich kolejni mieszkańcy, udający się na miejsce zbiórki. Ale dwaj przyjaciele - człowiek i pies - nie zwracali na nich uwagi.

Gabriel polizał rękę Aarona, po czym spojrzął nerwowo w jego oczy.

- *To jest i nie jest Stevie. Pachnie całkiem nie tak, jak powinien.*

Aaron szybko przytaknął.

- Rozumiem - powiedział, a jego twarz przybrała na moment zatroskany wyraz. Ale zaraz potem odwrócił się i ruszył razem z innymi w stronę kościoła, znajdującego się na końcu ulicy. - Chodź, powinniśmy już iść.

Gabriel niechętnie począpał za swoim panem, wciąż nie mogąc się uwolnić od czarnej myśli, która krążyła mu po głowie. Ale wiedział, że i Aaron będzie musiał się z nią zmierzyć.

— *A co zrobisz, jeśli on jeszcze raz spróbuje cię zabić, Aaronie?* - spytał delikatnie.

Aaron nie odpowiedział. Wołał przemilczeć tę kwestię. Ale jego wyraz twarzy wystarczył Gabrielowi za odpowiedź. I zasmucił jeszcze bardziej.

Lehahiasz stał w starym kościele i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nigdy wcześniej tu nie był, tak jak od tysięcy lat nie próbował się komunikować z Najwyższym.

Obserwował podobiznę wybawiciela, namalowaną niewprawną ręką nad ołtarzem. To dziecko w niczym nie przypominało Aarona Corbeta - miało łysą głowę i wylupiaсте, białe oczy. Ale anioł nie wątpił już, że Nefilim jest tym, za kogo się podawał. Był świadkiem jego mocy, kiedy odesłał umierającego Kamaela do domu, i to na zawsze zmieniło tok myślenia szeryfa Aerie.

Lehahiasz nerwowo obracał w rękach swój kowbojski kapelusz.

-Ja... nie wiem, co powiedzieć - wymamrotał głosem, który przypominał pocieranie papierem ściernym o drewno. - Nigdy nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek zwrócę się do Ciebie - tak naprawdę, nigdy nie chciałem tego robić.

Upadły anioł nie przejmował się swoim słabym, ledwie słyszalnym głosem - w tym momencie nie miał siły na nic więcej.

- Nigdy też nie przypuszczałem, że masz w sobie tyle łaski i miłosierdzia - ciągnął dalej Lehahiasz - żeby wybaczyć nam to, co uczyniliśmy.

Stłumił śmiech i rozejrzał się po pustym jeszcze kościele, wciąż miętosząc w dłoniach kapelusz.

- Było mi żal innych, którzy cały czas wierzyli, że jesteś w stanie nam przebaczyć. Tyle razy chciałem chwycić ich za ramiona i mocno potrząsnąć. Chciałem im powiedzieć: Nie pamiętacie, co uczyniliśmy? Chciałem na nich nawrzeszczeć. Ale trzymałem gębę na kłódkę.

Lehahiasz powoli osunął się na kolana i skupił wzrok na obrazie wiszącym nad ołtarzem.

-Jednak byłem w błędzie - kontynuował, tym razem już nieco mocniejszym głosem. - Po tych wszystkich latach spędzonych w Aerie wiem tyle samo, ile na sa-

mym początku, kiedy postanowiłem dołączyć do Porannej Gwiazdy.

Upadły anioł skłonił się, po czym rozwinął skrzydła - po raz pierwszy od wygnania z Nieba. Z początku bolało, ale szeryfzaciśnął zęby i pozwolił skrzydłom na jego plecach przebić się przez skórę.

- Chcę powiedzieć, że żałuję tego, co zrobiłem w przeszłości, i tego, co czeka mnie w przyszłości — a jeśli zginę w bitwie, mam nadzieję, że Ty znajdziesz w swoim sercu tyle żalu, żeby mi przebaczyć.

Anioł wyciągnął z kabur pistolety i skrzyżował je na piersiach, rozpościerając skrzydła tak szeroko, jak tylko potrafił.

-Jeśli jednak uznasz, że nie zasłużyłem na Twoje przebaczenie, zrozumieć. Bo za to, co mam zamiar zrobić Werchielowi i jego psom gońcym, sam nie wpuściłbym siebie z powrotem do Nieba.

Drzwi do kościoła otworzyły się na oścież. Lehahiasz błyskawicznie powstał z kolana i zwinął skrzydła, które od tysiącleci nie szybowały po niebie.

- Mówiłem przecież, że nie życzę sobie, aby mi przeszkodzano - warknął, zanim zorientował się, że to Belfegor zmierza w jego kierunku główną nawą. - Och, przepraszam - zreflektował się, sięgając po kapelusz, który upuścił na ziemię.

- Nic się nie stało - uspokoił go Belfegor, spoglądając na malowidło nad ołtarzem. - Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Szeryf zamyślił się na chwilę. Nie miał pojęcia, czy Stwórca w ogóle go wysłuchał, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu - właściwie, odkąd sięgał pamięcią - czuł przypływ nadziei.

- Wydaje mi się, że tak - przyznał.

- To dobrze - odparł Belfegor i na tym ich rozmowa się skończyła.

Lorelei przeglądała się w wysokim, popękany lustrze, które wisało na drzwiach jej szafy. Poziome pęknięcie w tafli szkła przecinało ją dokładnie na pół, a obydwie połówki wydawały się nie do końca do siebie dopasowane. Lorelei często myślała o wymianie lustra, ale nigdy jakoś nie znalazła na to czasu. Co więcej, ten wymuszony dualizm wydawał się pasować do rzeczywistości, w której żyła. Od kiedy odkryła, że jest Nefilimem, całe jej życie stało się niekończącą się walką - dwóch natur, dwóch połówek.

Lorelei przeczesła szczotką długie, śnieżnobiałe włosy, zastanawiając się, co tak naprawdę ją martwi. *Powin-*

nam chyba przed rzecią zrobić się na bóstwo - pomyślała sarkastycznie. Odkąd zjawiła się w Aerie, wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Dzień, w którym Potęgi spróbują zetrzeć ich w proch. Na myśl o tym jej ciało przeszył zimny dreszcz i Lorelei zadrżała. Widziała już, do czego zdolny był Werchiel i jemu podobni. Perspektywa stawienia im czoła w walce napawała ją przerażeniem.

Rzuciła szczotkę do włosów na łóżko i popatrzyła na swoje drżące dłonie. Bała się tego, co miało nadejść. Jakaś jej część - prymitywna i egoistyczna - chciała uciec, skryć się. Ale ta część nie dbała w ogóle o przyszłość ani o przeznaczenie. Zależało jej tylko na przeżyciu. Lorelei wzięła kilka głębokich wdechów i spróbowała uspokoić ten zwierzęcy obszar swojej natury. Wtedy przez głowę przeleciała jej jedna myśl. *Jestem NefiUmem i mam do wypełnienia misję.*

Dziewczyna sięgnęła po leżącą na łóżku kurtkę i założyła ją.

- Jak myślisz? - spytała swoje przepoławione odbicie w lustrze. - Czy twoim zdaniem to naprawdę Wybraniec?

Sama nie wiedziała i nie sądziła też, by postać spoglądająca na nią z lustra miała w tej kwestii więcej do powiedzenia. Lorelei słyszała tylko, że Aaron jest kimś szczególnym i daje Aerie szansę na przetrwanie. Miała

nadzieję, że odnajdzie w sobie wystarczająco dużo siły, żeby mu pomóc.

Wychodząc z domu na miejsce zbiórki, Lorelei zatrzymała się jeszcze na moment w salonie, żeby zobaczyć, jak się miewa jej pacjentka. Usiadła na skraju kanapy, obok śpiącej Vilmy, i ostrożnie zajrzała pod bandażę najej brzuchu. To, co zobaczyła, usatysfakcjonowało ją. Werchiel bardzo skrzywdził tę dziewczynę, ale wyglądało na to, że wraca do zdrowia. Musiała jeszcze tylko przeżyć proces przeobrażenia się w Nefilima.

Delikatnie położyła dłoń na spoconym czole Vilmy. Wtedy chora otworzyła wielkie, orzechowe oczy. Rozglądała się przez chwilę po pokoju, po czym skupiła wzrok na Lorelei.

- Jestem bezpieczna? - spytała półprzytomnie.

- Tak - Lorelei odparła uspokajającym tonem. — Już nikt więcej cię nie skrzywdzi. - Miała nadzieję, że mówi prawdę, biorąc pod uwagę mającą się dopiero odbyć bitwę.

Na twarzy młodej kobiety pojawił się uśmiech.

- On mnie ocalił - powiedziała, mając pewnie na myśli Aarona.

- Myślę, że on ocali nas wszystkich - odparła Lorelei, nagle nabierając pewności, że dożyją jutra.

Aaron i Gabriel zbliżyli się do tłumu stojącego przed kościołem.

- *Wygłąda na to, że są tutaj wszyscy* - mruknął Gabriel, rozglądając się wokół.

W powietrzu wyczuwało się nerwowe napięcie. Upadli aniołowie i Nefilimowie stali, ramię w ramię, ocierając się o siebie łokciami w gęstniejącym z minuty na minutę tłumie. Aaron chyba po raz pierwszy zorientował się, czym tak naprawdę jest Aerie. Chodziło o zmianę - aniołowie mieli wrócić z powrotem do Nieba, a Nefilimowie zająć właściwe im miejsce na Ziemi. *Taka zmiana warty* - pomyślał.

Stojący w tłumie zauważyli jego przybycie i zaczęli się rozstępować, kłaniając mu się w pas. Droga do schodów kościoła stanęła otworem.

- *To bardzo uprzejme z ich strony* - powiedział na głos Gabriel.

Niektórzy z aniołów i Nefilimów dotykali po drodze rąk, ramion i pleców Wybrańca. Aaron słyszał dziękczynne szepty i słowa otuchy. Miał ochotę im powiedzieć, żeby przestali. Chciał im wyjaśnić, że nie mają za co być mu wdzięczni - wręcz przeciwnie, powinni odgryźć mu głowę za to, że ściągnął na nich uwagę Werchiela i jego niechaybną zemstę.

Przez tłum przetoczył się głuchy pomruk i Aaron za-

uważy, że z kościoła wyszedł Belfegor w towarzystwie Lehahiasza. Obaj zatrzymali się na szczycie schodów, czekając na niego.

A więc to jest ta chwila - pomyślał Aaron, wspinając się na pierwszy stopień.

- *Poczekam na ciebie tu, na dole* - Gabriel zamachał ogonem.

Kiedy Aaron dotarł na szczyt schodów, dwaj upadli aniołowie skłonili mu się również.

- Przestańcie się tak zachowywać. - Aaron poczuł się zakłopotany.

- Okazujemy tylko należny ci szacunek - odparł Lehahiasz, splatając dłonie.

Belfegor położył dłoń na ramieniu Aarona i spojrzał mu głęboko w oczy.

- Oni wiedzą, co ich czeka - skinął głową w stronę tłumu. - Ale chcą to usłyszeć od ciebie, chcą znać twoje zamiary.

Aaron czuł na sobie spojrzenia zebranych - tak intensywne, że zdawały się wywiercać dziury w jego plecach.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś to ty do nich przemówił? - Aaron zawahał się. - Ufają ci.

- Nie rozmieniaj się na drobne, chłopcze - ostrzegł go Lehahiasz. - Oni wierzą w to, co widzą. To na ciebie czekali tak długo.

Aaron zerknął na Belfegora, mając nadzieję, że stary anioł wybawi go z opresji. Sam nigdy nie czuł się dobrze w roli mówcy.

- Mieszkańcy Aerie czekają. - Tylko tyle miał do powiedzenia Belfegor.

Aaron wiedział, że nie ma wyjścia. Powoli odwrócił się twarzą do tłumu zgromadzonego u stóp schodów. Widok, jaki zobaczył, odebrał mu mowę. Jak okiem sięgnąć, wszystkie oczy i uszy były skierowane w jego stronę. Każdy czekał tylko na słowa, które padną z jego ust. Aaron zaniemówił, mógł tylko przyglądać się w milczeniu temu zgromadzeniu. *Kogo ja chcę oszukać?* - myślał, czując, jak ogarnia go panika. Ci wszyscy aniołowie i ludzie o anielskich korzeniach musieli chyba postradać zmysły, że mu zaufali. On nie był żadnym wybawcą. Nie potrafił ocalić nawet swojej rodziny i przyjaciół.

Spojrzał w dół i zobaczył w tłumie Gabriela. Ciemnobrązowe oczy psa tchnęły spokojem. Nieco dalej Aaron ujrzał białą głowę Lorelei, która - odwzajemniwszy jego spojrzenie - uśmiechnęła się i pokazała kciuk uniesiony w górę.

- Nie chciałbym was rozczarować - zaczął Aaron słabym i drżącym głosem. - Część z was uważa mnie za zbawiciela, który uratuje was wszystkich - a przy tym także i siebie. - Aaron zamilkł na chwilę, rozglądając się

po mieszkańcach Aerie, stojących w milczeniu u podnóża schodów. - Czy rzeczywiście jestem Wybrańcem, za którego mnie macie? - spytał, czując, jak z każdym słowem, wypowiedzianym prosto z serca, wraca mu odwaga. - Nie wiem tego, naprawdę. Ale wiem, że noszę w sobie moc, która najwyraźniej odróżnia mnie od was wszystkich. Chyba jednak nigdy nie dowiemy się, co tak naprawdę ta moc oznacza, i przede wszystkim, co będzie miała do powiedzenia, kiedy przyjdzie nam się zmierzyć z Werchielem i jego armią.

W tłumie rozległ się znów ten sam pomruk. Aaron mógł sobie tylko wyobrażać strach, jaki tkwił w ich głowach, jaki towarzyszył im przez większość życia. Wszyscy bali się tego dnia, w którym dowódca Potęg zwróci swoją uwagę w ich stronę. I w stronę tej oazy pokoju, którą wzniesli własnymi rękami.

- Dzisiaj przyszedłem prosić was o to, byście stanęli ze mną do boju - Aaron ciągnął dalej. - Do boju, w którym stawką jest wasza przyszłość, odkupienie i prawo do powrotu do domu. - Mówiąc te słowa, Aaron starał się zajrzeć wszystkim w oczy. - To właśnie zamierzam zrobić. Nadszedł czas rzucić rękawicę mojemu przeznaczeniu i będę zaszczycony, mogąc widzieć was walczących u mego boku.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Aaron nie wie-

dział do końca, czego może się spodziewać, ale raczej nie liczył się z takim brakiem reakcji. Miał już odwrócić się do Belfegora, kiedy w tłumie rozbrzysnął ognisty miecz. Ktoś wznosił go wysoko w powietrze. Po chwili zapalił się drugi miecz. Po nim następny. Aaronowi odebrało mowę. Patrzył jak oczarowany na morze świetlistych ostrzy, które po kilku chwilach zapłonęło nad Aerie. Każdy ze stojących dobył broni i salutował mu, jak na żołnierzy przystało.

- Możesz to chyba uznać za wyraz zaufania. - Aaron usłyszał za plecami głos szeryfa. Odwrócił się i zobaczył, że Lehahiasz także wyciągnął swoją złotą broń. - Może to nie są miecze - powiedział - ale potrafią ranić równie boleśnie, jak one. - Po tych słowach skrzyżował colty na piersi. - To będzie dla mnie zaszczyt i honor, walczyć u twojego boku.

Belfegor uśmiechnął się, a Aaron spojrział znowu w dół, na mieszkańców Aerie.

Może jednak mamy jakąś szansę - pomyślał, czując, jak podnosi go na duchu widok tłumów zgromadzonych u stóp świątyni. Pomyślał też o Kamaelu - z pewnością byłby teraz dumny. Jego rozmyślania o utraconym przyjacielu przerwał jednak dźwięk. Tak intensywny, że aż bolesny dla uszu. Brzmiał jak uderzenie monstrualnego bata. Tuż po tym niebo nad Aerie rozwarło się

i Aaron z przerażeniem ujrzał znajomą postać odzianego w szkarłatny pancerz wojownika. Mieszkańcy Aerie, którzy stali w ostatnich rzędach, odsunęli się, kiedy Malak wzniosł do góry włócznie i skierował ją w stronę Nefilima. Przestrzeń w rozdartym nieboskłonie iskrzyła i pulsowała, a powietrze wypełnił dźwięk łopoczących anielskich skrzydeł.

A więc zaczęło się - pomyślał Aaron, kiedy Leahiasz minął go, zbiegając po schodach ze złotymi rewolwerami w dłoniach. Po drodze minął się z Gabrielem, który przypadł do nóg Aarona, szczekając i jeżąc się w niespotykanym dla siebie - i każdego zwierzęcia domowego - wybuchu agresji.

— Idź do Vilmy - polecił mu Aaron.

— *Aleja chcę zostać z...*

— Nie kłóć się ze mną, Gabrielu! - Aaron uciął dyskusję. Dźwięk anielskich skrzydeł stawał się coraz głośniejszy. - Musisz ochronić Vilnę. - Wiedział, że jego czworonożny przyjaciel najchętniej dotrzymałby mu towarzystwa. Ale Vilma potrzebowała anioła stróża, a Gabe nadawał się do tego celu idealnie. Aaron nie miał nikogo bardziej zaufanego.

Bez dalszych dyskusji pies rzucił się w dół schodów i popędził ulicą do domu Lorelei.

Wtedy przez bramę w niebie zaczęli wyskakiwać spr-

gnieni krwi anielscy wojownicy, dzierżąc w dłoniach śmiertelny oręż. Wyglądali jak biblijna plaga, która ma na celu tylko jedno – zdziesiątkować mieszkańców Aerie i zrównać z ziemią całą krainę.

ROZDZIAŁ 14

Aaron długo i niechętnie akceptował swoją nie-ludzką naturę, a teraz próbował czerpać z niej siłę. Tym razem pojawieniu się anielskich symboli na ciele nie towarzyszył praktycznie żaden ból. Podobnie, kiedy z jego pleców wystrzeliły potężne skrzydła. W dłoni Nefilima błysnął potężny ognisty miecz i Aaron z ulgą powitał ogromną falę mocy, która ogarnęła każdą komórkę jego ciała.

Ostatni z żołnierzy Potęg pojawił się w otwartej bramie między wymiarami, a potem wszyscy ruszyli do ata-

ku, nurkując z nieba, z płonącymi mieczami w dłoniach, żądni krwi mieszkańców Aerie. Chciał im pomóc, ale nie mógł oderwać wzroku od Malaka - swojego młodszego brata - który wciąż stał nieruchomo.

Na co jeszcze czekasz? - zastanowił się Aaron. Huk wystrzałów z pistoletów Lehasza przetoczył się głuchym echem po okolicy. Wtedy Malak klęknął na jedno kolano i skłonił się nisko przed szczeliną, przez którą on i siepacze Werchiela zaatakowali Aerie. Aaron starał się tam zajrzeć, przekonany, że to jeszcze nie koniec niespodzianek.

Nagle powietrze przeszły niezwykle chłód i Aaron poczuł czyjąś obecność, zanim jeszcze znalazł się przy szczelinie. Chwilę później wyłonił się z niej Werchiel - zupełnie jakby przybył Aerie z odsieczą, nie zaś po to, by je zmieść z powierzchni ziemi. Rozpościerając śnieżnobiałe skrzydła, Werchiel runął z nieba z wyrazem zadowolenia na bladej, wyrazistej twarzy.

Przybycie dowódcy Potęg do tego ziemskiego azylu, jakim było Aerie, wyzwoliło w Aaronie niekontrolowany wybuch furii. Chciał już rzucić się na swego śmiertelnego wroga, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, czekając aż to on wykona pierwszy ruch.

- Tak właśnie wygląda wasz koniec - zadudnił głos Werchiela, wznosząc się ponad odgłosy rozgrywającej

się wokół bitwy. Przywódca Potęg obserwował przez chwilę swoich żądnych krwi żołnierzy. Mieszkańcy Aerie zaciekle i rozpaczliwie walczyli o życie. A potem jego ciemne oczy, przypominające wzrok jastrzębia, spoczęły na Aaronie. - Pewnie ci się nawet nie śniło, że tak właśnie wygląda koniec! - ryknął w jego stronę z dziką satysfakcją.

Aaron zerwał się ze swojego miejsca na schodach kościoła i wylądował na chodniku, z ognistym mieczem wzniesionym do ciosu.

- To jeszcze nie koniec - krzyknął, machając prowokująco gorejącym ostrzem. Werchiel potrząsnął głową z rozbawieniem.

- Nie, Nefilimie - powiedział, muskając koniuszkami palców pióropusz na hełmie Malaka. - Kto inny uzyskał przywilej pozbawienia cię życia.

Malak powoli wstał i ściskając w opancerzonej ręce długą, czarną lancę, spojrzął na Aarona.

- Przypuszczam, że bardzo chętnie wyrwie ci serce, by je następnie zjeść - powiedział anioł, strzepując kurz ze zbroi swojego szkarłatnego wojownika. - A ja nie zamierzam pozbawiać go tej przyjemności. - To mówiąc, Werchiel podniósł dłoń do ust, ucałował końce palców, po czym dotknął na powrót ręki Malaka.

- Zabij go! - rozkazał.

Malak, otrzymawszy błogosławieństwo swojego pana, ruszył.

Lehahiasz znał aniołów, którzy zaatakowali jego i mieszkańców Aerie. Kiedyś wszyscy byli żołnierzami Nieba, stojącymi na straży Boskich pragnień, ale teraz znajdowali się po przeciwnych stronach barykady. Nie byli już istotami zrodzonymi z czystości i prawości, lecz cieniami swojej dawnej chwały, wynaturzonymi przez nienawistne żądze dowódcy.

Lehahiasz wystrzelił prosto w wykrzywioną wściekłym grymasem twarz atakującego go anioła, a potem obrócił się i zabił kolejnego, zanim jeszcze ten pierwszy zdążył upaść na ziemię. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio zdobył się na taki akt przemocy, i szczerze mówiąc, własne czyny napawały go wstrętem. Mieszkańcy Aerie okazywali mu zawsze dobroć, uspokajając gniewnego ducha. Znalazł swoje miejsce na Ziemi, odszukał dom, który zastąpił mu ten właściwy, niegdyś utracony.

Ale teraz pojawiła się okazja, cień szansy, żeby znów zobaczyć Niebo - i naraz ktoś chciał go tej szansy pozbawić. Nie tylko jego, ale wszystkich, którzy przywykli już do tego, żeby nazywać Aerie swoim domem. Lehahiasz nie zamierzał bez walki wyzbyć się nadziei - bez względu na to, jak była ona nikła. To go napędzało.

Szeryf naciskał spust raz za razem, mając nadzieję, że z każdym nieprzyjacielem straconym z nieba zbliża się chwila przebaczenia - a on sam znajduje się coraz bliżej upragnionego miejsca. Ale wrogów było zbyt wielu, w powietrzu unosił się zapach spalonych ciał i rozlanej krwi.

Co za potworność - pomyślał upadły anioł, dając upust dzikiej furii i patrząc, jak dookoła giną zarówno jego przyjaciele, jak i wrogowie.

Jaką potworną cenę przyszło mu zapłacić za przebaczenie.

- Pamiętasz mnie, Stevie? - Aaron spytał stojącego przed nim potwora. - Pamiętasz, kim jestem?

W odpowiedzi Malak cisnął włócznią z taką prędkością, że Aaron w ostatniej chwili zdążył się uchylić przed jej ostrym jak brzytwa ostrzem.

- Pamiętam. - Zimny głos Malaka odbił się głuchym echem wewnątrz szkarłatnego hełmu. - Pamiętam ból, który mi sprawiłeś, oraz nieszczęście, jakie sprowadziłeś na ten świat.

Malak okręcił się na pięcie z godną podziwu gracją, a ostrze jego zabójczej włóczni przecięło ze świstem powietrze. Nefilim zareagował zbyt wolno - ostrze przecięło koszulę na jego ciele, żłobiąc pod nią długą szramę, od lewego ramienia do prawej strony brzucha. Aaron

odskoczył do tyłu, czując, jak z otwartej rany kapie ciepła krew. Obawiał się, że nie będzie to ostatnia krew przelana w tym pojedynku.

- Jestem twoim bratem - spróbował znowu, przygotowując się na kolejny atak. - Werchiel zabił naszych rodziców. A potem porwał cię i zamienił w coś...

Malak natarł na niego jak rozjuszony byk. Włócznia gdzieś zniknęła, a na jej miejsce pojawiła się przerażająca maczuga, nabijana kolcami.

- On uczynił ze mnie łowcę - ryknął. - Zabójcę przestępców i renegatów, którzy sprzeciwili się woli Nieba.

Aaron zanurkował, pozbywając się miecza i chwycił za rękojeść maczugi Malaka. Przez chwilę szamotali się, próbując wyrwać sobie to prehistoryczne narzędzie zbrodni, aż w końcu Malak z całej siły uderzył pancernym hełmem nasadę nosa Aarona, który usłyszał chrupnięcie i chwilę potem zalał się krwią. Czuł się tak, jakby zaraz miała mu eksplodować głowa, ale nie puścił maczugi.

Malak brutalnie wyrwał mu broń, obserwując przy tym, jak Aaron zatacza się do tyłu i wyciera twarz z krwi. W jego ruchach nie było choćby najkrótszej przerwy, nie mówiąc już o czymś takim, jak litość czy łaska. Opancerzony wojownik przypuścił następny atak i Aaron musiał wymyślić z nicości kolejny miecz, by się przed nim bronić. Maczuga zmieniła się w dwuręczny topór, który

opadł na głowę Aarona z ogromną siłą. Nefilim zasłonił się mieczem - zderzenie dwóch ostrzy, ognistego i z czarowanego metalu, zadzwoniło mu w uszach jak piekielny dzwon.

Obaj przeciwnicy odskoczyli do tyłu, na chwilę przerywając śmiertelne zapasy. Aaron rozejrzał się wokół. Ulice Aerie rozbrzmiewały odgłosami toczonej bitwy i chłopak pomyślał, co stałoby się, gdyby posłuchał Belgogora i nie pospieszył z pomocą Vilmie.

Poczucie winy sprawiło, że Aaron przeszedł do kontrataku. Rzucił się na Malaka, żłobiąc ostrzem ognistego miecza głęboką rysę na chroniącym jego pierś pancerzu. Malak cofnął się, odrzucił topór i sięgnął do swojego nieskończonego arsenału po kolejny magiczny oręż. Aaron nie zamierzał czekać bezczynnie. Wzbił się w powietrze, po czym spadł na wroga z góry jak drapieżny jastrząb, zasypując go gradem ciosów ognistego miecza.

— Nie wiem, co on ci naopowiadał! - wrzasnął do cofającego się Malaka, próbując wyzwolić w swoim bracie choćby cień wspomnień. - Ale to nieprawda.

— Jesteś mistrzem kłamstw i oszustw — odpowiedział Malak, parując ciosy NefLlima za pomocą swojego magicznego miecza, wykutego z ciemnego metalu. Wojownik poruszał się z tak nadludzką szybkością, Aaron dostrzegał tylko przemieszczającą się szkarłatną pla-

mę. - Z twoich ust płyną kłamstwa, jak krew z otwartej rany.

- Posłuchaj mnie, Stevie! - krzyknął Aaron, przyjmując znowu postawę defensywną i z trudem broniąc się przed gradem ciosów.

- Malak! - ryknął rozwścieczony wojownik. - Jestem Malak!

Gwałtowność jego ataków jeszcze wzrosła. - Zabiję cię w jego imieniu! - ryknął, gotując się do zadania ostatecznego ciosu.

Kiedy Aaron z kolei szykował się do odbicia śmiertelnego pchnięcia, zdał sobie nagle sprawę z daremności i bezsensu swoich starań. Czy to *możliwe*? Przez wąziutkie szczeliny w hełmie Malaka dostrzegł na chwilę jego oczy - oczy mordercy, pozbawione jakichkolwiek oznak człowieczeństwa - i zastanowił się przez moment, czy gdzieś tam, we wnętrzu tego potwora, jakim był Malak, pozostał jeszcze choćby malutki ślad Steviego.

Werchiel uśmiechnął się z satysfakcją na widok brutalnych scen, które rozgrywały się na jego oczach. Wszystko szło zgodnie z planem. Rozejrzał się po zrujnowanym ludzkim osiedlu, na którym - z jego inicjatywy - rozgrywała się krwawa bitwa. Robactwo zostanie wypłenione, a wtedy można będzie oczyścić świat z garstki pozostałych

przy życiu, którzy nadal wierzą w tę chorą przepowiednię. Kiedy Aerie zniknie z powierzchni świata, rozprawienie się z ostatnimi Nefilimami, bluźniercami i obrazoburcami, pozostanie wyłącznie kwestią czasu. A wtedy Werchiel powróci, w glorii i chwale, do Królestwa Niebieskiego, dostąpi najwyższych zaszczytów i na zawsze zasiądzie w obecności Wszchemogącego.

Przywódca Potęg wciągnął w nozdrza zapach przemocy, powracając wspomnieniami do chwili, w której podjął się wyznaczonego mu zadania. Przypomniał sobie wojnę w Niebie i prawdziwą walkę, która rozgorzała, gdy sojusznicy Porannej Gwiazdy zostali pokonani, a spór wydawał się rozstrzygnięty. Bezczelni renegaci mieli dość śmiałości i tupetu, żeby schronić się na Ziemi, mając nadzieję, że w ten sposób unikną zasłużonej kary. / *pomyśleć, że oni naprawdę wierzyli w to, że kiedyś otrzymają rozgrzeszenie!*

- Czyżby naszły cię jakieś głębsze refleksje, Werchielu? — wyrwał go z zamyślenia znajomy głos.

Werchiel podniósł wzrok i zobaczył żywego trupa, stojącego u wejścia do kościoła.

- Belfegor! - syknął nienawistnie. - Kamael powiedział nam, że odebrał ci życie w Ogrodzie.

- Wydaje mi się, że trochę nagiął wtedy prawdę - skomentował Założyciel Aerie.

Werchiel poczuł jeszcze większe rozczarowanie osobą Kamaeła. To wzmocniło go do tego stopnia, że zaczął piąć się w górę, przeskakując po kilka schodów naraz.

- Jak to powiadają? - syknął. - Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione jak należy, musisz sam...

Belfegor nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi do świątyni i wślizgnął się do środka.

Werchiel podejrzewał pułapkę, ale świadomość, że ten, którego już dawno uważał za martwego, wciąż cieszy się zdrowiem, dodawała mu sił. Pomyślał o odpowiedniej broni i w jego ręce rozbłysnął Zwiastun Smutku. Gdy tylko poczuł w dłoni chłód niebiańskiego metalu, otworzył na oścież drzwi, po czym wszedł do świątyni, wiedziony żądzą krwi. Kościół tonął w ciemności, nie licząc paru świec, które paliły się u stóp prowizorycznego ołtarza - tam właśnie stał Belfegor.

- Wejdz dalej, zapraszam. - Stary anioł skinął na Werchiela. - Miałem nadzieję, że uda nam się porozmawiać, zanim wszystko wymknie się spod kontroli. - Wzruszył ramionami. - Ale jak widać, trochę się spóźniliśmy.

Werchiel ruszył powoli główną nawą, rozświetlając skąpany w ciemności kościół chybottliwym płomieniem swojego ognistego miecza.

- Nie mam o czym dyskutować z kreaturą twojego pokroju - warknął, zerkając niepewnie na boki.

Belfegor uśmiechnął się, jakby wszedł w posiadanie jakiejś tajemnej wiedzy.

- I tu się mylisz, Werchielu - poprawił go. - Mamy o czym rozmawiać. - To mówiąc, odwrócił się do namalowanego na ścianie obrazu. - Widziałeś? - Wskazał na obraz niezbyt świętej trójcy.

Werchiel zmarszczył brwi.

- W swoim życiu byłem już świadkiem wielu odrażających bluźnierstw. Nie muszę ci chyba mówić, jakim obrzydzeniem napawa mnie ten wizerunek.

Belfegor pokiwał głową.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi.

- Herezją byłoby nawet pomyśleć, że Bóg mógłby pozwolić...

- On już wyraził na to zgodę - przerwał mu Belfegor. - Pozwolił, aby przepowiednia się wypełniła - sam widziałeś to na własne oczy, tylko jesteś tak cholernie uparty, że nie przyznajesz się nawet przed samym sobą.

Przywódca Potęg zagotował się w środku - każde słowo upadłego anioła wzbudzało w nim jeszcze większą furję.

- Stwórca powierzył mi misję i mam zamiar wypełnić ją do końca. Zaś ci, którzy przeciw Niemu zgrzeszyli, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za swoje czyny.

Belfegor powoli podchodził do Werchiela.

- A co z największym wśród grzeszników? - spytał.
- Jak to możliwe, że pierwszemu upadłemu aniołowi
pozwolono spłodzić naszego zbawiciela? Czy to nie daje
ci do myślenia, Werchielu? Nie przekonuje cię, że w sło-
wach starożytnej przepowiedni może tkwić prawda?

Z zewnątrz dobiegały odgłosy krwawej bitwy, ale by-
ły one niczym w porównaniu z ogłuszającym szumem,
jaki wypełnił głowę Werchiela.

- Pierwszy wśród grzeszników nikogo nie spłodził! -
ryknął, zaskoczony własną furią. - Dopilnowaliśmy tego.
Każda kobieta, z którą się zadawał, została zniszczona.
Nie ma szans, aby jego nasienie zapuściło korzenie...

- Nie tylko zapuściło korzenie, ale wydało owoc. -
W głosie Belfegara brzmiała niezachwiana pewność.

Werchiel zacisnął kurczowo dłoń na rękojeści miecza.

- To niemożliwe... - szepnął z niedowierzaniem.

Belfegor kolejny raz wzruszył ramionami.

- Niezbadane są wyroki Boskie... i tak dalej. - To mó-
wiąc, uśmiechnął się i popatrzył znowu na wizerunek
na ścianie. - Nie rozumiesz, Werchielu? Tego właśnie
chciał Bóg - a skoro przebaczył Porannej Gwieździe, to
oznacza, że jest nadzieja dla każdego z nas.

Ściany kościoła wydawały się zamykać nad Werchie-
lem - był pewien, że za chwilę zwałą mu się na głowę.

Świadomość tego, kim okazał się ojciec Nefilima, była dla niego niemal nie do zniesienia. Czy po tym, czego się dowiedział, zdoła jeszcze kontynuować swoją świętą misję? Poczuł, jak wszystko zaczyna mu się wymykać spod kontroli. *Jak mogło do tego dojść?* To pytanie cały czas dźwięczało mu pod czaszką.

- Czy to dla ciebie taki szok, że zasługujemy na przebaczenie? - spytał Belfegor, a to pytanie wbiło się jak sztylet w pierś Werchiela.

- Kłamstwa! - ryknął anioł, po czym rozwinął skrzydła i rzucił się w stronę ołtarza.

Wymierzył broń w malowidło na ścianie i z ostrza jego miecza wystrzelił płomień, który spalił bluźnierczy obraz. Chwilę później poczuł na swoich ramionach dłoń Belfegora, który pchnął go z taką siłą, że Werchiel runął na najbliższy rząd ławek, zmieniając je w stos drzazg.

- Musisz zmierzyć się z prawdą! - wykrzyknął Belfegor sprzed płonącego ołtarza. - Postępujesz wbrew Jego woli!

Werchiel podniósł się z posadzki, kipiąc gniewem i nienawiścią. Ale nie odezwał się ani słowem, wiedząc, co powinien zrobić.

- Ale nie jest jeszcze za późno... - kontynuował Belfegor.

Ciało Werchiela zaczęło emanować blaskiem. Ubranie, które miał na sobie, spłonęło, odślaniając ciało, przypominające chłodną, białą perłę. Posadzka pod nim zaczęła się dąć, aż w końcu drewno zajęło się ogniem.

- Ty też możesz zostać rozgrzeszony ze swoich czynów.

Werchiel rozpostarł ramiona, a jego ciało eksplodowało falami niebiańskiego ognia.

- Wszyscy możemy wrócić do domu, Werchielu - nie zrezygnował Belfegor, chociaż i on zaczął już dymić.

A potem spłonął.

Tak jak wszyscy.

Malak posługiwał się dwoma sztyletami naraz, zadawał pchnięcia na lewo i prawo, poruszając się z imponującą gracją jadowitego węża. Pojedynek z Aaronem wydawał się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Za to Nefilim czuł, że powoli słabnie.

Nie chciał zapamiętać swojego brata jako atakującego go potwora, więc przypomniał sobie dziecko, które kochał, czerpiąc z tych emocji siłę. A potem dobył dwuręcznego miecza z pulsującym pomarańczowo ostrzem i nie marnując czasu, ciął nim na oślep. Ostrze trafiło Malaka w nadgarstek, wytrącając mu jeden ze sztyletów i syjąc iskrami, kiedy niebiański ogień zetknął się z magicznym metalem.

Aaron usłyszał syk bólu i gniewu, dobiegający spod szkarłatnej maski, kiedy Malak przycisnął nadgarstek do piersi. Mimo iż ostrze nie przebiło pancerza, delikatne ciało pod nim musiało uciepnieć pod wpływem potężnego uderzenia.

- To nie musi być tak, Stevie - powiedział Aaron desperacko. Nie mógł się poddać.

Ale daremne starania Aarona tylko rozwścieczyły Malaka i zakuty w zbroję wojownik natarł na niego po raz kolejny. Unikając ciosu, Aaron czuł, że jakaś część jego istoty powstrzymuje się od zadania śmiertelnego pchnięcia. Ale zdawał sobie też sprawę, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, ta część sprowadzi na niego śmierć. Malak nie był już Steviem. Musiał się z tym pogodzić, by móc zakończyć pojedynek.

Kiedy Malak ciął go krótkim mieczem, Aaron wzbił się w powietrze, a potem złapał opancerzonego wojownika pod ramiona i podniósł do góry. Malak rzucał się w jego uścisku, ale Nefilim unosił go coraz wyżej i wyżej. W pewnym momencie zabójca na usługach Potęg wierzgnął dziko, trafiając jednym z koleców na swoim hełmie we wrażliwe miejsce na brzuchu Aarona. Chłopak stracił na moment kontrolę i wypuścił z objęć Malaka, który poszybował w dół. Aaron przyglądał się, jak szkarłatna postać spada bezwładnie, jak szmaciana kukła

i z trudem powstrzyma! się, żeby nie pójść mu z pomocą. Malak z głuchym łoskotem uderzył w ziemię i znieruchomiał u stóp schodów do kościoła.

Nefilim zanurkował z góry i wylądował obok bezwładnego ciała. Czując wyrzuty sumienia i żałując, że nie żywi nienawiści do tego opancerzonego wojownika, Aaron zdjął z twarzy Malaka przerażającą metalową maskę, żeby zobaczyć raz jeszcze twarz zabójcy, spojrzeć mu w oczy i odnaleźć w nich swojego małego braciszka. Odrzucił na bok hełm, delikatnie podłożył mu rękę pod głowę i uniósł lekko. Z lewego nozdrza Malaka wyciekła strużka krwi, ale mimo to zdołał powoli otworzyć oczy.

Aaron zamarł. Ciałem rannego wstrząsnęły dreszcze. Zakaszłał.

- Aaron? — spytał głosem, który wydawał się dobiegać z odległości wielu kilometrów.

Głos był słaby, ale wydał się Aaronowi dziwnie znajomy. Przyciągnął więc do siebie młodego mężczyznę, łudząc się, że jest jeszcze jakaś szansa, choćby najmniejsza.

- Jestem tu - wyszeptał, otulając ich obu skrzydłami.

- Aaron... - wykrztusił znowu Malak drżącym i pełnym bólu głosem.

- Trzymaj się, zaraz cię poskładamy - zapewnił go Aaron, mając już pewność, że gdzieś tam jest Stevie, który zмага się ze swoją tożsamością, a także z bólem

i cierpieniem, jakie zadał mu Werchiel, by wykorzystać go do swoich niecznych celów. Widząc, że Malak toczy wewnętrzną walkę, Aaron przycisnął go do piersi jeszcze mocniej.

- Belfegor i Lorelei, oni będą wiedzieli, co robić. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - trzymaj się, Stevie!

Stevie powoli podniósł się, żeby dotknąć twarzy brata. Palcami w żelaznej rękawicy dotknął anielskich symboli na jego ciele.

- Będziemy znów rodziną - ty, ja... i Gabriel. - Aaron roześmiał się nerwowo, dając upust targającym nim emocjom. - Nie zapomniałeś go, prawda?

Wtedy zobaczył to w jego oczach, zanim zdążył zareagować. Stevie przegrał walkę. Malak zacisnął dłoń na gardle Aarona i zaczął go dusić. Uścisk był potwornie mocny, całkowicie odcinał dopływ powietrza.

- Aaron - Malak powtórzył to imię, lecz tym razem zabrzmiało ono raczej jak syk gada, pozbawiony wszelkich emocji.

Nefilim złapał oburącz za nadgarstek zabójcy Potęg, próbując rozluźnić morderczy chwyt. Ale Malak nie puszczał, chichocząc przy tym upiornie. Przed oczami Aarona pojawiły się kolorowe plamy i chłopak wiedział, że niedługo straci przytomność. Rozwinął skrzydła i za-

czał wściekle młócić nimi powietrze, wznecając tumany kurzu i drobnych kamieni. Bez skutku - uścisk Malaka nie zelżał ani trochę. Wojownik wydawał się wręcz bawić tą walką, jakby wiedział, że zwycięstwo pozostaje tylko kwestią czasu.

Aaron wyraźnie słabł. Jego skrzydła zeszywniały, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Spojrzał w oczy potwora, który był kiedyś jego bratem, i otworzył usta w niemym krzyku. Wydobył z nich tylko głuchy charkot, który w uszach Nefilima zabrzmiał jak wrzask rozpaczony i wściekłości z powodu tego, co stało się z tym niewinnym, małym chłopcem.

Malak uśmiechnął się, kiedy Aaron puścił jego nadgarstek.

Ale Nefilim nie zamierzał się poddać. Z wyimaginowanego arsenału w głowie wydobył nóż o wąskim i długim ostrzu. Sztylet obudził się do życia w dłoni Aarona i Malak skupił na nim wzrok. Zbroja zabójcy była niewrażliwa na ciosy niebiańskiego oręęża, ale ciało pod pancerzem już nie. Aaron zatopił płonące ostrze w szczelinie między płytami pancerza na ramieniu swojego przeciwnika.

Malak zawył z bólu - jego krzyk przypominał raczej skowyt rannego zwierzęcia niż głos człowieka. Odruchowo złapał się za palące ramię, puszczając tym samym



szyję Aarona. Ten zatoczył się do tyłu, pocierając spuchniętą krtani i rozpaczliwie łapiąc powietrze.

- To zabolało! - Chrapliwy głos Malaka zmienił się na chwilę w głos dziecka, którym kiedyś był. Ale Aaron już wiedział, że to niemożliwe i nie dał się nabrać na ten podstęp.

Wolnym ramieniem Malak nakreślił w powietrzu jakiś kształt i Aaron zobaczył, jak niebo rozstępuje się nad nim. Po raz pierwszy wsłuchał się w towarzyszący temu zjawisku dźwięk, który przypominał mu rozdzieranie grubego materiału. A potem morderca dobył ze swojego nieskończonego arsenału nową broń - tym razem była to kusza.

Walka dała się już we znaki obydwu przeciwnikom. Zmęczony Aaron wymyślił sobie kolejny ognisty miecz, ale jego nieprzyjaciel był szybszy. Ostrze miecza nie zdążyło jeszcze przybrać kształtu, kiedy Malak wystrzelił z kuszy pocisk z ciemnego metalu. Aaron zdążył go odbić, ale Malak błyskawicznie załadował kuszę i wystrzelił jeszcze raz. Tym razem Nefilim nie był wystarczająco szybki i bełt wbił mu się głęboko w łydękę.

Ból powalił go na kolana. Próbował wyciągnąć sobie pocisk z nogi, ale grot lepił się i ślizgał od krwi. Usłyszał chrzęst metalu i kątem oka zobaczył, że Malak podąża w jego stronę z obnażonym mieczem. Aaron z trudem podniósł się i przygotował do odparcia kolejnego ataku.



Wtedy właśnie eksplodował kościół. Z jego świątobliwego wnętrza wydobył się blask, a chwilę później rozległ się ogłuszający huk i w powietrze buchnęły żarłoczne pomarańczowe płomienie. Na pole bitwy spadł grad kawałków metalu, drewna i szkła.

- Panie! - Malak zawył żałośnie, skupiając się wyłącznie na poczerniałej, dymiącej dziurze w ziemi, gdzie kiedyś znajdowało się główne miejsce kultu w Aerie.

Pokaz troski i przywiązania do potwora, który zadał Malakowi tylko ból i cierpienie, popchnął Aarona do działania. To był ten moment, na który czekał i którego tak się obawiał - niepowtarzalna szansa przechylenia losów walki na swoją korzyść i zakończenia jej. Czas zwolnił, a noga za-protestowała z bólu, kiedy Aaron rzucił się w stronę zdezorientowanego wroga. Oburącz wzniosł miecz nad głowę, a potem ciął, wkładając w ten cios całą siłę, jak mu jeszcze została. Kiedy obserwował, jak ostrze zmierza nieuchronnie w stronę celu, przez jego głowę przelatywały obrazy z przeszłości - stopklatki z dawno minionego czasu.

Nefilim zobaczył małego chłopca, którego kiedyś kochał, śpiącego spokojnie w swoim łóżku. Przy łóżku leżał zwinięty w kłębek Gabriel.

Ostrze było już coraz bliżej i Malak odwrócił się, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z grożącego mu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Dziecko kiwające się przed telewizorem, który wyświetlał tylko kontrolny obraz.

- Wybacz mi, Stevie - wyszeptał Aaron, kiedy niebiańskie ostrze dosięgło wreszcie celu, przecinając mięśnie i kości na karku Malaka i odrąbując głowę od zakutego w zbroję ciała.

Aaron upadł na kolana przed ciałem swojego wroga - swojego brata - i zwiesił głowę. Poczłł się zupełnie pozbawiony sił, jakby ostatni akt przemocy pozbawił go całej życiowej energii.

Wtem usłyszał dźwięk w ruinach kościoła i podniósł głowę. Kolejny oślepiający błysk owiał jego twarz ciepłym podmuchem. Ze zgliszczy podniosła się postać, niesiona wiatrem na skrzydłach utkanych z niebiańskiego światła.

- Morderca! - przez ziemię przetoczył się głuchy, oskarżycielski głos Werchiela.

ROZDZIAŁ 15

Bez względu na to, jak bardzo się starała, Lorelei nie była w stanie uratować tego mężczyzny.

Atak Potęg był bezlitosny i brutalny. Dziewczyna patrzyła w niemym przerażeniu, jak ci, których nazywała swoimi przyjaciółmi, giną na jej oczach. Robiła, co w jej mocy i używała anielskiej magii, by odeprzeć kolejne ataki. Ale mieszkańcy Aerie ginęli, jeden po drugim.

Nie znała dobrze tego mężczyzny, który na imię miał chyba Mike. Był Nefilimem i trafił do Aerie niedługo

po niej. Miał bladą skórę, krótko przystryżone włosy i mnóstwo blizn wokół nadgarstków. Tak jak Lorelei, on również został umieszczony w zakładzie dla psychicznie chorych, po tym jak obudziła się w nim anielska moc.

Lorelei widziała, jak został strącony. Jeden z żołnierzy Potęg spadł na niego prosto z nieba i nadział go na ostrze swojej płonącej włóczni, po czym odleciał w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Kiedy Lorelei podbiegła, mężczyzna był przytomny. W jego oczach widać było cień nadziei, że to jeszcze nie koniec, pomimo olbrzymiej rany, ziejącej w piersi. Gdyby tylko miała w sobie moc.' Lorelei z trudem odciągnęła rannego z ulicy, jak najdalej od bitwy, która miała przesądzić o losie ich wszystkich. A potem uklękła obok niego na zniszczonym trawniku przed domem, wzięła jego dłoń i włożyła w swoją.

Kiedyś próbowała nawet porozmawiać z Mikiem. Za każdym razem, gdy widziała go na ulicy i na spotkaniach mieszkańców Aerie, uśmiechała się do niego i mówiła „Cześć.”. Ale Mike trzymał się z dala od innych. Podobno źle znosił swoją transformację. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Umierał, a Lorelei nie była w stanie zrobić nic, by go uratować. Mogła tylko trzymać go za rękę i być z nim w tej ostatniej chwili.

Nie idzie nam najlepiej - pomyślała, ściskając delikatnie rękę mężczyzny. Umierający Nefilim odwzajemnił słaby

uścisk. Z jego rany wciąż wydobywał się dym, jakby płonął od środka. Lorelei położyła mu dłoń na piersi, mając nadzieję, że może uda jej się ugasić żar.

W oddali usłyszała łoskot wystrzałów z broni swojego ojca, co oznaczało że kolejny gwardzista Potęg spotkał się z przeznaczeniem. Ale to za mało. Większość mieszkańców Aerie nie była żołnierzami, zaś Potęgi poprzysięgły śmierć wszystkim Nefiimom i upadłym aniołom, którzy stanęli po ich stronie. Lorelei czuła, jak Nefilim w jej objęciach umiera - to było takie uczucie, jakby część jej także ulatywała w powietrze.

Lorelei spojrzała na Mike'a i zobaczyła, że odszedł. Szeroko otwartymi w agonii oczami wpatrywał się w niebo, które dla nich wszystkich miało być miejscem lepszym niż Ziemia - miejscem, w którym mieli odnaleźć upragniony spokój. Czy nie o to właśnie walczyli?

Dziewczyna wstała i wróciła na pole bitwy. Ziemia była usłana trupami mieszkańców Aerie i ich prześladowców. W pewnym momencie Lorelei ujrzała jednego z żołnierzy Potęg, z wygiętym pod nienaturalnym kątem skrzydłem, który zmierzał w jej stronę. W ręce trzymał płonący sztylet, a w błyszczących czarnych oczach lśniła żądza mordy. Widać uznał ją za łatwy cel.

- Muszę cię rozczarować - powiedziała i zaczęła wypowiadać zaklęcie obronne. Czuła, jak zbiera w niej

anielska moc. Anioł był już o krok, ale Lorelei nawet nie drgnęła. Wyczuwała bijący od niego smród nienawiści - coś jak przyprawy zmieszane z palonymi oponami. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Lorelei czuła się coraz bardziej zmęczona. Jej ciało nie przywykło do sterowania takimi dawkami energii przez tak długi czas. Dlatego zakłęcie nie zadziało od razu. Ale w końcu udało jej się skumulować w sobie wystarczającą porcję magicznej mocy. Z koniuszków jej palców wystrzelił świetlisty promień, który przybrał formę ognistej kuli. Energia pokonała dzielący ich niewielki dystans i uderzyła gwardzistę Potęg prosto w twarz, zatrzymując go w miejscu. Anioł wrzasnął przeraźliwie, kiedy jego oblicze zmieniło się w popiół, po czym upadł na kolana. Był martwy, zanim jego ciało dotknęło ziemi.

Lorelei zakręciło się w głowie, a opuszki palców bolały jak odmrożone. Zastanowiła się, czy znajdzie w sobie jeszcze wystarczające siły w przypadku kolejnego ataku, kiedy nagle poczuła nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Odwróciła się, żeby spojrzeć na pole bitwy przed kościołem. Wyczuła obecność Belfegora i wiedziała, że starzec cierpi. Ale gdy tylko ruszyła w stronę świątyni, ta eksplodowała z hukiem i błyskiem. Podmuch był tak potężny, że uniósł Lorelei w górę, po czym cisnął z powrotem o ziemię. Pozbierała się z trudem i skierowała w stronę

dymiącej kupy gruzów. Nawet zniszczenie kościoła nie było w stanie złamać w nich ducha walki.

- Belfegorze! - krzyknęła, czując pod stopami bijące od ruin gorąco, które zaczynało topić podeszwy jej butów.

Wtedy właśnie to poczuła - delikatne echo jego niegdyś potężnej siły życiowej, która wołała gdzieś w pobliżu. Ujrzała pod jedną z zawalonych ścian przywołującą ją poczerniałą, spaloną rękę. Podbiegła tam i używając całej siły, odwaliła gruzy, odsłaniając korpus starego anioła. Belfegor był tak mocno pokiereszowany, że Lorelei zastanawiała się, jakim cudem w ogóle jeszcze żyje. Z każdym oddechem z jego ust wydobywało się ciche rzęzenie, a gdy położyła mu dłoń na osmalonym policzku, jego oczy - te piękne, mądre oczy - otworzyły się.

- Belfegorze... - wyszeptała Lorelei, z trudem powstrzymując łzy. - Co oni ci zrobili?

Upadły anioł zamknął znowu oczy, jakby próbując znaleźć w sobie siłę, żeby mówić.

- Przegrałem moją bitwę - wyszeptał drżącym głosem, przypominającym szelest liści na wietrze. - Ale wojna jeszcze się skończyła.

- Oni wycinają nas w pień. - Lorelei smutno zwiesiła głowę.

Tym razem to Belfegor dotknął poczerniałą ręką jej głowy, a ona podniosła wzrok.

- Tak długo jak on żyje - wykrztusił - wciąż jest nadzieja.

Lorelei chciała w to wierzyć. Chciała uwierzyć w Aarona Corbeta. Ale w tej chwili wszystko wydawało jej się takie nierealne. Zamiast więc rozmyślać, zaczęła dalej odgarniać gruz.

- Zobaczmy, czy uda mi się cię stąd wyciągnąć...

- Przestań - Głos Belfegora nagle przybrał na sile.
- Dla mnie jest już za późno - dodał z rezygnacją.

Lorelei nie chciała o tym nawet słyszeć. Nie chciała służyć, jak się poddaje. Jeżeli udało mu się przeżyć do tej pory, może jest coś, co może dla niego zrobić, by szybciej wyleczył się z ran. Zaczęła szukać w głowie jakiegoś uzdrawiającego zaklęcia.

- Nie możesz umrzeć - krzyknęła, wciąż rozpaczliwie próbując go uwolnić. - Musisz wytrzymać... musisz zaczekać, aż dzięki Aaronowi otrzymasz rozgrzeszenie.

- Widocznie pisany mi jest inny los - smutno odparł Belfegor, składając głowę na kupce strzaskanych cegieł.

Chociaż przyznanie się do tej myśli sprawiało Lorelei ból, w głębi duszy wiedziała, że stary anioł mówi prawdę.

- Wieloletnie opiekowanie się zatrutymi ogrodami osłabiło mnie. - Belfegor pokręcił głową. - Nie rozpaczaj z mojego powodu - dodał. - I tak żytem znacznie

dłużej, niż się spodziewałem. Od kiedy Kamael darował mi życie w Edenie, wiedziałem, że żyję na kredyt, i obiecałem sobie, że gdy mój czas w końcu nadejdzie, nie będę z tym walczył, ale pogodzę się z losem, który był mi pisany już dawno temu.

Belfegor zamilkł i zamknął oczy. Przez chwilę Lorelei myślała, że może już umarł. Ale stary anioł westchnął głęboko, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Jediną rzeczą, której żałuję, jest to, że nie doczekam chwili, w której to wszystko się skończy.

Lorelei nie odpowiedziała, ale Założyciel odgadł jej myśli.

- Myślisz, że wszystko już stracone? - spytał, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Dobiegły ich odgłosy toczącej się nadal bitwy. Huk broni Lehahiasza, krzyki wściekłości i jęki konających. Lorelei nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, iż przegrywają wojnę. Czuła to w głębi duszy. Czuła, jak umierają.

- Nawet z Aaronem nie jesteśmy wystarczająco silni - szepnęła, przepełniona brakiem nadziei.

- Więc uwierz w to - powiedział Belfegor. - Czy rozumiesz w ogóle, kim naprawdę jesteś? - spytał, z trudem cedząc każde słowo. - Połączeniem dwóch najwspanialszych istot Boskich w jedną wspaniałą formę życia.

Przysłuchując się słowom Belfegora, Lorelei poczuła, jak kolejny z mieszkańców Aerie wyzioną! ducha.

- Myślisz, że Potęgi zabijają was, bo mają was za gorszych od siebie? - ciągnął dalej Belfegor. - Oni polują na was dlatego, że się was boją - obawiają się drzemiaczej w was siły i tego, czym możecie się stać. - Z grymasem bólu podniósł do góry rękę i wskazał Lorelei poczerńniętym palcem. - Ty i każdy Nefilim jesteście kolejnym ogniwem ewolucji... tym, co najlepsze. Ale aby przeżyć - i doprowadzić do spełnienia przepowiedni - musicie walczyć. To ostatnia próba, której musimy stawić czoła, zanim ostatecznie zasłużymy na odkupienie.

W słowach starego upadłego anioła zawarta została tak wielka moc, że Lorelei poczuła, jak wracają jej znów siły. *Tym, co najlepsze* - powtórzyła w myślach, patrząc, jak Założyciel powoli zamyka oczy.

- Pokaż im, co to znaczy być Nefilimem - usłyszała jeszcze gasnący szept, który stopniowo przeszedł w charkot.

Lorelei poczuła, jak grunt wymyka jej się spod nóg, a świat nagle staje się lodowatym, nieprzyjaznym miejscem.

- Spij dobrze, staruszku. - To mówiąc, nachyliła się i ucałowała go w osmalone czoło.

Potem wstała z gruzowiska i rozejrzała się po pobojo-wisku, gdzie mieszkańcy Aerie wciąż toczyli śmiertelny

bój o spełnienie swojego snu, którym była przepowiednia. *Tym, co najlepsze* - przypomniała sobie po raz kolejny słowa Założyciela Aerie i zdała sobie sprawę, że właśnie nadszedł moment, by udowodnić Belfegorowi, że miał rację.

- To dla ciebie - powiedziała, sięgając w głąb siebie, by rozbudzić moc, która zdawała się być już całkowicie wyczerpana. Spojrzała w bezchmurne niebo, przywołując żywioły w języku postaćców.

I niebiosa odpowiedziały.

Z wielką mocą.

Strach minął.

Aaron pozbiierał się z ziemi, z bełtem kuszy wciąż tkwiącym w nodze. W ręce trzymał ognisty miecz, którym przed chwilą odebrał życie Steviemu. Spojrzał z odrazą na wołającego go wroga.

Werchiel unosił się nad ruinami kościoła, rozniecając potężnymi skrzydłami niewielkie pożary, które wciąż jeszcze tłące się w zgliszczach. Kiedy Aaron przyglądał się Boskiej istocie, która upadła nieporównywalnie niżej niż ci, których ściagała na tej zatrutej ziemi, czuł jedynie gniew.

Werchiel z gracją wylądował na zasypanym gruzem chodniku. Jego zbroja wciąż połyskiwała olśniewająco w przydymionym świetle słonecznego poranka. On także ścisnął w ręce miecz - naprawdę imponujące ostrze, które Aaron widział, gdy starli się po raz pierwszy nad domem w Lynn w noc, kiedy zginęli jego rodzice, a Stevie został porwany.

Jak zwykł w takich sytuacjach mawiać Popeye? - Aaron zastanawiał się gorączkowo w myślach. Aż wreszcie przypomniał sobie charakterystyczny, chropowaty głos popularnego bohatera kreskówek, miłośnika szpinaku. *To wszystko, co mogłem znieść. Więcej już nie zniosę.* Aaron uśmiechnął się - słowa animowanego marynarza doskonale ukazywały stan jego własnych emocji. Przestał się już bać mściwych istot z Nieba, a po wszystkim, co przeżył w ciągu kilku ostatnich godzin, nie był w stanie już się czymkolwiek przejmować.

Werchiel powoli zmierzał w jego stronę, krokiem pewnego siebie, mocnego drapieżcy. Oczywistym było, że uważał się już za zwycięzcę. Nie mógł się bardziej mylić - Aaron rozwinął skrzydła i rzucił się na swego wroga, z mieczem wzniesionym do ciosu. Jego ciało krzyczało wniebogłose; wszystkie rany, które do tej pory odniósł, dawały teraz o sobie znać.

- Pokażę ci, co to znaczy być mordercą - warknął gło-

sem przepętnionym furją swojej anielskiej natury, która stała się jego nieodłączną częścią.

- Zobacz, co narobiłeś - uśmiechnął się Werchiel, parując jego cios i wyprowadzając natychmiast kontrę.

Aaron zaczął cofać się pod naporem uderzeń Werchiera. Z góry spadał na niego grad ciosów i nie mógł sobie pozwolić na słuchanie drwin anioła, które miały sprawić, że jego opór osłabnie razem z wiarą w pozytywne zakończenie całej historii. W pewnej chwili potknął się o coś na ulicy i rzucił okiem, żeby zobaczyć bezgłowe ciało martwego Steviego.

Werchiel wykorzystał moment nieuwagi swojego przeciwnika i ciął z całej siły, dotkliwie raniąc Aarona w policzki. Nefilim wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Miał jednak wiele szczęścia - ostrze Werchiera mogło wyłupać mu oko.

Przywódca Potęg roześmiał się głośno. Bawił się z przeciwnikiem jak kot z myszką. *Czas, żeby myszka pokazała kotu, na co naprawdę ją stać* - pomyślał Aaron. Rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze, ignorując oślepiający ból zranionej nogi, w której wciąż tkwił bełt kuszy. A potem runął z góry na dowódcę Potęg, uderzając ramieniem o jego chronioną pancerną zbroją klatkę piersiową; obaj wrogowie runęli na ziemię, spleceni w śmiertelnym uścisku.

- Odkupiciel win wszystkich upadłych - syknął Werchiel przez zaciśnięte zęby. - Oni naprawdę wierzyli w to, że ich zbawisz.

Wściekłość i ból dodawały sił Aaronowi, kiedy złapał anioła za rękę, nie pozwalając mu użyć miecza. Spojrzał w czarne, bezdenne oczy potwora, szukając w nich choćby śladu istoty, która kiedyś wiernie służyła Bogu. Lecz dostrzegł tylko własne odbicie i wykrzywioną z odrazy twarz.

- Rozejrzyj się wokół, Nefilimie. - Dowódca Potęg próbował przełamać jego żelazny uścisk. - Nie przyniosłeś im wybaczenia, tylko śmierć i zniszczenie.

- Nie! - krzyknął Aaron. Sięgnął ręką w dół i wyciągnął z rany na łydce zalany krwią belt kuszy. - Ale pokażę ci, co naprawdę znaczy śmierć i zniszczenie, sukinsynu! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Na twarzy Werchiela odmalował się szok i przerażenie, kiedy ujrzał jak czarny grot magicznego bełtu zbliża się nieuchronnie do jego piersi. Bełt bez trudu przebił pancerz i utkwił w ciele anioła. Werchiel zawył z bólu i szarpnął tak gwałtownie, że udało mu się zrzucić z siebie Aarona.

Nefilim nie zamierzał jednak zmarnować raz zdobytej przewagi. Mimo rwącego bólu w nodze, rzucił się na nieprzyjaciela z bitewnym krzykiem na ustach i nie-

biańskim mieczem gotowym do ciosu. Nie chciał dać temu potworowi nawet najmniejszej szansy na regenerację sił. Ale Werchiel był szybki, nawet pomimo grotku tkwiącego mu w piersi. Dobył broni i zdołał odbić cios Aarona.

- Ty też zacząłeś z czasem wierzyć w te brednie - wycedził z pogardą.

Po tych słowach odwrócił się na bok i błyskawicznie rozprostował skrzydło, trafiając Aarona w twarz i odrzucając go w tył. A potem zajadłe ciął mieczem, który niósł śmierć. Nefilim poruszał się jednak z nie mniejszą wprawą i rozgrzane do białości ostrze po raz kolejny minęło jego twarz o włos.

- Jesteś równie obłąkany, co potwór, który cię spłodził - ripostował dalej Werchiel, a ogień buchający z jego miecza roztopiał asfalt ulicy, na której walczyli. Dowódca Potęg wzbił się w powietrze, rozpościerając imponujące skrzydła w całej okazałości, po czym z gracją obrócił się i zanurkował jak drapieżny jastrząb, polujący na nieświadomą zagrożenia ofiarę.

Ale Aaron nie był ofiarą. Nie ruszył się nawet z miejsca, tylko sparował cios z całych sił.

- Co wiesz o moim ojcu? - wrzasnął, kiedy ostrza ich mieczy zetknęły się.

Miecz Nefilima eksplodował z siłą wybuchu jądrowego.

wego, odrzucając go na drugą stronę ulicy. Aaron czuł, jak dzwoni mu w uszach. Z trudem wstał i zobaczył, że na jego przeciwniku to starcie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Stał niewzruszenie, chociaż z rany na piersi sączyła mu się strużka ciemnej krwi.

- Twoja broń jest tak ułomna, jak sam pomysł, że mógłbyś stawić mi czoło w walce - wyszczał anioł, podnosząc w górę swój przerażający oręż. - Zwiastun Smutku napije się dziś twojej krwi.

- Jajuz stawiłem ci czoło w walce - odparł gniewnie Aaron. - Czy mój ojciec walczył równie dzielnie?

Anioł cofnął się o krok, jakby uderzony pięścią w twarz. Po chwili na jego twarzy pojawił się okrutny, zjadliwy uśmiech.

- Ty nie wiesz, prawda? Nie masz bladego pojęcia, kim byt ten, który cię spłodził.

A potem zaczął się śmiać.

Aaron zareagował instynktownie. W jego dłoni pojawiła się nowa broń, która zaczęła przybierać nieznaną do tej pory formę. To był... kij baseballowy Louisville Slugger, płonący żywym ogniem. Gdyby nie tragizm całej sytuacji, Aaron parsknąłby na ten widok śmiechem.

Dwaj śmiertelni wrogowie znów ruszyli na siebie. Aaron zamachnął się ognistym kijem i z olbrzymią mocą rąbnął z boku na odlew. Pałka zderzyła się z mieczem,

po czym siłą rozpędu trafiła Werchiela w twarz. Wytrącony z równowagi, przywódca Potęg z najwyższym trudem utrzymał się w powietrzu, z furią wymachując potężnymi skrzydłami. Ale Aaron nie dał mu drugiej szansy. Opuścił swój gorejący kij baseballowy na głowę Werchiela, patrząc, jak anioł spada jak kamień na ulicę, ledwie amortyzując upadek skrzydłami.

Aaron był już doprowadzony do ostateczności - świadomość, że Werchiel mógł znać jego ojca, nakręcała go jeszcze bardziej. Musiał posiadać tę wiedzę - ten brakujący element układanki - nawet gdyby miał ją wyrwać aniołowi z gardła gołymi rękami. Wylądował na czworakach przed Werchielem, który właśnie zbierał się z ziemi, wciąż ściskając w ręce swój miecz - Zwiastun Smutku. Aaron nie wahał się ani chwilę. Opuścił kij na nadgarstek anioła, wytrącając mu oręż z ręki. Miecz upadł na ziemię, po czym eksplodował z błyskiem, pozostawiając po sobie jedynie małą smugę dymu.

- Tak wiele mi odebrałeś - Aaron wyrzucił z siebie, unosząc się nad Werchielem. - Teraz nadszedł czas, byś dał mi coś w zamian.

Werchiel zjeżył się jak osaczone zwierzę.

- Nic ode mnie nie dostaniesz — syknął.

Aaron opuścił patkę po raz kolejny, strącając dowódcę Potęg na ziemię. Chciał zadać mu ostateczny cios, ale po-

wstrzymał się, poskramiając w sobie morderczy instynkt. Nie było to łatwe. Przed nim stał potwór odpowiedzialny za śmierć jego rodziców, Zeke i Kamaela. Pokonany, na kolanach. Aaron miał zamiar okazać mu taką samą łaskę, jaką Werchiel okazał jego najbliższemu. Ale dopiero wtedy, gdy uzyska odpowiedź na nurtujące go pytanie.

- To koniec, Werchielu - odezwał się głosem kipiącym od wściekłości. - Całe to nieszczęście i śmierć, za które jesteś odpowiedzialny, w końcu obróciły się przeciw tobie.

Werchiel zerknął na ognisty kij, przyszpilający go do ziemi.


- Stwórca...

- Co zrobi Stwórca? - wrzasnął na niego Aaron. — Co jeszcze musi się stać, żebyś w końcu zrozumiał, że zostałeś sam? Bóg już cię nie chroni!

Twarz Werchiela powoli przybrała postać upiornej maski. A potem anioł zaczął się śmiać przeraźliwie wysokim tonem, w którym zabrzmiała nutka szaleństwa.

- Bardzo dobrze, Nefilimie - zachichotał, patrząc Aaronowi w oczy. - Prawie udało ci się mnie nabrać. Wygląda na to, że odziedziczyłeś po swoim ojcu dar wypaczania prawdy.

Aaron nie mógł tego dłużej znieść. Ogarnął go dziki szał i wznosił broń do zadania ostatecznego ciosu.



- Kto jest moim ojcem? - zażądał odpowiedzi.

Ale dowódca Straży Anielskiej okazał się sprytniejszy, niż Aaron się spodziewał. Zdażył dobyć miecza i zatrzymać śmiertelny cios Nefilima.

- Umrzesz z tą wiedzą dźwięczącą ci w uszach - syknął Werchiel, zrywając się na równe nogi, z gorejącym na pomarańczowo sztyletem w zranionej dłoni. Nóż zatoczył w powietrzu łuk, celując w odsłonięte gardło Aarona. - To on wszystko rozpętał. Gdyby nie jego pycha i samolubstwo, nikt z nas by nie upadł.

Ostrze sztyletu zbliżało się nieuchronnie, ale Aaron zamarł w oczekiwaniu na prawdę.

- Twoim ojcem jest... - zaczął anioł, ale nie dane mu było dokończyć.

Z nieba runęły na ziemię snopy oślepiających błyskawic - imponujący pokaz niszczycielskiej siły, palącej wszystkich, których spotkały na swojej drodze.

Lehahiasz toczył właśnie śmiertelny pojedynek z jednym z żołnierzy Werchiela, kiedy lodowato niebieski promień cisnął go do tyłu, zamieniając jego przeciwnika we wrzeszczącą pochodnię, od której - pod wpływem ogromnej temperatury - zaczął rozpląwać się asfalt.

Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Z nieba spadał ulewny deszcz wyładowań elektrycznych.

które uderzały we wszystko, co się ruszało. *Nie* — Lehahiasz poprawił sam siebie, wstając i podnosząc kapelusz z ziemi. *Nie we wszystko. Tylko w Potęgi...* Przez moment wydawało mu się, że może ma do czynienia z jakąś Boską interwencją, że w ten właśnie sposób Stwórca okazał im swoje przebaczenie. Lecz po chwili, między kolejnymi błyskami światła dostrzegł jej sylwetkę na gruzach kościoła.

- Lorelei - Lehahiasz powiedział na głos. A potem patrzył oniemiały, jak jego córka, z głową odchyloną do tyłu i rękami wzniesionymi do góry, przyzywa moc żywiołów. Z końców jej palców wypływały strugi magicznej mocy, które wznosiły się w niebo, łącząc się z podstawą nisko wiszących, burzowych chmur. Lehahiasz widział wcześniej, do czego jest zdolna Lorelei, ale nigdy wcześniej nie był świadkiem takiej mocy.

Błyskawice spadały dalej, wycinając w pień wszystkich, którzy starali się przed nimi uciec. Ich spopielone ciała rozrzucał wiatr. Ocalali mieszkańcy Aerie również uciekali w popłochu przed elektryczną rzezią, ale Lehahiasz odwrócił wzrok z powrotem w stronę swojej córki. Podniósł do góry jeden ze złotych rewolwerów i wystrzelił, mając nadzieję, że zdekongruje ją w ten sposób. Lecz Lorelei nawet nie drgnęła, tylko dalej wpatrywała się w niebo, z wyciągniętymi szeroko ramionami, sprządzając na ziemię furie żywiołów.

Wraz z nadejściem kolejnej fali błyskawic, Leahiasz poczuł, jak drży ziemia pod jego stopami. Tym razem moc jego córki była tak potężna, że aż nie do poskromienia - sięgała w głąb ziemi. Wtedy Leahiasz przypomniał sobie o tonach toksycznych odpadów, zakopanych pod ziemią na osiedlu Ravenschild. Nie namyślając się ani chwili, puścił się pędem w stronę Lorelei, czując pod stopami kolejne wibracje. Musiał jakoś odwrócić jej uwagę. Ostrzec ją, zanim...

W powietrzu rozlegał się huk kolejnych eksplozji, a ziemia trzęsła się pod łapami Gabriela. W oddali widać było wyrastające z ziemi słupy ognia w kolorach zachodzącego słońca - zupełnie jakby chciały iść w zawody z błyskawicami, spadającymi z zasnutego chmurami nieba.

Gabriel przeczuwał, że taka chwila musi kiedyś nadejść. Dlatego nie chciał zostawiać Aarona samego. Ale nie mógł się też sprzeciwić poleceniu swojego pana. Aaron kazał mu strzec Vilmy i to właśnie zamierzał zrobić. Trzej żołnierze Potęg, którzy zmierzali w stronę domu, zatrzymali się nagle i spojrzeli w kierunku, z którego dobiegały odgłosy destrukcji. Na chwilę zapomnieli o psie i dziewczynie w środku.

Wśród huku grzmotów Gabriel usłyszał w pewnej chwili przeraźliwe krzyki Vilmy, dobiegające gdzieś

z wnętrza domu. Kiedy dotarł na miejsce, zastał dziewczynę pogrążoną w czymś, co z początku wydało mu się sennym koszmarem. Ale kiedy wsłuchał się w jej głos, zorientował się, że nawet pogrążona we śnie, Vilma widzi sceny z bitwy, która rozgrywała się pomiędzy Strażą Anielską a mieszkańcami Aerie. Właśnie dzięki temu Gabriel dowiedział się, co dzieje się z jego przyjaciółmi, i wypadł na chwilę na ulicę. I dobrze się stało, bo inaczej nigdy nie domyśliłby się, że za chwilę zostaną zaatakowani.

Aniołowie odwrócili się z powrotem do niego. W dłoniach ściskali kurczowo ogniste miecze. *Pewnie przyciągnął ich tutaj zapach Vilmy* - pomyślał Gabriel. Zapach jej nowej, niedawno odkrytej natury. Labrador przypadł do ziemi i wydał z siebie ostrzegawczy warkot. Sierść na jego karku i ogonie podniosła się - to moc, którą zaszcypił w nim Aaron zaraz po wypadku, dała o sobie znać. Gabriel wiedział, że jest teraz nie tylko zwierzęciem i zaakceptował to. Tak jak Aaron miał na Ziemi zadanie do wykonania, tak i on również. Pies uznał, że powinien strzec swojego pana i wykonywać posłuszenie jego rozkazy. Albo ochroni Vilmę przed tymi łotrami, albo polegnie w walce z nimi.

Aniołowie Potęg stanęli w miejscu, przyglądając się bacznie psu, który zagroził im drogę.

- To jest to zwierzę - powiedział jeden z nich - które zmienił Nefilim.

- Masz rację, bracie - zgodził się drugi z aniołów. - Uczynił z niego dziką bestię.

- Okażemy mu wielkie miłosierdzie, skracając jego cierpienia - dorzucił trzeci anioł i ruszył w stronę labradora. Inni ostrożnie poszli w jego ślady.

- *Nie myślicie chyba, że pozwolę wam tak łatwo przejść* - warknął Gabriel, kręcąc na boki masywnym, kwadratowym łbem i nie spuszczać wzroku z całej trójki.

W oddali rozległy się kolejne wybuchy, lak potężne, że aż wstrząsnęły ziemią i sprawiły, że szyby we wszystkich oknach zadzwoniły głucho. W niebo wzbiły się kolejne słupy ognia, a za nimi chmury gęstego, oleistego dymu.

Aniołowie byli wyraźnie zdenerwowani. Z nieba spadały się błyskawice, a wszędzie tam, gdzie spadały, słychać było potężną eksplozję, która odbijała się echem w całej okolicy. Gabriel nie ruszył się z miejsca, chociaż też czuł niepewność i obawiał się o los swego pana.

- *Myślę, że wasi bracia mogą potrzebować pomocy* - odezwał się w końcu Gabriel, mając nadzieję, że aniołowie posłuchają go i odejdą.

Trzej żołnierze Potęg spojrzeli po sobie. W oddali rozległy się kolejne eksplozje.

- *Zamierzacie tracie tutaj czas na walkę ze zwierzęciem, czy raczej pomożecie **swoim** braciom?*

Aniołowie wydali z siebie przeraźliwy wrzask, przypominający krzyk mew, które Gabriel gonił po plaży w Lynn. Przez chwilę zdawało mu się, że popełnił błąd. Ale nie. Gwardziści Werchiela nie zaatakowali, tylko rozpostarli skrzydła i odlecieli z odsieczą. Gabriel patrzył, jak szybują po niebie, i miał nawet ochotę popędzić za nimi. Martwił się o Aarona i pozostałych mieszkańców, ale dał przecież słowo, którego nie mógł złamać.

Wtem usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył, że drzwi frontowe do domu otwierają się. Stała w nich Vilma, opatulona w zrobiony na drutach afgan, który zwykle wisiał na oparciu kanapy, na której spała. Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby było jej zimno; jej ciałem wstrząsały deszcze. Oczy miała szeroko otwarte, jak gdyby obudziło ją coś przerażającego. Czuć było od niej słodki, niezdrowy pot.

Gabriel podbiegł do niej, machając ogonem.

- *Co się stało, Vilmo?*

Vilma wyszła boso z domu i ruszyła przed siebie wybetonowaną ścieżką. Sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej rozlegającymi się w oddali eksplozjami i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się tam, gdzie odleciała trójka aniołów.

- *Vilma* - Gabriel dogonił ją. - Co *zobaczyłaś, Vilmo?*
- spytał delikatnie, nie mając pewności, czy naprawdę chce poznać odpowiedź.

- On wciąż żyje - *Vilma* odparła aksamitnym, choć lekko drżącym głosem. - *Aaron* żyje.

Przepełniony szczęściem i poczuciem ulgi, że jego panu nic nie jest, Gabriel odchylił łeb i zawył radośnie.

Aaron stopniowo odzyskiwał przytomność. Jego mózg powoli nawiązywał połączenie ze wszystkimi zmysłami. Najpierw wrócił mu słuch, a pierwszymi rzeczami, jakie usłyszał, był urywany oddech i przyspieszone bicie serca. Potem poczuł ból, promieniujący z tysięcy ran, sińców i potłuczeń. *Aaron* poruszał palcami u rąk i nóg, naprężył mięśnie ramion, pleców i nóg. Wszystko go bolało, ale poza tym wydawało się być w porządku.

Otwierając oczy, przypomniał sobie walkę, jaką stoczył, zanim... *zanim co?*

Zamazany wzrok stopniowo ustąpił miejsca wyraźniejszemu i dopiero wtedy *Aaron* zobaczył ogrom zniszczenia, jakie spadło na *Aerie*. Przypomniał sobie wreszcie, że walczył z *Werchielem*. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętał, był dowódca *Potęg* zamierzający się na niego nożem. *Werchiel* miał właśnie wyjawić *Aaronowi* tożsamość jego ojca - anioła, który go splotdził. I wte-

dy nastąpił oślepiający błysk, poprzedzający eksplozję, która odrzuciła strasznego przeciwnika jak szmacianką lalkę.

Powietrze było gęste od gryzącego dymu, ale i tak widać było wyraźnie ziemię usianą trupami. Aaron przechadzał się między nimi na miękkich nogach, widząc ciała spalone do tego stopnia, że ich identyfikacja była wręcz niemożliwa. Trudno było powiedzieć, czy to wróg czy przyjaciel. Ogarnął go niewypowiedziany smutek.

- Werchiel - wyszeptał ze wstrętem, domyślając się, że ciała jego wroga nie ma wśród poczerniałych trupów. Aaron wiedział, że Werchielowi udało się jakoś przeżyć kataklizm, który spustoszył to miejsce.

Nagle usłyszał za plecami jakiś ruch i obrócił się, dobywając ognistego miecza. Był wyczerpany walką - fizycznie i psychicznie, ale gdyby zaszła taka konieczność, był w stanie się bronić.

Z dymu wyłonił się osmalony Lehasz w potarganym ubraniu, podtrzymując słaniającą się na nogach Lorelei. Za nimi szli także pozostali mieszkańcy Aerie, którzy przeżyli inwazję Potęg.

- Żyjecie. - Aaron ucieszył się, patrząc, jak rewolwery i jego córka podchodzą bliżej.

- Na to wygląda - odpowiedział Lehasz. Jego twarz, ubranie i dłonie były pokryte mieszaniną błota, kurzu i za-

krzepnietej krwi. - Chociaż to w głównej mierze zasługa Lorelei. Gdyby nie ona, nie byłoby nas tutaj - odwrócić głowę do młodej kobiety, która wspierała się na jego ramieniu. Lorelei wyglądała dokładnie tak, jak w tej chwili czuł się Aaron - wyzuta ze wszystkich sił. — Sprowadziła na tych sukinsynów prawdziwy Armagedon - dodał z dumą i Aaron zorientował się, że miał na myśli anielską magię, która wywołała tego dnia lawinę błyskawic z nieba nad Aerie.

Lorelei powoli podniosła głowę, skupiając spojrzenie swoich pustych, wyczerpanych oczu na Aaronie.

- On odszedł - wyszeptała. - Nie dane mu było doczekać szczęśliwego końca. - Łzy napłynęły jej do oczu, po czym spłynęły w dół, po brudnych policzkach. - Belfegor nie żyje.

Aaron zaczął się trząść. Znał to uczucie - doświadczył go już wcześniej i wiedział, co oznacza.

- Gdzie on jest? - spyta! z nutką niecierpliwości w głosie. - Gdzie ciało Belfegara?

Lorelei z trudem wskazała ruiny kościoła za jej plecami.

- Jest tam - powiedziała. - Leży pod gruzami. Zginął, broniąc go przed Werchielem.

Tak jak wcześniej, Aaron poczuł siłę płynącą z wnętrza jego ciała. Rozwinął skrzydła, wzbił się w powietrze

i przeleciał nad głowami mieszkańców Aerie w stronę ruin, gdzie kiedyś znajdowało się miejsce kultu. Musiał działać szybko, zanim szansa przepadnie.

Ciało Założyciela leżało na wpół zakopane pod gruzami kościoła. Aaron wylądował i ukląkł tuż przed nim. Nachylił się ostrożnie, żeby przekonać się na własne oczy, czy to, co mówiła Lorelei, jest prawdą. Stary anioł jeszcze żył, chociaż życie, które się w nim tliło, było ledwie wyczuwalne.

Aaron poczuł kolejny przypływ mocy, która spłynęła w dół, aż do palców u jego dłoni.

- Zasłużyłeś na odkupienie, jesteś wolny - powiedział i położył rękę na czole upadłego anioła. Nastąpił oślepiający blask, jakby tysiące fotografów zrobiło w jednej chwili zdjęcie. Z ruin kościoła wynurzyła się istota z najczystszej, białego światła, która unosiła się teraz nad głową Aarona.

Aaron poczuł za plecami obecność innych mieszkańców Aerie, którzy wspięli się po schodach i stanęli wśród ruin. Czuł ich stłumione okrzyki i szepty, kiedy patrzyli w górę, na to, co uczynił.

- Czas wracać do domu, Belfegorze - przemówił Aaron do świetlistej istoty.

Anioł, przyobleczony w najczystszą ze swoich postaci, spojrział w kierunku nieba, którego bramy były dla

niego zamknięte od niezliczonych stuleci. A potem rozwinął cienkie jak pajęcza sieć skrzydła, utkane ze światła, i zniknął.

Aaron ukląkł na gruzach, przepełniony ulgą, że udało mu się odesłać Belfegora do domu. Lecz tym razem uldze nie towarzyszyła pełna satysfakcja - jak gdyby wykonał zadanie, ale nie do końca. Wtedy zrozumiał, że ma coś jeszcze do zdziałania w Aerie.

Aaron wstał i odwrócił się do tych, którzy stali za jego plecami.

- Zbierzcie ciała wszystkich poległych w bitwie - powiedział stanowczym tonem. - *Wszystkich*. W tym także żołnierzy Werchiela. Muszę coś zrobić.

EPILOG

Aaron udekorował grób swojego brata krzewem róży. Wykopał go z jednego z ogrodów Belfegora, rozsianych po całym Aerie. Krzew wyglądał całkiem dobrze w nowym miejscu.

Ciepły wiosenny wiatr mierzwił mu włosy, a Aaron czuł smród śmierci i zniszczenia, który powiew niósł ze sobą. Po trzech dniach zapach spalonych domów i ludzkich ciał w końcu zaczął słabnąć. Aaron był zaskoczony, że nikt z zewnątrz nawet nie zauważył katastrofy, która nawiedziła opuszczoną dzielnicę, chociaż wiedział,

że w przypadku aniołów i ich magii właściwie nic nie powinno go dziwić.

Ukląkł na wilgotnej ziemi i przyjrzał się płątkom róż. Na jednym z kwiatów zauważył owada — był to jakiś chrząszcz o ciemnozielonym, chitynowym pancerzu, który szykował się właśnie na małą przekąskę. Aaron poprosił go w języku owadów, żeby znalazł sobie inne miejsce na ucztę i przekazał swoim pobratymcom, że wokół nie brakuje takich krzewów. Chrząszcz wysłuchał prośby i odleciał z głośnym buczeniem.

Aaron podniósł wzrok i zobaczył idących w jego stronę Lehahiasza i Lorelei.

- Sprawdziłeś, czy nie ma robaków? - Lorelei wskazała na krzew róży.

- Robaki i ja zawarliśmy pewien układ — odparł Aaron i wstał, otrzepując ziemię z kolan. - Ale będę miał oczy otwarte.

Lehahiasz zdjął kowbojski kapelusz i przeczesał palcami siwe włosy.

- Skoro już mówimy o otwartych oczach - powiedział, wkładając kapelusz na głowę — wysłaliśmy zwiadowców, żeby rozejrzeli się, czy gdzieś w pobliżu nie kręci się zbłąkany dowódca Potęg.

Aaron spojrział z powrotem na grób, wyobrażając sobie, że mógłby popatrzeć w głąb ziemi i zobaczyć leżą-

cego tam swojego brata. Na samą myśl o tym, że sam go tam zakopał, żołądek wywrócił mu się do góry nogami. Po raz kolejny zobaczył oczami wyobraźni ostrze, które przecina szyję Steviego - nie, Malaka - i poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

- Znaleźli coś?

Lehahiasz potrząsnął głową.

- Nie, ani śladu. Jesteś pewien, że Werchiel nie zginął razem z innymi - że nie spaliła go jedna z błyskawic Lorelei?

Ich uwagę odwróciło na moment głośne szczekanie Gabriela. Spojrzeli w przeciwną stronę, na drugi koniec podwórka. Vilma trzymała w ręce zieloną piłkę tenisową i udawała, że chce ją rzucić, wprawiając tym podnieconego Gabriela w prawdziwą euforię.

- Jak ona się czuje? — spytała Lorelei.

Aaron przyglądał się przez chwilę dziewczynie i psu, który biegał za nią w radosnych podskokach.

- Chyba w porządku - powiedział. Gabriel złapał piłkę i wracał z nią w pysku, mając nadzieję na jeszcze jeden rzut. Nie licząc jedzenia, ganieanie za piłką sprawiało mu największą radość w życiu. - Musi się przyzwycząić do nowej sytuacji, ale myślę, że nic jej nie będzie.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszyscy patrzyli, jak niezmordowany Gabriel goni za piłką, a potem przy-

nosi oślinioną zabawkę i rzuca ją na trawę u stóp Vilmy. A dziewczyna śmiała się do rozpuku z błazeństw i wygłupów labradora. Aaron nie mógł sobie wyobrazić wspanialszego dźwięku. Pamiętał, jaka Vilma była szczęśliwa - i on również - że udało im się przeżyć najazd hordy Werchiela.

- On wciąż tam jest - powiedział nagle Aaron. - Czuję go, przyczałił się tylko i czeka na kolejną okazję. - To mówiąc, potrząsnął powoli głową. - Ale ja nie dam mu tej szansy. Mam do niego kilka pytań, dlatego następne starcie rozegra się już na jego terenie.

Na podwórku stał drewniany stół piknikowy. Cała trójka podeszła, by usiąść i wystawić twarze do wiosennego słońca. Mogli sobie pozwolić na chwilę odpoczynku od przemocy i agresji, która - na to wyglądało - stała się nieodłączną częścią ich życia.

- O jakich pytaniach mówisz, Aaronie? - spytała Lorelei, spinając białe włosy gumką, którą wyjęła z kieszeni.

Lehahiasz i Lorelei usiedli obok siebie na drewnianej ławce naprzeciwko Aarona. Od czasu krwawej inwazji strażników Werchiela na Aerie i skutecznej walki Lorelei z Potęgami ojciec i córka zbliżyli się do siebie. Jakby Lehahiasz nabrał w końcu respektu dla Lorelei i jej natury Nefilima.

- Belfegor zdradził mi, że ma pewne informacje dotyczące źródła mojej mocy, a Werchiel miał właśnie wygadać się, kim był mój ojciec, kiedy z nieba zaczęły spadać gromy.

- Wybacz. - Lorelei wyglądała na lekko zakłopotaną. Lehahiasz zarechotał.

- Do diabła, chłopcze, nie musisz wcale tropić Werchiela, żeby poznać tę tajemnicę. - W jego oczach pojawił się błysk. - Wiem doskonale, kto cię spłodził. Nauczyciel wyjawiał mi prawdę.

Gabriel wesoło szczeka! w oddali, ale jedyną rzeczą, jaką Aaron teraz słyszał, było przyspieszone bicie własnego serca.

- Gdy się nad tym zastanowić, to wszystko zaczyna nabierać wymownego sensu. - Lehahiasz podrapał się po policzku. - Rzeczywiście chodzi o odkupienie, w pełnym tego słowa znaczeniu.

Aaron zerwał się z ławki.

- Powiedz mi!

- Może jednak lepiej będzie, jeśli usiądziesz - zasugerowała Lorelei.

- Czy ktoś jeszcze, oprócz mnie, nie zna tożsamości mojego ojca? - zdenerwował się Aaron, po czym wbił stalowe spojrzenie w szeryfa i jego córkę. - Koniec gier. Powiedzcie, kim był mój ojciec...

- To Lucyfer - powiedział krótko Lehahiasz.
Aaron poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg.
- Co... coś ty powiedział? - wymamrotał.
- Słyszałeś mnie, chłopcze, głośno i wyraźnie. - Lehahiasz uśmiechnął się lekko. - Twój tatuś to diabeł wcielony.

Werchiel szedł przez opustoszały sierociniec świętego Atanazego, a jego ciężkie kroki odbijały się złowieszczym echem. Towarzyszyło mu pięciu pozostałych przy życiu Archontów. Szeregi Potęg stopniały znacząco w wyniku druzgocącej klęski w bitwie pod Aerie i Werchiel po części żałował, że nie zginął razem ze swoimi wiernymi gwardzistami. Poderżnięcie gardła Nefilimowi i śmierć na skutek uderzenia jednej z tych błyskawic stanowiłyby piękne zakończenie całej historii. Ale tak się nie stało. Archonci czuwali nad nim i w porę otworzyli bramę, by ewakuować go z pola bitwy. Ich zuchwałość doprowadziła Werchiela do furii i zdążył jeszcze zabić dwóch z nich, zanim stracił przytomność.

Werchiel dotarł do sali lekcyjnej na końcu korytarza i wszedł do środka.

Niewidomy uzdrowiciel Kraus zmieniał właśnie opatrunek na ramieniu więźnia. Ten sam sługa pomógł także Werchielowi dojść do siebie po bitwie pod Aerie. Wtedy

Werchiel zrozumiał, że jego czas jeszcze nie nadszedł. Wciąż pozostało mu coś do zrobienia.

Przywódca Potęg wściekł się na widok uwięzionego anioła. Tego, który był odpowiedzialny za całe zło. Z jego powodu nastąpił upadek. Werchiel pomyślał o Nefilimie i o przepowiedni, którą uosabiał. Jej też by nie było, gdyby nie zdrada pierwszego z upadłych. Grzechy i nieprawości, których dopuściła się ta bestia, wydawały się nieskończone i Werchiel wolał raczej obrócić cały świat w gruzy niż pozwolić, by ktoś taki zasłużył na przebaczenie.

- Witaj - odezwał się więzień lekceważącym, lekko kpiarskim tonem. - Dokuczały mi trochę oparzenia na ramionach, więc Kraus zaofiarował się, że może mi pomóc.

Werchiel zdusił w sobie chęć spalenia swojego uzdrowiciela na popiół. Przypomniał sobie, że przecież ludzie nie różnią się wiele od zwierząt i z reguły nie mają złych intencji, ale widok jego osobistego służącego, który przynosił ulgę w cierpieniu więźniowi, był dla Werchiela niemal nie do zniesienia.

- Odsuń się od klatki - rozkazał. Kraus posłusznie pozbierał swój sprzęt i trzymając się jedną ręką ściany, wymknął się z sali.

- Sympatyczny facet z tego Krausa - odezwał się

anioł w klatce, przyglądając się z podziwem wprawnie zabandażowanej ręce. - Wydaje mu się, że świat należy teraz do ciebie.

Jeszcze kilka dni temu skóra więźnia była spalona i poczerniała, ale teraz, oprócz kilku powierzchownych blizn, zupełnie się zagoiła. Werchiel przypomniał sobie swoje własne rany, które odniósł w pierwszym starciu z Nefilimem - część z nich nigdy się nie zabiłiła.

Na ramieniu więźnia siedziała mała istota, która spoglądała na Werchiela z wrogością swoimi ciekawskimi i mądrymi ślepkami. Dowódcę Potęg dziwiło, dlaczego małe, niewinne zwierzątko wybrało towarzystwo więźnia, ale nie zaprzętało sobie rym zbyt głębi. Czekają go rzeczy dużo ważniejsze niż roztrząsanie zachowań gryzonia. Pierwszy spośród upadłych był równocześnie największą pomyłką Stwórcy, dlatego perspektywa ewentualnego odpuszczenia mu win byłaby dla Werchiela dowodem na to, że poświęcił się sprawie, która nie miała sensu, a wszystko co osiągnął w imię Ojca, osiągnął na próżno.

Werchiel przyglądał się swemu więźniowi, siedzącemu w klatce z magicznego metalu i czuł, jak falami zalewa go coraz większa nienawiść.

— Otworzyć klatkę - rozkazał Archontom, stojącym parę kroków za nim.

Archont Jaldabaot podniósł długą rękę, przypominającą odnoże pająka i wypowiedział zaklęcie uwolnienia. Drzwiczki klatki otworzyły się powoli z przeciągłym pisaniem. Ale więzień nie ruszył się z miejsca.

Rozgrzeszenie Porannej Gwiazdy byłoby ogromnym ciosem dla Werchiela, który nie dopuszczał w ogóle podobnej myśli. Musiał dokończyć swoją uświęconą misję, z Bożą pomocą lub bez niej. Uważał bowiem, że występuje w słusznej sprawie i tak właśnie powinien postąpić.

- Wyjdź z klatki... Lucyferze. - Werchiel wymówił to imię tak, jakby w gardle stanęły mu kawałki szkła.

- Po raz pierwszy nazwałeś mnie tym imieniem, odkąd mamy ze sobą do czynienia - powiedział więzień, wyglądając zza krat. - Czemu zawdzięczam ten honor?

- Wyłaź z klatki! - ryknął Werchiel, z coraz większym trudem panując nad gniewem.

Wszystkie tragedie, ból, smutek i rozpacz, które spowodował Lucyfer, zostały zebrane przez Stwórcę i umieszczone w tej cielesnej formie, która nosiła teraz imię Porannej Gwiazdy. Do końca świata miał dźwigać na swych barkach ciężar grzechów, których dopuścił się w przeszłości. Taka właśnie była kara dla pierwszego z upadłych. Pokuta.

Nagi Lucyfer powoli wyszedł z klatki.

- Co się stało, Werchiełu? - spytał. — Nie chcesz chyba mi powiedzieć, że zrozumiałeś swój błąd i puszczasz mnie wolno.

Werchiel rozpostarł skrzydła.

- Cisza! - ryknął, wznosząc nad głowę swój ognisty miecz.

Jego nagły ruch wystraszył mysz, która zsunęła się na ziemię i uciekła w popłochu.

Więzień wbił w swojego oprawcę lodowate spojrzenie.

- Pytam raz jeszcze, co się stało? Czyżbyś miał za sobą zły dzień?

Archonci podeszli krok bliżej, mamrocząc pod nosem jakieś starożytne zaklęcia. A potem wyciągnęli ręce w kierunku Lucyfera, którego w tej samej chwili spowiła aura dziwnej energii. Więzień krzyknął, a właściwie wydał z siebie długi, żałosny skowyt, który dobiegał gdzieś z wewnątrz. Jego ciało wyprężyło się jak struna i uniosło się w górę, niesione czarami Archontów.

- Czujecie to? - spytał Werchiel swoich nadwornych magów, którzy intonowali słowa kolejnych czarów.

- Tak, jest w nim nagromadzony smutek całego wszechświata - syknął Archont Orajós, drżąc na całym ciele.

- Nagromadzony i zamknięty - dodał Archont Jao.

- Został zapieczętowany, zabarykadowany przez Jego siwo - wyjaśnił Jaldabaot.

Archont Domiel zaczął się związać, jego ciałem wstrząsała seria potężnych konwulsji.

- Użyto tutaj naprawdę potężnej magii - przemówił jeszcze wyższym tonem. - Magii, która trzyma nas na dystans i nie pozwala podejść bliżej.

Werchiel nie chciał nawet o tym słyszeć. Wir samotności i porzucenia, jaki kłębił się wewnątrz pierwszego z upadłych, miał się okazać najpotężniejszą z jego broni. Uwolniony, sprowadzi na świat piekło, o jakim nie śniło się ludzkim i anielskim istotom, stworzonym przez Boga.

- Złamcie pieczęcie.' - ryknął. - Usuńcie wszystkie przeszkody i pozwólcie cierpieniu wydostać się na zewnątrz.

Archont Kacpiel jako pierwszy zapłacił za swoją arogancję. Anielski mag wrzasnął z bólu, kiedy oczy eksplodowały mu z czaszki, zaś on sam upadł na ziemię, zamieniając się w wyjąca, bezwładną masę. Pozostali Archonci przerwali połączenie z więźniem, pozwalając mu wyzwolić się z wiążących go magicznych okowów.

- Co się stało? - ryknął Werchiel, podchodząc bliżej z morderczym spojrzeniem na twarzy. - Dlaczego się zatrzymaliście?

Archonci uklękli przed swoim rannym bratem, próbując uleczyć jego rany za pomocą najsilniejszych zaklęć.

- Bariery są zbyt silne. - Archont Domiel potrząsnął głową. - Kacpiel próbował się przez nie przedrzeć - za to spotkała go kara, która była tylko przedsmakiem tego, co znajduje się po drugiej stronie.

- A więc pokonajcie te bariery i uwolnijcie się, która za nimi drzemie.

- Ale słowo Boga... — próbował oponować Archont Orajos.

- Słowo Boga zostanie złamane - rzucił Werchiel. Musiał odnieść zwycięstwo, bez względu na cenę.

- Zrobiłbym wszystko, by się uwolnić od mojego brzemienia - jęknął słabym głosem pierwszy wśród upadłych aniołów. Nagi Lucyfer powoli podniósł się z ziemi, trzęsąc się, jakby jego ciało zostało wystawione na niewyobrażalne zimno. - Ale nawet ja wiem, jak by się to skończyło - i nie mogę wyobrazić sobie, jaki egoizm musiałby mną kierować, żeby zgotować światu taki los.

- Ale świat nie zasługuje na nic innego - odparł jawdowitym tonem Werchiel. - Tak jak zasługuje na to On, który mnie opuścił.

Lucyfer roześmiał się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Ty... chyba nie mówisz poważnie.

- Czyżby? - Na twarzy dowódcy Potęg zagościł okrutny uśmiech i przez krótką chwilę poczuł swego rodzaju więź z więźniem.

Z pierwszym spośród wszystkich upadłych aniołów.

PODZIĘKOWANIA

Tradycyjnie, pierwsze słowa wdzięczności kieruję pod adresem mojej kochającej i cierplivej żony LeeAnne, a także mojego czworonożnego kumpla Muldera.

Z całego serca dziękuję również mojemu bratu (z którym rozdzielono mnie przy porodzie) Christopherowi Goldenowi, mojej redaktorce Lisie Clancy, noszącej przydomek „Terminator w spódnicy” oraz jej wspaniałej asystentce Lisie Gribbin.

Podziękowania należą się też: Mamie i Tacie, Ericowi Powellowi, Dave'owi Krausowi, Davidowi Carrollowi, doktorowi Krisowi, Tomowi i Lori Stanleyom, Paulowi Griffinowi, Timowi Cole'owi oraz aktorom drugoplanowym, pojawiających się tradycyjnie w obsadzie: Jonowi i Flo, Bobowi i Patowi, Donowi Kramerowi, Pete'owi Donaldsonowi, Kenowi Curtisowi i Zachowi Howardowi. I pamiętajcie, bądźcie dobrzy dla swoich rodziców, tak jak oni byli dobrzy dla Was.